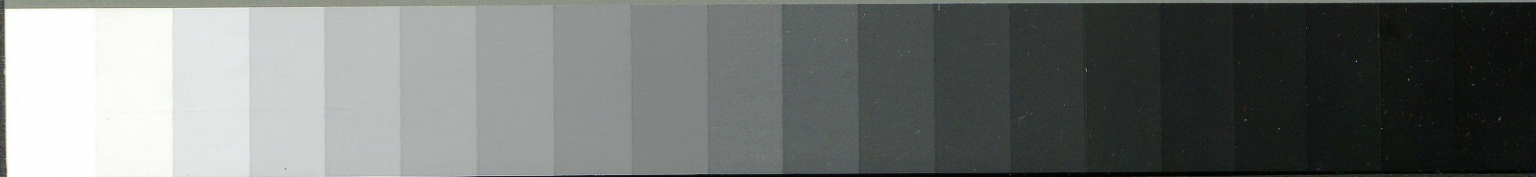




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches





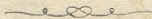
PORTRETY LITERACKIE

Z

T A I N E ' A .

przełożył

F. MIERZEJEWSKI.



W A R S Z A W A .

Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.”

—
1873.

92 (2710) 18

Дозволено Цензурою
Варшава, 20 Апрелья 1873 г.



W drukarni Przeglądu Tygodniowego, ul. Czysta Nr. 2.

BALZAK.

I.

Jego życie i charakter.

Nietylko rozum bywa rodzicem dzieł rozumu. Cały człowiek przyczynia się do ich wytworzenia, jego charakter i życie, edukacya, jego przeszłość i terażniejszość, namiętności i zdolności, cnoty i wady, wszystkie części jego duszy i działalności, wyciskają piętno na tem, co myśli i co pisze. Ażeby pojąć i osądzić Balzaka, należy poznać jego usposobienie i życie. Jedno i drugie wykarmiły jego romanse; jak dwa prądy soków rośliny, nadały barwy kwiatu chorobliwemu, dziwnemu i przepyszniemu, który zamierzylismy tu opisać.

I.

Balzak był człowiekiem zaplątanym w interesa, a interesa te zawierały się w długach. Od dwudziestego pierwszego roku do dwudziestego piątego mieszkał na poddaszu, zajęty pisaniem trajedyj i romansów, które sam znajdował bardzo lichemi. Odepchnięty przez rodzinę, otrzymując od niej mało pieniędzy, niezarabiając wiele więcej, zagrożony w każdej chwili przymusem oddania się jakiejś pracy machinalnej, ogłoszony za niezdolnego, pożerany przez żądzę sławy i poczucie swego talentu. Ażeby wywalczyć niezależność, puścił się na spekulacyę i kolejno był wydawcą, drukarzem, nakoniec odlewaczem czcionek. Nic mu nie dopisywało, ujrzał się blizkim ruiny. Po czterech latach rozmaitych wysiłków, zlikwidował swe interesa, pozostał obciążony długami i zaczął pisać romanse dla spłacenia wierzycieli. Był to ciężar ogromny, który on dźwigał całe życie. Od 1827 do 1836 ¹⁾, utrzymywał się tylko wydawaniem weksli które lichwiarze eskontowali i wznawiali z wielkim trudem. Trzeba było ich czemś zabawiać, skłaniać, łudzić i czarować.

Ten wielki człowiek posród swych nieszczęść, zmuszony bywał często odegrywać swą komedycę *Mercadet*, którą później napisał. Nic mu niedopisywało. Dług wzrastał przez procenta i powię-

¹⁾ *Balzac d'après sa correspondance*, przez p. Surville siostrę jego.

kszał się ciągle. Aż do końca życia był dręczony i w wiecznej obawie. W roku 1848 mówił do p. Champfleury, który go zastał w gustownie urządzonej domu: „Z tego co tu widzisz, nic do mnie nie należy; mam to mieszkanie od moich przyjaciół, jestem ich odźwiernym.” Będąc zawsze oblegany i dręczony, dokonał cudów pracy. Wstawał o północy, pił kawę i pracował *dwanaście godzin* jednym ciągiem ¹⁾; poczem biegł do drukarni i zajmował się korektą swych prób, przemyślując plan nowych. Założył dwa przeglądy; z których jeden prawie sam redagował. Kilka razy próbował szczęścia w pisaniu sztuk teatralnych. Przemyślał nad wielu projektami spekulacyi i pewnego razu udał się pospiesznie do Sardynii dla przekonania się czy fuzy min eksploatawanych przez Rzymian nie zawierały w sobie jeszcze srebra. Innym razem zdawało mu się iż odkrył materję zdolną do wyrabiania nowego papieru i rozpoczął robić nad tem doświadczenia. Ciągle się męczył nad pytaniami: jakim sposobem spłacić wierzycieli i stać się bogatym? Wycięczony kłopotami i nędzą marzył o bankierze wspaniałomyślnym, mecenasie literatury, któryby

¹⁾ Zwykle zamykał się na sześć tygodni lub dwa miesiące, przy zamkniętych okiennicach i zapuszczonych frankach, nie czytając żadnych listów, pracował czasami w ciągu ośmiastu godzin dziennie, przy świetle czterech świec w sukni białej na wzór dominikańskiej. (*Balzac*, przez Werdet, jego wydawcę; — p. 275).

do niego w ten sposób przemówił: „Czerpaj w mojej kassie, spłać długi i bądź wolny. Wierzę w twój talent, chcę wybawić wielkiego człowieka.” Unosił się, ufał swoim marzeniom i wśród nich widział siebie na rozległej widowni w świetle: był akademikiem, deputowanym, ministrem. Po chwili spadał na ziemię, biegł do swego biurka albo do kierującego drukarnią i rąbał dzieła jak węglarz lub olbrzym. Czasami pośród rozmowy, nagle się zatrzymywał i zaczynał lżyć siebie: „Niegodziwczę, wyrodku, powinienesz przepisywać zamiast rozmawiać.” Poczem zaczynał obliczać pieniądze stracone przez czas zmarnowanych godzin; — tyle to wierszy, po tyle za wiersz, tyle to do dziennika a tyle księgarzowi, tyle na druk a tyle na przedruk; kwota w ten sposób powiększona stawała się ogromną. Wszędzie widział pieniądze i zawsze pieniądze. Pieniądz był jego tyranem, prześladowcą całego życia. Widział siebie zdobyczą i niewolnikiem pieniędzy a to z potrzeby, z poczucia honoru, przez imaginację i przez nadzieję; ten władca i kat zginał go nad robotą, więził, zdradzał natchnienie, prześladował wśród odpoczynku, rozmyślań, marzeń, kierował jego oczami, panował nad ręką, kuł jego poezję, ożywiał charakterystyki jego bohaterów i rozpostarł potok swych blasków na jego dzieła. W ten sposób prześladowany i nauczany, pojął iż pieniądz jest wielką sprężyną życia społecznego. Obliczał majątek osób w swych dziełach, wyjaśniał pochodzenie jego, wzrost i użycie, układał bilanse i wpro-

wadził zwyczaj budżetu do romansu. Opisywał spekulacye, oszczędności, kupna, sprzedaże, zawieranie kontraktów, przygody handlowe, wynalazki przemysłu i ażytoż handlowy. Malował adwokatów, świadków sądowych, bankierów; wszędzie wprowadzał kodeks cywilny i weksle. Poetyzował sprawy sądowe. Jako bohater starożytny ustanawiał bitwy lecz tylko około spadku lub posagu, zamiast żołnierzy stawiając prawników, a zamiast arsenału kodeks. Miliony gromadziły się pod jego piórem. Widzimy fortuny wzrastające pożerające inne, dochodzące do rozmiarów olbrzymich i rozlewające się w zbytkach i potędza. Czytelnikowi zdaje się iż się ślizga po powierzchni złotej. Ztąd część jego sławy. Przedstawia nam nasze własne życie, prawi nam o interesach, które nami poruszają i zadość czyni dręczącym żądzom.

II.

Drugim rysem jego jest to, że był paryżaninem z obyczajów, rozumu i skłonności. W tem czarnej mrowisku, życie jest aż nazbyt czynne. Wszyscy żądni znaczenia i wszystkie rozpalone ambicje, powołane zostały tam przez demokrację ustanowioną i władzę zcentralizowaną. Nagromadzone i przygotowane w stolicy: sława, pieniądze uciechy, stanowią żer, o który gryzie się psiarnia nienasyconych pożądań, przyprwadzonych do ostateczności przez oczekiwanie i spółubieganie się. Dorobić się! To słowo nieznane

przed stu laty, dziś stało się hasłem panującym nad życiem jednostek. Paryż stał się areną i tak jak w cyrku lub w szkole, każdy czuje się mimowolnie na nią pociągniętym, w obec celu zamierzonego i spółzawodników, znikają wszelkie względy; biegacz czuje oddech swego rywala na plecach, napręża siły, w tym napadzie woli podwaja usiłowania i daje się opanować gorączce, która go zużywa i podtrzymuje. To spółbieganie się wyradza cuda pracy, nietylko pracy uczonego, który się uczy aż do znużenia, artysty który tworzy aż do ogłupienia się, lecz pracy ludzi specjalnych, ubiegających się, intrygujących, liczących każde słowo, badających przyjaźnie i tam to krzyżuje się tysiące sieci nadziei dla ułowienia: klienteli, miejsca lub imienia. O jakżeśmy daleko odbiegli od naszych ojców, od tych salonów gdzie zgrabnie napisany list, lekki sonet, dowcipne słówko stanowiły treść całego wieczoru i bywały źródłem fortuny. Lecz mniejsza z tem, gorączka mózgowa gorszą jest od gorączki woli. Przez dojście do władzy mieszczaństwa, wszystkim stanom nadano prawo obywatelstwa; — z ludźmi specjalnymi, specjalne idee weszły w świat; potok myśli nie jest dziś pięknym strumykiem plotek światowych, galanteryi i zabawnej filozofii, zmienił się on w rzekę szeroką, którą bank, handel, pieniąctwo i erudycya podsycają swemi błotnistemi wodami; ten to potok codziennie spadając na mózg, karmi go i zatapia. Cały ten ruch zwiększy się jeszcze skoro zastanowim się nad

tem, że zgłębianie nauk, rzuciło na świat miliony nowych faktów, że rozszerzenie się intelligencyi wprowadziło tam literaturę i filozofię innych narodów, że idee z całego świata napływają tam jak do powszechnego zbiornika, a o sile jego można sądzić po tem, że ci co jego podsycają są talentami wypróbowanemi przez walkę, stwierdzonymi przez powodzenie, są najbystrzejsze, najpotężniejsze, najlepiej zaopatrzone w idee, zbrojne w siłę twórczą i najwytrwalsze w myśleniu. Ktokolwiek myśli znajduje się tam. Akademie, biblioteki, dzienniki, towarzystwo rozumnych ludzi, prawo życia nieznanym, ściągają wszystkie umysły samoistne i wolne. Na ławeczce Luksemburskiego ogrodu, posłyszysz dysputę medyczną. Na rogu chodnika, geolog opowie ci odkrycia z ostatnich poszukiwań. W tym długim gmachu muzeum, w pół godziny przejdiesz całą historję. Wznowiona opera odda cię na pastwę myśli zgasyłych od pół wieku. W salonie, w ciągu dwóch godzin, zrobisz przegląd wszystkich idei ludzkich; spotkasz tam mistyków, komunistów, ateuszów, absolutystów, wszystkich krańcowych, środkowych, jednym słowem wszelkie odcienia. Niema idei tak dziwacznej, szerokiej lub zacieśnionej, ażeby nie pochłoneła człowieka, dojrzała w nim i nie uzbroiła się w całą potęgę szалу i rozumu. Specyalności mnożą się a z niemi monomanije. Ze wszystkich tych dymiących się mózgów, myśl wychodzi jak para;—mimowolnie odrycha się nią, iskrzy się w tych wszystkich oczach

niespokojnych lub nieruchomych, na twarzach zwiędłych i pomarszczonych, w ruchach prędkich i dokładnych. Ci co tu przybywają po raz pierwszy, doznają zawrotu głowy: ulice zanadto są wymowne, ten tłum ścieśniony biegnie zaprędko; spotykasz tyle idei zawieszonych w szybach okien, rozpostartych na wystawach sklepowych, wyrytych na pomnikach, rozlepionych w afiszach, przeslizgujących się po twarzach iż przybywający, czują się niemi przeciążeni, albowiem wyszedłszy z cichych i zimnych wód, wpadają do kotła gdzie kipi para świszcząca; w wir burzy fal, tłumnie ścierających się z sobą i odpychanych przez drgającą ścianę rozpalonego metalu. Gdzież jest spoczynek dla tej gorączki woli i myśli? W drugiej gorączce — w gorączce zmysłów. Na prowincyi człowiek zmęczony udaje się na spoczynek o 9-ej godzinie, albo ze swoją żoną zasiada przed kominikiem lub też idzie przejść się po pustej drodze, spokojnie, wolnym krokiem, spozierając na równiny i rozmyślając: o jutrzejszej pogodzie. Patrzenie na Paryż o tejże godzinie: gaz się zapala, bulwar się zapełnia, teatru nie mogą widzów pomieścić, tłum chce używać życia. Wszędzie gdzie tylko usta, ucho lub oko podejrzewają uciechę, zaraz się ona narzuca; uciechy wyrafinowane, sztuczne, rodzaj kuchni niezdrowej nie dla nasycenia lecz dla podbudzania, urządzonej przez wyrachowanie i rozpustę dla zadość uczynienia wszelkim przesytom i zepsuciu. Wszystko tu przesadzone i cierpkie aż do roskoszy rozumu;

smak zepsuty nadużyciem, potrzebuje rozbudzenia, w stylu potrzeba paradoksów, wyrażeń potwornych, idei rospasanych, opowiadań bez ogródek; inaczej wszystko obumiera. Rozum musi stroić się w odzienie waryackie; za zwyczajny strój uważają wszystko co jest nadspodziewane, dziwaczne, wymęczone i przesadzone. Grzebią się we wszelkich ranach duszy i historii z czterech stron świata, ze wszystkich nizin życia, ze wszystkich wyżyn filozofii i sztuki, przybywają obrazy, idee, prawda i paradoksy; wszystko to kipi razem, a dziwny płyn z tego dystylowany, przenika nerwy roskoszą chorobliwą i trującą. Balzak wyraził się mówiąc o Paryżu: „Jest to rak gnijący, rozpostarty na dwóch wybrzeżach Sekwany.” Jakież człowiek więcej od niego napawał się tymi wyziewami? Któż więcej walczył, myślał i używał? Czyżże umysł i czyja krew więcej trawione były tą gorączką, a najwięcej gorączką woli? Widzieliśmy ogromną pracę do której on był przykuty i wśród której przepędzał setki nocy wyczerpując swą twórczość i wiedzę, jednocześnie prowadząc walkę z wierzyicielami i broniąc się od prześladowania interesów, wyuzdanej żądzы sławy, nieograniczonej ambicji, egzaltacji, wyczerpaniu i otchłani rospaczy, w którą był przez los wtrącony. Cóż powiem o jego rospasaniu myśli, o wszystkich naukach przez niego przejranych, rzemiosłach zbadanych, o rodzaju literatury przez niego wynalezionej, o sztuce do dna zgłębionej? Paryż, nas ludzi zwyczajnych, zbytecznie

podbudza; cóż to za mrowisko idei gnieździło się w tym umyśle; i te idee wzmocnione natchnieniem i nauką czyniły to, iż z jednego gestu lub ubioru spostrzegał charakter i całe życie; łączył to z duchem czasu, przewidywał przyszłość, przenikał jak malarz, filozof i doktor i rozciągał siatkę mimowolnych domniemywań przez wszystkie idee i fakta! Trzebaż dodawać iż miał poczucie artysty które romansopisarz tak lubi odnajdywać w przyjemnościach jak też i w innych rzeczach, iż był smakoszem i łakomym w tem co się odnosiło do zbytku i rokoszy. Pozwólcie aby życie prywatne zostało tajemnicą, nawet po śmierci jego. Upodobanie jego w drogich sprzętach, niech nam posłuży w tym względzie za wskazówkę ¹⁾. Był zbieraczem rzadkości aż do monomanii; potrzebował książek w przepysznej oprawie, antycznych foteli, ram rzeźbionych, wyborowych malowideł; galerya jaką opisuje w *Cousin Pons* z taką drobiazgowością i z takim zamiłowaniem, powiadają iż była jego własną. Stawiał siebie często w strasznie zakłopotanem położeniu a to jedynie, aby nabyć Saską porcelaną, obicia i inne cacka. W stanie pierwotnej najgorszej nędzy,

1) Patrzenie opis dwóch jego pomieszkań w książce pana Werdet. Kiedy Balzak pracował w swej długiej białej sukni dominikańskiej, miał na nogach czerwone safianowe pantofle haftowane złotem; opasany był złotym weneckim łańcuchem, u którego wisiały nożyczki, scyzoryk i nóż do papieru, wszystko ze złota.

pisał do siostry: „Ach Lauro! żebyś ty wiedziała jak ja marzę o dwóch ekranach niebieskich haftowanych czarnem.” Dręczony, zgnębiony, nie otrząsa się z tego; staje się to myślą obłądu: „Zawsze ekrany!” Jego namiętność do pięknych rzeczy podobną jest do rodzaju fizycznego — swędzenia; jest to więcej pożądlivością zmysłową aniżeli szlachetny gust umysłu. Oto jego otoczenie i życie; łatwo zgadnąć jakie rośliny, powinny były wybujać na tym gruncie sztucznym, przepelnionym materjami cierpkimi. Trzeba było takiego gruntu, ażeby wyrosł ogromny las, zdobny w kwiaty ciemnego, metalicznego koloru, i napełniony owocami z sokiem piekącym i zbyt mocnym. Wielu ludzi choruje czytając go. Styl jest uciążliwy, przeciążony; idee tłunnie się kupią i przytłumiają; intrygi płaczą się i chwytają umysł żelaznemi cęgami; namiętności nagromadzone grzmia i żarzą się jak piec; z pod tego dzikiego światła uwydatnia się z gwałtowną wypukłością tłum figur wykrzywionych, udręczonych, wyrazistszych i potężniejszych, i więcej żyjących niżeli postacie rzeczywiście. Pomiędzy niemi brudne robactwo owadów ludzkich, pełzających stonogów, obrzydliwych jaszczurek, jadowitych pajaków zrodzonych ze zgnilizny, zażartych w kopaniu ziemi, rozdzieraniu i kłasnaniu; po nad tem wszystkim olśniewające czarodziejstwa i zmora olbrzymia i bolesna marzeń, jakich tylko nauka, sztuka i potężna sława mogą dostarczyć.

III.

Umarł mając pięćdziesiąt lat, z zapalenia krwi od nocnej pracy i z nadużycia kawy, do czego zmuszały go nocne czuwania. Ażeby w dwudziestu czterech latach wydać dziewięćdziesiąt siedm dzieł, tak uporczywie przerabianych i przekreślanych, po dziesięć i dwanaście razy, na to trzeba było temperamentu tak potężnego jak jego geniusz. Z portretów jego, widzimy iż był to człowiek silny, krępy, o szerokich plecach, gęstych włosach, z wzrokiem śmiałym, zmysłowemi ustami, zębów mocnych jak kły. Champfleury powiada: „Miał kwitnącą minę wesołego dzika.” Życie zwierzęce było w nim przemagające, jest to aż nadto widocznem w jego romansach. Odważa się na mnóstwo szczegółów z historyi sekretnej, chociaż nie bez zimnej krwi fizyologa, lecz z rozognionemi oczami smakosza i łakomca, który przez drzwi nawpół odemknięte, pożera oczami soczyste i łakome kąski. Zbyt wielka wolność społecznego i paryskiego stylu niestarczyła mu. Przyjął styl Rabelais'ego i Brantôme'a ażeby z drobiazgowością XVI-go wieku malować nagości..... XVI-go wieku, i utworzył swoje *Contes d'ôrlatiques*, powieści zachwycające, lecz daleko więcej niż nieskromne; i w nich to wszystkie pożądliwości fizyczne, rospasane i zadawalniające, wykręcają się jak na oświetlonej bachanalii Priapa. Jerzy Sand przeczytawszy to dzieło, znalazł go nie przyzwolitem. Nazwał za to Jerzego Sand skromnością,

w jak najlepszej wierze, podobnej do la Fontaine'a, który nie widział nic złego w swoich fraszkach i nie mógł pojąć wymówek, czynionych mu w tym względzie przez swego spowiednika. Było to ich rodzinnem powietrzem, dopuścić nie mogli ażeby cudzoziemcowi wśród tego było niedobrze. Kiedy ptak wpada do wody, ryby muszą się dziwić że oddychać niemoże. Widzimy iż ta siła jego, czasami zbliżała się do grubiaństwa, wpadał w nią z łatwością; jego wesołość trochę fizyczna, zakrawała na wesołość podrożującego komissanta. W ten dzień kiedy zamyslił, ażeby wszystkie swoje romanse połączyć w jedną *komedię ludzką*, przybiega cały zdyszany na ulicę Poissonière, do swojej siostry. „Wchodzi rozmachując rękami jak tamburmażor, z grubą trzcina z nagłówkiem z krwawnika, na którym kazał wyrznąć po turecku ową dewizę sułtana: *Jestem rozbijaczem przeszłości* i naśladując *bum bum* wojskowej muzyki i odgłosu bębna, zawołał wesoło: „Pozdrów mię, po prostu jestem na drodze stania się geniuszem.” Jego listy tak czułe, zawierają w sobie pewną trywialność; żarty jego są ciężkie ¹⁾.

¹⁾ Mam dla ciebie dobre nowiny siostrzyczko; przeglądy lepiej mi płacą za moje arkusze. He! he! Werdet mi donosi że mój *Médecin de Campagne* był sprzedany w ciągu ośmiu dni. Ha! ha! — Mam więc czem stawić czoło, wielkim wyplątom w listopadzie i grudniu które ciebie tak ochodziły. Ho! ho! A! wieleż to milionów w *Eygenie Grandet!* Ależ głupio, czyż przez to że historia jest prawdziwą, chcesz żebym le-

Gestykułuje, nuci, uderza ludzi po brzuchu, udaje błazna. Jego werwa jest to werwa operatora. Wszystko to wypływało z natury pełnej soków zbytecznych, które przelewały się w ruchach, przyjemnościach, twórczości, pracy, lecz nigdy w sposób delikatny a czasami w brutalny¹⁾ i nigdy niezdolny powstrzymać się. Opowiadał pierwszemu lepszemu plany swych romansów aż do najmniejszych szczegółów, o projektach swych do zrobienia fortuny, jak np. eksploatacyi starych kopalni Sardyńskich, naturalnie że mu ją podchwycono. Zachwycał się sobą naiwnie i publicznie; mówił do Champfleura: „Podobny jesteś do mnie, kontent jestem za ciebie z tego podobieństwa.” Potem dodawał: „Jest tylko trzech ludzi w Paryżu, którzy umieją swój język: Hugo, Gautier i ja.” W czternastym roku, zapowiadał swą przyszłą sławę. Kiedy w listach lub rozmowach

piej tworzył od prawdy? Poprobuję teatru; zacznę od *Marie Touchet*, tęga sztuka, w niej postawię na nogi tęgie osoby. Zaczekaj pani śmierć; jeżeli chcesz przyjść ażeby mi pomódz w ładowaniu ciężarów, to dowiedz się żem nie skończył jeszcze mej pracy.

¹⁾ Patrz w *Revue parisienne*, jego artykuły o Port-Royales p. Sainte Beuve. Pewnego dnia, jeden młody literat powiedział w obec niego: „My literaci...” Balzak na to wybucha śmiechem i krzyczy mu: „Wy panie, wy literaci! Cóż za pretensya! Co za szalona zarozumiałość! Wy! wam się równać z nami! a zmiłujże się, daj pokój! Zapominasz mój panie z kim masz honor siedzieć? z marszałkami społeczeństwa literatury.” (Werdet p. 343).

ówi o swoich romansach, to nieustannie powtarza to słowo: *arcydzieło*. Uważa siebie za uniwersalnego; czyż nie odkrył w Ludwiku Lambert, ostatnie słowo filozofii i nauk? Marzy o miejscu w Instytucie, w Izbie parów, o ministerjum. „Czyż to nie ludzie doszli do idei najwłaściwszej rządzenia ludźmi? Chciałbym widzieć ich zdziwienie, gdybym doszedł do teki ministerjalnej.” Ta chełpliwość ¹⁾, która we wszystkich przedmowach, grubo zarysowuje się, jest tylko niezgrabną; każdy ma swoją, tylko przez roztropność i dobry smak, każdy kryje się ze swoją; każdy prześlizguje się grzecznie i cichutko w przepelnionych salonach nazywanych światem; Balzak jako człowiek gruby i silny, posuwa się z hałasem, następując na nogi ludziom i rozbijając grupy. Nie była to zuchwałość ale zaniedbanie się. W potrzebie pozwalał zaprzeczać sobie, znosił nagane, dziękował szczerym doradcom. Śmiał się ze swoich przechwałek i po krótkim namyśle można mu je wybaczyć; jedna duma trudna do zniesienia, jest to duma tyrańska: był on dobry, nawet dziecinny, daleki od pychy i sztywności; żak w swych rozrywkach, lubił gapić się przy okazji, naiwny, gotów grać w gry towarzyskie i bawić się z całego serca. Jego listy do krewnych

¹⁾ Miał w swoim pokoju posążek Napoleona, a na pochwie szpady czytano te słowa: „To czego on nie mógł dokonać mieczem, ja dokonam piórem.” Podpisano Honoré de Balzac. (Werdet p. 331).

są wzruszające; niema uczucia piękniejszego i szerszego nad jego przywiązanie do siostry; wyłanie się jest tam zupełne i głębokie ¹⁾). Zmysłowość, szorstkość, trywialność, zartobliwa wesołość, chępliwność, dobroć, oto są skutki natury gotowej do zwierzeń; pozostaje wspomnieć o jednej własności jego charakteru, która inne uczyniła mu pokornymi: był to zapał twórczy, wyobraźnia pełna entuzjazmu i niewyczerpana. Głowa jego była wulkanem projektów, marzeń którym on się oddawał i porzucał dla piękniejszych. Przepelniały go rojenia o sławie i fortunie, kombinacye interesów, reformy stanu, języka i nauki, systemy administracyjne, błędy i prawdy we wszystkich rzeczach; pęknięcie dziwnych i błyszczących rakiet, które oświecają i objawiają wiek i świat. Życie, otoczenie i charakter prowadzą go do romansu. W nim się on instaluje, jako w swem państwie, z prawa natury i z prawa woli.

¹⁾ „Powiedz matce naszej że ją kocham tak jak kiedy byłem dzieckiem; pisząc te wiersze, czuję łzy w oczach, łzy czułości i rozpacz, dlatego że przeczuwam przyszłość, trzeba mi tej matki tak oddanej, w chwili tryumfu. Doglądaj pilnie naszą matkę Lauro dla teraźniejszości i dla przyszłości!”

II.

Umysł Balzaka.

To co nazywamy umysłem człowieka jest to zwyczajny sposób jego myślenia. Każdy z nas ma pewien nałóg który nim kieruje, zmusza do patrzenia najpierw tu potem tam, długo lub krótko, powoli lub prędko, upatrując tu obrazy, tam filozofię, jeszcze dalej szyderstwo, tak dobrze że zawsze weń wpada niezawodnie cokolwiekby robi, dlatego że ta potrzeba stała się jego naturą, wolą i upodobaniem; uczeni nazywają to metodą; artyści talentem. Z tego względu zbadajmy Balzaka.

I.

Począł nie tak jak artysta ale jak uczony. Zamiast malować, anatomizował. W duszę swych osób nie wchodził gwałtownie, jednym skokiem, jak Szekspir albo Saint Simon; krążył około nich cierpliwie, ciężko, jak anatomista, wynikając mięsień, potem kość, żyłę, nerw i dochodził do mózgu i serca, przeszedłszy cały krąg organów i funkcyj. Opisywał najpierw miasto, potem ulice i domy. Wyjaśniał powierzchowność domu, dziury w kamieniu, strukturę i materiały, drzwi, wydatności architektoniczne, kolor mchu, rdzę krat, szyby powybijane. Opowiadał rozpołożenie mieszkań, kształt kominów, datę obić, rodzaj

i ustawienie mebli, a potem rozwodził się nad odzieżą. Doszedłszy do osób wskazywał ustrój ręki, wygięcie się kości pacierzowej, wydatność nosa, grubość kości, długość podbródka, szerokość ust. Wyliczał ruchy, zmrużenie oczu, brodawki. Wiedział każdej osoby pochodzenie, edukację, historię życia, wiele posiadała w ziemi i dochodach, do jakiego towarzystwa uczęszczała, jakich ludzi widywała, co wydawała, co jadła, jakiego gatunku miała wina, u kogo się uczyła jej kucharka; krótko mówiąc, niezliczoną moc okoliczności nieskończenie rozgałęzionych i splecionych, z których się układa i cieniuje powierzchność, tło natury i życia ludzkiego. Widzimy w nim archeologa, budowniczego, tapicera, krawca, kupca, modniarkę, sekwestratora, fizyologa i notaryusza: jego ludzie zjawiają się kolejno, czytając najszczególowsze i najdokładniejsze sprawozdania o sobie. Artysta przysłuchiwał się uważnie, pracowicie, a wyobraźnia jego zapalała się wówczas tylko, kiedy ujrzał nagromadzony ogromny stos dokumentów. Wiedział o tem, chciał tego: powiadał o sobie: „Jestem doktorem nauk społecznych.” Jako uczeń Geoffroy Saint Hilaire, ogłaszał ¹⁾ projekt napisania historii naturalnej człowieka; katalog zwierząt już był wydany, on chciał ułożyć inwentarz ich obyczajów. Dokonał tego; historia sztuki nie przedstawiała nam dotąd tak obcych pomysłów o sztuce, ani też tak

¹⁾ Przedmowa do *Komedji Ludzkiej*.

wielkiego dzieła sztuki; ogromem uczoności dorównał prawie ogromowi przedmiotu.

Ztąd pochodzą liczne wady i zasługi: w wielu miejscach on nudzi wielu czytelników. Tylko co wspominałem iż w jego przedpokoju tłoczy się tłum przemysłowców i woźnych; pozostajemy z nimi, a nieprzyjemnie jest długo czekać w przedpokoju. Artysta zbyt długo każe się oczekiwać, przeklina się go, każe ziębnać całą godzinę z oddziałem jego oficyalistów. Zresztą ta gromada ludzi nie jest zbyt zabawna. Głowa trzaska od tych rachunków cieśli, adwokatów; czuje się przyduszoną tą atmosferą kancelaryi, amfiteatru i budy. Ażeby tam czuć się na miejscu, trzeba być z powołania badaczem lub krytykiem, albo też trudniącym się załatwianiem cudzych interesów. Żebyśmy nie byli wszyscy plebejuszami zamiłowanymi w nauce, tobyśmy opuścili p. Goriot w początku jego apopleksyi wodnistej i rzucilibyśmy w ogień Cezara Birotteau przy pierwszym deficycie w jego bilansie; autor ujrzałby pewno połowę swej publiczności w ucieczce, żeby wiek dziewiętnasty nie dodawał poezyi do kataplazmów i do spraw wekslowych. Lecz co gorsza że przez to książka staje się ciemną. Opisanie nie jest malowidłem, a Balzakowi często się zdaje iż maluje wówczas, kiedy tylko opisuje. W tych kompilacyach nie nie widzimy, są tylko katalogiem; wyliczanie pręcików kwiatu nigdy nie przedstawi nam przed oczy obrazu kwiatu. Potrzeba poetycznego technienia Jerzego Sanda

i Michelet'a, lub też widzeń gwałtownych Wiktora Hugo i Dickens'a, ażeby się zrodziły w nas postacie przedmiotów cielesnych; czujemy się porwani a wzruszenie prowadzi nas do jasności.

Drobiazgowość Balzaka pozostawia nas w spokoju, w ciemnościach; napróżno się wysila na szczegółowe opisanie belek pałacu du Guenie i nosa rycerza de Valois, belki te i nos pozostają w cieniu; fizyonomista lub archeolog mogą tylko coś z tego zrozumieć; ogół zaś czytelników pozostaje w poważnem milczeniu z gębą otwartą; błagając pocichu o rysunek lub portret. Największa niedogodność jest w tem że zbyt długi opis skrzywia wrażenie. Wyobraźnia tylko w przeblysku spostrzega osobę nieobecną, jeżeli zaś przeciąga się opisanie rysów jej i postaci w ciągu dwunastu wierszy, nie zgoła nie widzi. Nie może zdać sobie sprawy ani o postaci ani o charakterze tej osoby. Fizyonomia zniknęła, pozostaje tylko wiązka kości i mięśni. Naprzykład w tym opisie czy spostrzegamy kobietę czyli też zbiór części anatomicznych: „Łuk brwi silnie zarysowany wznosi się nad dwojgiem oczu, których płomień błyska czasami jak migotanie gwiazdy stałej; białość oka nie jest ani sinawe ani też pociągnięte czerwonymi żyłkami, ani też czystej białości, ma ono *stężałość rogu*, chociaż ton gorący. Żrenica otoczona kołem pomarańczowem; jest to *bronz okolony złotem*, lecz złotem żywym, bronzem ożywionym. Tu, żrenica mocno głęboka nie jest wzmieniona, jak u pewnych oczu, *przez rodzaj barwy*,

która odbija światło i czyni ją podobną do ócz tygrysa lub kota. Ta głębokość ma swoją nieskończoność, tak samo jak *oczy zwierciadlane* mają swój *absolut*." Portret ciągnie się w ten sposób przez dwieście wierszy. Pewien z moich przyjaciół, naturalista, prosił ażebym przyszedł obejrzeć przepysznego motyla, którego on *preparował*. Ujrzałem ze trzydzieści szpilek, któremi przymocowane były ze trzydzieści strzępków rospartych na papierze. Te małe strzępki wzięte razem stanowiły przepysznego motyla.

Ale też co za potęga! Co za wydatność i wypukłość nadana osobom przez owe nieskończone wyliczanie! jak się to daje spostrzeżać we wszystkich czynach i częściach! jak to się urzeczywistnia, z jaką dokładnością i energią wpaja się w pamięć i w przekonanie, jak to się staje podobnem z naturą i jakie sprawia złudzenie! Dlatego że natura jest taką, szczegóły są nieskończone i nieskończenie drobne; człowiek wewnętrzny wyciska swe piętno na swem życiu zewnętrznem, na swym domu, ruchomościach, interesach, ruchach, sposobie wysławiania się; należy się wyjaśnić wszystkie te rzeczy, ażeby go wyrazić całego. Potrawy któremi się żywisz, powietrze którym oddychasz, domy które cię otaczają, książki jakie czytasz, najdrobniejsze nałogi jakimi się pozwalasz kierować, najmniej dające się uczuć okoliczności którym ulegasz, wszystko to się przyczynia do ukształtowania człowieka jakim jesteś; nieskończona liczba wysiłków ześrod-

kowała się, ażeby sformować twój charakter, a twój charakter rozwija się przez nieskończone wysiłki. Dusza twoja jest soczewką kryształową, skupiającą w swem ognisku jasne promienie wychodzące z wszechświata bez granic, i odbija je w przestrzeni bez granic, rozpostarte jak wachlarz. Dlatego to każdy człowiek jest istotą oddzielną, najzupełniej wyrażającą się, ogromnie wieloraką, rodzajem przepaści której głąb' tylko geniusz jasnowidzący lub wielka erudycja mogą zmierzyć. Ośmielam się powiedzieć że w tem Balzak dorównywa Szekspirowi. Jego osoby żyją: weszły nawet do rozmów zwyczajnych, Nucingen, Rastignac, Filip Bridaeu, Phellion, Bixion i stu innych są ludźmi, których widziano, których cytują ażeby dać pojęcie o tej lub owej osobie rzeczywistej, którą można poznać na ulicy.

Przez to iż jest systematyczny jest mocny; jest to drugim rysem, dopełniającym uczonego; jest zarazem filozofem i spostrzegaczem, znane mu są szczegółowo prawa które ich łączą. Te mieszkania i fizyonomie są muszle na których się urabia dusza jego osób. Wszystko się w nich wiąże; zawsze się tam znajduje jakaś namiętność lub sytuacja, która ich zlewa i kieruje resztą własności. Dlatego on wyciska cechę tak mocną, każdy z ich czynów i części pogłębia ją a chociaż są niezliczone, jednoczą się dla ogólnego efektu. Odczuwamy je wszystkie w jednym wrażeniu, postać jest wyrazistszą niżeli osób żyjących, skupia w sobie to co w naturze jest rozrzucone. W uplano-

waniu jego romansów jest to jeszcze widoczniejszem. Rozkład tam jest szczytny: potrzeba było potęgi nadzwyczajnej pojmowania, ażeby połączyć wszystkie wypadki, ażeby manewrować całym wojskiem osób i łączyć z sobą długie łańcuchy machinacyi i intryg. Staje się podobnym do woźnicy w cyrku, który trzyma w swem ręku pięćdziesiąt silnych i strasznych koni, wskazując im gdzie iść mają, nie ujmując bynajmniej ich ognia. Czasami gubi się w rozumnym układzie tych planów; trzeba być kupcem ażeby zrozumieć *Cezara Biratteau*, urzędnikiem ażeby śledzić za *Une tenebreuse Affaire*; albowiem przechodzi to domiosłość zwyczajnych organów. Jest to tak bogaty koncert, składający się z tylu instrumentów nowych, z tylu rozmaitych idei i tak rozmaicie z sobą powiązanych, iż uszy nasze przyzwyczajone do prostoty klasyków, zaledwie mogą schwytać całość i myśl kompozytora. Zawsze jednak jaśnieje myśl wielka, która służy za środek jego bajki. Błądzi zapowiadając ją, lecz zapowiadając nigdy nie zwodzi. Opisuje i myśli. Widzi życie i pojmuje go. Celibat, małżeństwo, administracya, finanse, rozwiązłość, ambicya, wszystkie główne położenia w świecie, wszystkie głębokie namiętności, są tłem jego dzieł, on filozofował o człowieku. Naprzykład proszę wziąć *Père Goriot*; każdy charakter tam jest zwyczajny, nie bardziej oddalonego od tych istot ogólnych, czystych abstrakcyj, którym romansopisarze, metafizycy nadają imiona i warunki ludzkie. Lecz któż nie

spozrzeże po za szczegółami, które stanowią jedność i składają jej życie, skróconej historii dziewiętnastego wieku, walk młodego człowieka biednego pełnego ambicji, uzdolnionego, postawionego pomiędzy posłuszeństwem i buntem, widzącego z jednej strony ojca, prawdziwego „Chrystusa ojcostwa,” umierającego na podłym barłogu, zdradzonego przez córki i od wszystkich opuszczonego, a z drugiej strony pysznego bandytę „Kromwela Galer,” zbrojnego we wszystkie ułudy geniuszu, jakie tylko wypadek i doświadczenie okupić mogą? Któż w tej historii prywatnego życia naszego wieku, nie odszuka wiekuiściej historii serca, szekspirowskiego Hamleta, młodzieńca wspaniałomyślnego, uszlachetnionego pieśszcótami rodziny i złudzeniami młodości, który nagle widząc się wtrąconym w błoto życia, dusi się, walczy i kończy na tem iż musi albo w tem błocie pozostać, lub się w niem utopić? Połączenie wszystkich dzieł jego w jedną całość czyni z niego prawdziwego filozofa i stawia go na równi z największymi artystami. Każdy romans ściśle łączy się z innymi: też same osoby zjawiają się, wszystko się jednoczy, jest to dramat w stu obrazach, a każdy z nich przypomina inne; z tego co powiedziano możecie sądzić o efekcie. Na każdej stronnicy możecie objąć całą komedię ludzką. Jest to krajobraz ułożony w ten sposób, iż z każdego punktu możecie objąć całość. W umyśle waszym osoby powstają z niezliczonym orszakiem okoliczności, wśród których ich się

poznało, jednym rzutem oka widzi się ich pokrewieństwo, ich ojczyznę, pierwiastki ich charakteru i ich fortuny. Nigdy artysta nie skupił tyle światła na twarzy, którą chciał odmalować; nigdy artysta lepiej nie zapobiegł wrodzonej nieudolności sztuki. Dlatego że dramat lub romans jednostkowy, zawierający w sobie historię jednostkową, źle maluje naturę. Wycina tylko jedno wydarzenie z ogromnej tkaniny rzeczy, niszcząc tym sposobem węzły i przedłużenia za pomocą których to wydarzenie łączy się z sąsiednimi; ponieważ wybiera, przez to kaleczy i psuje wzór skracając go. Być dokładnym jest to być wielkim: Balzak pochwycił prawdę dlatego, że pochwycił ogół; jego systematyczna potęga nadała malowidłom jedność i siłę, interes i wierność.

Spotykamy się często ze śmiesznością; widzimy piękną scenę, nagle spada metafizyczna ulewa: obcieramy się narzekając i przeskakujemy przez dwie stronnice. Przysłuchiwaliśmy się zajmującemu rozumowaniu, nagle przybywa jedno z tych fantastycznych praw, zaimprovizowanych przez wyobraźnię i narzuconych w imieniu nauki¹⁾. Zbliżyliśmy się do końca komedyi zajmują-

1) „Natalia miała okrągłą kibić co jest oznaką siły, lecz zarazem nieomylna wskazówka woli dochodzącej często do uporczywości u osób posiadających umysł ani zbyt żywy ani też zbyt rozległy. Ręce jej podobne do rąk posągu greckiego stwierdzają przepowiednie twarzy i kibici, wyjawiając umysł skłonny do panowania nielogicznego i wolę w zachceniach.

cej i poruszającej, życia biednego kanonika, którego pozbawiono mieszczańskiego utrzymania, nagle widzimy się pogrążeni w przesadzoną galimacyę w podobnym rodzaju: „Niema wątplenia, że w innych czasach Trounbert mógłby być Hildebrandem albo Aleksandrem VI-m. Żyjemy w epoce, której główną wadę stanowi to, że rządy mniej starają się urabiać społeczeństwo dla człowieka, niż człowieka dla społeczeństwa. Istnieje ciągła walka między jednostką i systemem, który chce go wyzyskiwać na swoją korzyść, wówczas kiedy dawniej człowiek rzeczywiście będąc wolniejszy, okazywał się więcej wspaniałomyślnym dla sprawy publicznej. Krąg działalności ludzkiej, nieznacznie się rozszerzył; dusza mogąca objąć tę syntezę, będzie zawsze przepyszny wyjątkiem, dlatego iż zwykle tak w moralnym jak i w fizycznym sensie, ruch traci na sile, to co zyskuje na rozległości. Społeczeństwo nie powinno się gruntować na wyjątkach. Na początku człowiek był poprostu ojcem i serce jego gorąco uderzało śród rodziny. Potem żył dla klanu lub też dla małej rzeczypospolitej.” Wszystko to z powodu procesu dwóch kanoników i zbiedzonego poczciwca, dlatego iż niemoże znaleźć swoich pantofli. Kiedy Balzak jest filozofem, wówczas jest mglistym, a kiedy uczonym to pedantem.

II.

Widzieliśmy materyały do dzieła. Kiedy badacz i filozof nagromadzili w ten sposób idee i fakta, przybywał artysta; powoli ożywiał się; jego osoby nabierały barwy lub kształty, zaczynały żyć; artysta zaś po krótkiej rozwadze, poczynił czuć; mimowiednie widział swych osób ruchy, rozmowy, a czyny ich same z siebie układały się w jego mózgu. W tę ciężką masę z tak daleka i z takim staraniem, z taką pracą nagromadzone, wstępowało ciepło, metal topił się, spływał w formę i zjawiała się statua nowa i błyszcząca. Lecz jakiemż wysiłkami i jaką pracą! Balzak niema zapалу, bystrego i szczęśliwego natchnienia, łatwego i obfitego odgadywania prawdy i piękna. Z natury jest ciemny, wyrażenia jego są wykrzywione, pierwszym rzutem jego zawsze bywa zamieszanie przerywane i niepewne; kipi jak woda w zamkniętem naczyniu, przytłumionem ciężką pokrywą, którą podnosi chwilowo ale rozbić nie może. Jego ciężka natura cielesna zdaje się przytłaczać wrodzoną twórczość; walczył przeciwko samemu sobie i przeciwko wypadkom. Napisał czterdzieści tomów błahych romansów, które sam za takie uznawał, zanim przystąpił do *Komedji Ludzkiej*. Widzieliśmy stos studyów rodzaj budowy podziemnej na której wznosiło się każde z jego dzieł i pamiętamy, iż poprawiał, przekreślał, przetapiał aż do uczynienia nieczytelnymi dziesięć lub dwanaście prób każdego ze swoich

romansów. A jednakże czasami bywało i to za mało. Te wszystkie osoby nie żyją i chwilami u najbardziej żyjących fałszywy frazes lub czyn wskazują ze natchnienie chybiło; płomień pieca nie był dosyć silny, kawałki miedzi oparły się mu i garbią się niekształtnie na wielu najbardziej muskularnych i największych ciałach. Nie odrazu przekształcał się sam przez się w swoich osobach, czasami zatrzymywał się w drodze, i pod temi osobami spostrzega się samego Balzaka. *Pamiętniki dwóch młodych mężatek*, Farabesche w *Froboszczu Wiejskim*, Ojciec Fourchon w *Chłopach*, prawie wszyscy ci wielcy ludzie, prawie wszystkie te zacne i zakochane kobiety, są to posągi nawpół odlane, które trzeba oddać do przetopienia. Paryżanin lubiący żyć, wyrafinowany spostrzegacz i encyklopedysta, zamilowany fizyolog w chorobach moralnych, mglisty filozof, materyalista i mistyk przebijają się przez te rozmaite maski. Tyrady pani de Mortsauf są prawie tak nieprzyjemne jak *Concetti* Szekspira. Hrabina Honorina, umierająca od zbytku wstydu, pisze przed śmiercią najnieskromniejszy list. Pani Claës na łożu śmierci, wrywają się alluzje fizyologiczne i pewniki metafizyczne do których ona na szczęście nie jest zdolną. Biedna Eugenia Grandet, przybyła z prowincyi, naiwna, pędząca życie prawie klasztorne, tak panująca nad sobą, pobożna, dumna, pisze do swego kuzyna te słowa nie do uwierzenia, który ją opuszcza nagle i po grubiańsku. „Bądź szczęśliwy według społecznych wa-

runków, dla których poświęcasz pierwociny naszej miłości." Pewnoby pierwaj zużyła cały swój kałamarz, nimby znalazła pierwszą połowę swego frazesu; a pierwajby rozbiła kałamarz nimby napisała ostatnie trzy słowa.

Jednak najczęściej wychodzi sam z siebie i staje się przez siebie opisywaną osobą. Jego szad do pracy przemaga wszystko, artysta przygnieciony uczonym wyzwala się. Wstając o północy, siedząc ciągiem dwanaście godzin zamknięty u siebie przez dwa miesiące, tracąc poczucie zewnętrznych przedmiotów, aż do niepoznawania ulic, upaja się swoim dziełem ¹⁾, przepelnia tem swą wyobraźnię, jest nawiedzany przez swoje osoby, opowiadają go one, miewa ich widzenia; działają i cierpią w nim, i tak są obecne i tak potężne, iż odąd rozwijają się same przez się z niepodległością i koniecznością osób rzeczywistych. Obudziwszy się, zostaje jeszcze pogrąony w półśnie. Wierzy prawie w wypadki które opisał: „Wyjeżdżam do Alansonu, do Grenobli, gdzie mieszkają pani Cormou, p. Bénassis." Podaje wiadomości swoim przyjaciołom ze swego świata wymarzonego, tak jak się to zdarza w świecie prawdziwym. „Czy wiesz kogo Feliks de Vandeunesse zaślubia? pannę de Grandeville. Zawiera doskonale małżeństwo; Grandeville bogaci, pomimo tego co kosztowała panna de Bellefenille tę rodzinę." Trzeba

¹⁾ „Nie mam żadnej idei, nie czynię kroku któryby nie był *fizylogią*. Snię o niej i to tylko robię."

mieć potęgę złudzeń aby stwarzać dusze ¹⁾. Istoty wymarzone, rodzą się, trwają i działają pod tymi samymi warunkami jak i istoty rzeczywiste. Rodzą się one z systematycznego nagromadzenia nieskończoności idei, jak tamte drugie z systematycznego nagromadzenia nieskończoności przyczyn. Istnieją one przez społeczną obecność i mimowolne ześrodkowanie się idei, a tamte przez społeczną działalność i naturalne ześrodkowanie się przyczyn. Działają przez niezależny i nieobmyślany popęd idei twórczych, drugie przez osobisty i dobrowolny wysiłek przyczyn rodzajnych. Osoby wówczas oddzielają się od artysty, narzucają się mu, kierują nim, a siła halucynacyi jest jedynym źródłem prawdy. Zdaje mi się iż taki rodzaj umysłu jest najpierwszy ze wszystkich, ponieważ posiada zdolność skupiania najwięcej rzeczy na bardzo małej przestrzeni. Taki to czyn, takie słowo Vautrin'a, Bixion, Grandet, Hulot, pani Marneffe wymaga i przypomina wszystkie rysy ich charakterów i wszystkie okoliczności ich życia; spostrzegamy w przeblysku najbardziej nieoczekiwane i najrozleglejsze prawdy, psycho-

¹⁾ Pewnego dnia Jerzy Sandeau po powrocie z podróży, opowiadał o swojej chorej siostrze; Balzak słuchał go przez czas niejakiś, potem powiedział mu: „Wszystko to dobrze mój przyjacielu, *ale wróćmy do rzeczywistości*; mówmy o Eugenii Grandet.” Innym razem Balzak u p. Zofii Gay opisuje przepyszny białego konia, którego chce ofiarować Sandeau, kończy na tem iż zdaje mu się że go już ofiarował i pyta o tego konia Sandeau, etc. (Werdet).

logie temperamentów, płci, namiętności, całego człowieka i całą ludzkość z człowiekiem; są to skrócenia przepaści. Później przytoczę długie wyjątki, teraz zaś tylko dwa małe: rzecz idzie o tym filozofię galer, rodzaju Jago mniej złośliwym lecz niebezpieczniejszym jak tamten, który przewrotność podniósł do zasady i zaleca ją z całą siłą geniuszu i zepsucia. Układa przed Rastignac'iem budżet intryganta z wielkiego świata: „Pracznka twoja będzie cię kosztować tysiąc franków: *mitość i kościół wymagają pięknych obrusów na swych otta-rzach*. Trochę później, zaciągnawszy go prawie do zabójstwa, chce ująć go za rękę, — „Rastignac cofnął prędko swą rękę i blednąc upada na krzesło. Zdawało mu się iż widzi kałużę krwi przed sobą. — *A! więc jeszcze pozostały jakieś pieluchy zaplamione cnotą*, — powiada Vautrin cichym głosem. Papa d'Oliban ma trzy miliony, znam jego fortunę. Posag uczyni cię białym jak suknia narzeczonej w twoich własnych oczach.” Nie chcę wierzyć ażeby cynizm i mizantropia mogły kiedykolwiek wymyślić podobnie dotkliwe słowa. Oto drugi wyjątek: Baltazar Claës, bogaty Flaman-dczyk, staje się chemikiem, prawie alchemikiem, ateuszem; pewnego dnia żona jego wchodzi do laboratorium w czasie niebezpiecznego do-świadczenia; rzuca się na nią, porywa jak piórko, dobiega do schodów pośród pękania szkieł potłu-czonych, siada zmęczony na stopniu i mówi: „Moja kochana, zabroniłem ci tu wchodzić; *święci wybawili cię od śmierci*.” Śród podobnego opadnię-

cia z sił widziecie, że człowiek urobiony zniknął; pozostały tylko dziecinne przesady, mówi tak jakby miał lat dwanaście. Rzeczywiście mamy wiele przykładów wstrząśnień mózgowych, wskutek których znika znajomość wyuczonych języków, pozostawiając w pamięci tylko język rodzinny; idee wyższych pięter rozsypują się w gruzy, pozostaje tylko stary fundament. Widocznie iż Balzak nie myślał o tym patologicznym szczególe; ale natchnienie jest rodzajem wieszczbiarstwa. Zdarzyło się wam zapewne widzieć ciężką poczwarę z niezliczonym mnóstwem nóg, z niez mordowanymi zębami, usypiającą i przekształcającą w gęstej siatce którą sama utkała; ciężki motyl wylazi z trudnością z tej siatki, zaplątany i wykarmiony szczątkami swojej chryzalidy, a przepyszne ogromne skrzydła unoszą go w najwyższe sfery powietrzne. Takim jest Balzak ociążały i podtrzymywany przez grubą naturę swego temperamentu, przez nagromadzenie uczoneści, geniusz jego wyzwala się tylko mocą cierpliwości, po tysiącnych opóźnieniach, z widocznymi ujemnościami, przez skupienie i tryumf woli.

III.

Styl Balzaka.

I.

Kiedy się przedstawia Balzaka człowiekowi wyrobionego smaku, umięjącemu dobrze po francusku, wykarmionemu na klasykach, wówczas uczestniczy się w następującej komedyi:

Nasz pan z pewną bojaźnią, obraca szesnastoma grubemi tomami. Ogromna moc do czytania i to rzeczy nowych; nowożytni za dużo piszą. La Bruyère skarżył się, że już wszystko wypowiedziano; cóż ten nowy przybysz mógł wynaleść do tak długiej gawędy?

Jednakże odważa się, i ostrożnie na chybił trafił przewraca stronicę; napotyka te słowa: „Najwyszukańsza materyalność widnieje we wszystkich zwyczajach flamandczyków.”

Robi duże oczy, nie widział jeszcze cech tej wstrętnej istoty której miano materyalność. Zastanawia się i pocichu tłumaczy sobie tę rzecz: zapewne to znaczy: „Flamandczycy są wyrafinowani w swych przyzwyczajeniach do dobrobytu.”

Trochę odstraszone, otwiera drugi tom i czyta: „Niepodobna jest uniknąć rozumowania ze stanowiska materyalnego i społecznego jakie wynika z tego bilansu cnót publicznych w dziedzinie małżeństwa.” To zaciężko. Możeby pan de Balzak zrobił lepiej, żeby się wyraził poprostu: „Nie

wszystkie kobiety zamężne są poczciwe; jest to złem lecz zarazem i dobrem; bez tego mężczyźni zwracaliby się w zbyt niskie sfery.

Ażeby wypocząć (te wyjaśnienia są zbyt ciężkie), szuka lekkiego, prostego malowidła; wskazują mu proboszcza z Tours; jest tam stara panna kłótnica i dewotka; zapewne pan de Balzac traktować to będzie z pewną wesołością. Napotyka taki początek: „Żadna z istot rodzaju żeńskiego nie była zdolniejszą od panny Zofii Gamard urobienia natury elegijnej starej panny.” *Istota, rodzaj żeński, natura elegijna*, czyż jestem w muzeum antropologicznem? Przewraca kartę, oczy jego zatrzymują się na tym pięknym frazesie: „Taka to była substancja roślin wyrzuconych przez *rukki włoskowate* wielkiego soboru samiczego.” W rzeczywistości to kurs botaniki; do jakiegoż to gniazda oss weszliśmy? Przeskakuje dwadzieścia kart i odczytuje po trzykroć, ze zdziwieniem coraz wzrastającym ostatnią stronicę: „Pozorny egoizm mężczyzn, noszących naukę, naród lub prawa w swem łonie, nie jest że to najszlachetniejszą namiętnością, pewnym rodzajem macierzyństwa mass? Ażeby wydawać na świat nowe narody i wyrabiać nowe idee, czyż nie powinni oni połączyć w swych potężnych głowach pierś karmiącą kobiety z siłą Boga?” Nigdy nie widział mężczyzn, mających piersi w głowie. Uderza po swojej głowie, ręce mu opadają i spogląda z uśmiechem na swego nieszczęśliwego przyjaciela, który znajduje to pięknem.

Odpooczywa chwilę i po upływie pół godziny znów bierze się do pracy. Spotyka „przekonania nigdy nie wiedniejące,” „cierpienia raka objawiające się przez rwanie gryzące duszę, telegraf ustny.” Znajduje że wojażujący komissant jest pyroforem¹⁾ ludzkim, niedowierzającym księdzem, który przez to „lepiej mówi o tajemnicach i dogmatach.” Dowiaduje się pośród sprzedaży dwóch kapeluszy że „naród posiadający dwie Izby, że kobieta nadstawiająca dwoje uszu są jednakowo zgubieni; że Ewa i wąż składają odwieczny myt codziennych spraw, które się rozpoczęły i skończą razem ze światem.” Ztąd wnioskuje że historia podróżującego komisanta, daje powód do wielu bardzo pięknych morałów; stawia za zasadę że p. Balzak jest encyklopedystą pedantskim, jeżeli zaś znosi jego wielkie słowa, jego uczony szwargot, jego gryzmoły filozoficzne, to nie inaczej jak znosimy deszcz w listopadzie. Zostają mu jeszcze dwie rzeczy do zniesienia.

Otwiera *Eugenię Grandet*. Wszyscy mówili mu że to jest arcydzieło w rodzaju prostym. Zapewne pierwszy frazes będzie prosty: początek zawsze jest takim; wezmij ten naprzykład: „Spotyka się często na prowincyi domy których widok napędza melancholię podobnie jak najciemniejsze klasztory, jak stepy zamglone i najsmutniejsze ruiny. Być może w tych domach rzeczywiście znajduje się milczenie klasztorne, bezpłodność stepów i

1) Preparat chemiczny zapalający się w powietrzu,

szkielety ruin." Co za początek! P. de Balzak natęży głos i ogłasza swą sztukę z nakrochmaloną i groźną uroczyością pokazywacza marynetek.

Biedny czytelnik uzbraja się w cierpliwość; przystępuje do innego romansu zarówno słynnego; *Lilia w dolinie*, najbardziej lubionego przez autora: „Jakież to talentowi, wykarmionemu przez łzy, obowiązani będziemy kiedyś za najbardziej wzruszającą elegię, obraz udręczeń znoszonych w cichości, przez dusze, których czułe korzenie natrafiają tylko na twarde kamyczki domowego gruntu, których pierwsze szemranie rozdarły nienawistne ręce, a pierwsze kwiaty, zwarzył mróz w chwili rozkwitu.” Tyle figur od pierwszego wiersza! Te przenośnie wstały zbyt rano! P. de Balzak podobny jest do malarza, który pierwaj nim zaczął malować wylał cały garnek czerwonej farby na swój obraz. Zaczyna się ból głowy; czytelnik sądzi że ten styl to miedź posrebrzana, że on oznacza pracowitego i nieszczęśliwego pisarza, kolorystę wbrew woli i z rozkazu. I rzeczywiście, patrzcie ten ustęp, wzięty z pośród dwudziestu innych podobnych: „Wszystkie fabryki wyrobów umysłowych odkryły pieprz turecki, imbir specjalny, swą uciechę. Ztąd pochodzą premia, spodziewane dywidendy; ztąd porwanie idei, przez podobnych do handlarzy niewolnikami w Azji, przedsiębiorców publicznego rozumu, którzy je wyrywają z ojcowskiego mózgu tylko co rozkwitłe, rozbierają i ciągną do stóp

swego ogłupionego Sultana, ich *Shahababam*, tę ogromną publikę która, jeżeli go nie bawi, każe przedsiębiorcom ucinąć głowę lub pozbawia ich obroku złotego." P. de Balzak chce być poetą: a chce o tyle, iż chce zanadto, staje się enigmatyczny: „Karolina jest drugim wydaniem Nabuchodonozora; dlatego że pewnego dnia, również jak królewska chryzalida, przejdzie z włosienia zwierzęcego do zjadliwości cesarskiej purpury." To ma oznaczać że głupia kobieta może stać się złośliwą. Córki Gorgibusa mówiły w ten sposób.

Jeszcze jedno wysilenie; ile to kosztuje, przystąpienie do pisarzy nowożytnych! Dawniej tak swobodnie wchodziło do pięknej książki; dzisiaj zaś abstrakcye i przenośnie zagrządzają drzwi tak piękne i tak wygodne jak cierniste krzaki ostrokrzewu. Oto jest początek *Życia kawalerskiego*. „W 1790 r, mieszczaństwo w Issuden, cieszyło się z doktora nazwiskiem Rouget, który uchodził za głęboko przebiegłego człowieka." *Korzystało!* odźwierni tylko tak się wyrażają. „Pan *cieszysz się złem zdrowiem.*" Nie jestem odźwierny, nie lubię ażeby do mnie tym stylem mówiono. Czytelnik nasz jest tyle łaskaw iż raczy czytać dalej i spotyka miejscami takie frazesy, (rzecz idzie o pułkownika, który w przystępie wspaniałomyślności, rozbija fajkę): „Aniołowie mogliby zebrać szczątki tej fajki." Albo: „Uśmiechnęła się tym uśmiechem kobiet zrezygnowanych, który mógłby przebić granit." Wyrazy: *szczytny, zachwycający,*

olsniewający, nadludzki, spotykają się na każdej stronnicy. Stanowczo p. de Balzak ma złe ułożenie; jest grubianinem i szarlatanem; śmieje się głośno i ma głos krzykliwy ludzi z gminu. Styl jego odurza, dręczy go ażeby uczynić silnym; rozpała się ażeby się rozegrzać; to bardzo niezdrowo, poprzestaję na tem.

Poczem oddaje wam szesnaście tomów i mówi: „Jeżeli czytam kogo, to taksamo jakbym przyjmował u siebie dobrze wychowanego człowieka, posiadającego dar rozmowy. P. de Balzak mówi jak słownik sztuk i rzemiosł, jak podręcznik filozofii niemieckiej i jak encyklopedia nauk przyrodniczych. Jeżeli przypadkiem zapomina tego żargonu, pozostaje w nim wesoły wyrobnik, który dowodzi i krzyczy za rogatkami. Jeżeli nakoniec artysta uwydatnia się, widzę człowieka temperamentu krwistego, gwałtownego, chorego u którego idee wybuchają z trudnością w stylu ciężkim, wymęczonym, nad miarę przesadzonym. Żaden z tych ludzi nie umie rozmawiać, żadnego nie wpuściłbym do mego salonu.”

II.

Ten sąd prawdziwie francuzki i klasyczny, pochodzi ze zwyczajów życia i stanu umysłów siedmnastego wieku; wymaga dwóch rzeczy: pierwsza, ażeby rozmawiać ze światowymi ludźmi, druga żeby ci ludzie formowali swe myśli za pomocą analizy.

I rzeczywiście, przepatrzcie po kolei wezwyczajenia do analizy i salonu. W salonie najpierwszy warunek ażeby nie zrażać do siebie; drugie ażeby się podobać. Powinniście unikać specjalnego sposobu wyrażania się w rozmowie z mężczyznami a szczególnie z kobietami, nie zrozumieliby was. Termina chemiczne, zoologiczne lub bankowe zrobiłyby tam taki sam efekt jak rogale, szkiele ty lub rejestra rozłożone na stolikach kwiatowych i sofach; miłość własna cierpiałaby na tem iż ich nie pojmuje; dobry smak byłby skażony temi niezgodnościami; delikatność miałaby wstręt do tych przypomnień pracy i pieniędzy. Powinniście również unikać wszelkiego języka metafizycznego, mielibyście minę profesora; wieczór nie jest szkołą, zresztą tam się bawią a jeszcze nigdy metafizyka nie rozweselała. Najbardziej, powinniście unikać złych gestów i wykrzyknień zbyt głośnych. Ludzie tu są bogaci, prawie wszyscy próźniacy, oznajmieni z literaturą piękną; tworzą pewien rodzaj arystokracji, a arystokracja, przez dumę, skromność, subtelność smaku, odrzuca z obrzydzeniem wszystko co tchnie szynkiem. Powinniście być grzeczni, a każdy grzeczny człowiek unika pozorów wielkiego męża, odrzuca ton pretensjonalny, pozowania nadzwyczajne, starające się zwrócić na się uwagę i nakazujących poszanowanie.

Z drugiej strony, jeżeli ludzie układają swe idee, za pomocą analizy, myślą powoli, nagły skok zbija ich z tropu; wymagają i wszędzie sta-

wiają przejścia¹⁾. Nie chcą ażeby ich przerzucano nagle z banku do astronomii, ani też aby z pałacu wpadano do budy. Chcą ażeby druga idea postępowała w porządku naturalnym wślad za pierwszą, ażeby stronnica zawierała rozwój myśli jednego rodzaju i porządku, ażeby dla dojścia do prawd bardzo ogólnych, autor stawiał drabinę prawd podrzędnych i pomocniczych, ażeby wykladał naprzód rzeczy zwyczajne i codzienne wypadki, i żeby stopniami, niewidzialnie, doprowadził czytelnika do rozmyślań wzniosłych i nieoczekiwanych. Nakazują mu aby porównywał rzeczy szlachetne z szlachetnemi i przedmioty niskie z niskiemi, żeby odnajdywał w treści religijnej figury pobożne, a obrazy zabawne w treści wesołej. Wybierają słowa według ich pierwiastku i użytku, używając jaknajprostszycch, naśladowując wszędzie styl łaciński i grecki, ściśle pilnując się dokładności i jasności. Mają wstręt do porównań nadzwyczajnych, wyrażeń gwałtownych, łączenia słów niezgadających się z sobą, paradoksów stylowych, dziwactw, wyrafinowania i wybryków imaginacyi. Chcą ażeby do nich przemawiano na sposób eleganckiej algebry, i żeby rozum wypływał z jednej idei w następną, postępował nieustannie, jednakowo, sam z siebie bez zboczenia, wysilen i ścierania się.

¹⁾ Patrz na przykład przejścia Boileau w satyrze „*Satyra kobiet*”. Cierpi nad tem, ale uważa się do tego zmuszonym.

Zapewne że Balzak nie powinien się podobać osobom mającym ten rodzaj umysłu i prowadzącym takie życie. Lecz na to można odpowiedzieć, iż nie wszyscy ludzie prowadzą takie życie i mają taki umysł. Zmieńcie zwyczaje postępowania i myślenia: w jednej chwili zmienia się reguły stylu. Zamiast salonu weźcie klub polityczny; ujrzymy iż cierpka ironia, zawzięta polemika, namiętności ześrodkowane i nienawistne, solidarność i pospolitość umysłu praktycznego, zastąpią elegancję i subtelność. Podobnie, zamiast rozmawiających którzy analizują, weźmiem malarzy którzy tworzą, w jeden moment obrazy rozrzucone, podskoki umysłu nagłe i ogromne, figury trywialne, nagie, wybitne zastąpią miarowy i regularny rozwój. Co więcej, jeżeli zechcecie przenieść do klubu język salonowy, okażecie się tam mdłymi i wyrachowanymi; nazwą was tam trzpiotami i skoczkami. Jeżeli przemówisz do malarza stylem analizy, okażesz się nudnym i mglistym; nazwie cię akademikiem i gadułą. Dobry styl jest tą sztuką: aby kazać sobie słuchać i być zrozumianym; ta sztuka ulega zmianom względnie do audytorium, niepodoba się temu dlatego że się podoba tamtemu; co jest ciemnem i nudnem dla jednego, drugiemu wydaje się jasnem i wdzięcznem. Nikt nie ma prawa narzucać drugiemu swoich przyjemności i swojej natury; i nikt nie ma prawa pożyczać u drugiego jego natury i przyjemności. Przez to jest moc niezliczona dobrych stylów; jest ich tyle ile jest

wieków, narodów i wielkich rozumów. Wszyscy się różnią. Jeżeli piszesz dziś na sposób Herodota lub Homera, będą cię traktować jak dziecko; jeżeli będziesz mówił na sposób Izajasza lub Joba uciekać będą od ciebie jak od waryata. Między wiekami i umysłami są takie przegrody jak między gatunkami i instynktami. Rozmaitość natury u jednych stanowi rozmaitość instynktów, jak u drugich rozmaitość literatur; — historia społeczna jest dalszym ciągiem historyi naturalnej; a pretensya sążenia wszystkich stylów według jednej reguły, jest tak wielką jak zamiar sprowadzenia wszystkich umysłów do jednej formy i do odbudowywania wszystkich wieków według jednego planu.

Rozważmy więc audytoryum Balzaka i budowę umysłu słuchaczy. Zechcecie narzucać im zwyczaj salonowe, ale czyż mamy dzisiaj salony? Widzę doskonale jeszcze ogromną salę z kwiatami, fortepianem, świecami; ale w tem wszystko. Mężczyźni po obiedzie idą do fajczarni, jeżeli zaś pozostają, ujrzysz ich skupionych w jednym kącie lub też rozbitych na małe grupy. Mówią o polityce, o żelaznych drogach, trochę o literaturze, co najwięcej o interesach: zebrali się „aby się dowiedzieć co słyhać, dla podtrzymania stosunków.” Od czasu do czasu jeden z nich oddziela się, idzie powitać damy które utworzyły grono około kominka; zniesienie galanteryi i dworszczyzny odsunęło je tam; mówią tylko o strojach i muzyce. Na balu wieluż to ludzi tańczy po dwu-

dziesięciu pięciu latach? I rzeczywiście mają racyę. Potrzeba dla takiej posługi różowych policzków kawalera de Grammont, jego fraka różowego lub koloru zielonego jabłka, jego złoceni, wstążek i koronek; ich zaś czarne pogrzebowe ubranie, ich mina zakłopotana, uśmiech wymuszony odstręczają; i dlatego wogóle im dobrze tylko pomiędzy sobą. Dla nich prawdziwy salon to klub; zmęczeni interesami, cyframi, nauką i pracą, idą tam dla przeczytania dzienników. Będąc prawie wszyscy ludźmi specjalnymi, ocierali się koło ludzi specjalnych rozmaitego rodzaju, i język warsztatowy lub naukowy też ich nie razi. Wszystkie filozofie i wszystkie literatury przeszły się po nich, przedystylowane przez gazety, rozmowę i tysiące maszyn używalnych dla nasycania życia paryskiego. Paryż jednocześnie jest zbiornikiem i alembikiem w którym się tłumią i rafinują idee z całego świata. W ten sposób zniechęceni i nakarmieni, mogą znaleźć przyjemności w każdym porządku myśli, znoszą myśl tylko w formie uderzającej. Chcą się rozerwać, zdumiewać; czują potrzebę nowości, niezwykłości i niespodzianek. Wiem o tem iż pozostaje w nich tło umiarkowania, grzeczności i elegancji a Balzak, poznaje to, przez swe dziwactwo, pedanterję, ciemność i przesadę, często przekracza to, czego ich smak wymaga. Mniejsza z tem, zawsze to oryginalne audytoryum jest zupełne, odróżniające się od innych a posiadające też same prawa; jeżeli ma swoje wady ma też swoje zasłu-

gi, jeżeli jest mniej przyjemne i mniej grzeczne niż dawne, jest zato uczeńsze, ma umysł więcej otwarty, jest doświadczeńsze w literaturze. Widzicie iż Balzak ma prawo być encyklopedystą, filozofem, gwałtownym i niezwykłym, iż jego wezwyczajenia stylowe zgadzają się z nałogami naszego życia, i że pisarz ma uznanie publiczności.

Spojrzymy teraz na pisarza: chcecie mu narzucić zwyczaj analizy: on ma inne, ponieważ jest artystą; a jego zwyczaje warte waszych, dlatego że tak jak wy, jest zrozumiałe dla podobnych sobie. Wasz umysł przypomina tablicę z porządkowej książki zoologicznej lub fizycznej; idee tam się układają same przez się w regularnym szeregu, progresywnym. Rodzą się podzielone i rozklasyfikowane: ich punkt wyjścia objawia się naturalnie i natychmiastowo. Znajdują domy zawczasu przygotowane i każda familia wchodzi do swego nie tracąc żadnego ze swych członków, nie wpuszczając nikogo z obcych. Nie w taki to sposób tworzy artysta. Wszystkie jego zdolności na raz się poruszają; w nim filozof, encyklopedysta, doktor, badacz, powstają jednocześnie. I tak potrzeba, dlatego że materiały dostarczone przez wszystkie zdolności razem się spółubiegają dla dostarczenia czynów i słów do działania i mówienia. Jeżeli by on ich używał po kolei i odosobnione, wytworzyłby postacie pokaleczone i istoty abstrakcyjne. U niego idee zbierają się i kryształizują się kawałkami, po wszystkich kątach

tygła, według wszelkich wybryków i nierówności natchnienia, bez przygotowanych zawczasu, symetrycznych ram; tu jedno słówko olśniewające malujące w skróceniu charakter, obok niego maksyma ogólna, w temże samem miejscu rys żartobliwy, kipiący chaos obrazów, uwag i uczuć.

Wasze słowa są to określenia, mające każde z nich swą dokładną wartość, oparte na podstawie i połączeniach; jego zaś są to tylko symbole, których sens i użytek wynajduje kapryśne marzycielstwo. Według słów jego, poświęcił siedm lat na zrozumienie co to jest język francuski. Prawdą zaś jest iż go głęboko zbadał ¹⁾, ale na swój sposób, jak inni którym również zarzucają barbaryzm. Dla nich każde słowo jest nie cyfrą ale przebudzeniem obrazów; ważą go, obracają, skandują: w trakcie tego, obłok wzruszenia i błędne postacie przechodzą przez mózg; tysiąc odcieni uczuć, tysiąc pomieszanych wspomnień, tysiąc spostrzeżeń powikłanych, jakiś dźwięk melodyjny, ułamek krajobrazu, skrzyżowały się w głowie, słowo u nich jest nagłem przywołaniem do tego świata zjawisk omdlałych. Co za odległość między sensem ich i gramatyków. Zawsze to jest sens i nie możecie temu zaprzeczać chociaż go nie rozumiecie. Jest to rodzaj budownictwa co prawda nowego, lecz również różległego

¹⁾ Patrz na dowód zachwycający styl *Contes Drolatiques* zupełnie podobny do karnacyi Jordaensa.

jak starożytnie, które niepowinno narzucać swych reguł innemu ani przyjmować cudzych i które, jak z nim spółzawodniczące, ma swoje piękności.

Nasamprzód wielkość, bogactwo i nowość. Ten styl jest to olbrzymi chaos, wszystko tam się mieści: sztuki, nauki, rzemiosła, cała historia, filozofowie, religia, wszystko tam dostarczyło słów. W dziesięciu wierszach przebiega się cztery strony świata i myśli. Jest to idea Szwedenburga a obok metafora rzeźnika albo chemika, dwa wiersze poniżej — ułamek tyrady filozoficznej, potem fraszka, odcień rozczulenia, półwidzenie malarza, peryod muzykalny. Jest to nadzwyczajny karnawał zaków metafizyków, lubieżnych sylenów, wypłowiałych uczonych, chwiejących się artystów, wyrobników w bluzie, wyszamerowanych i upstrzonych z całym przepychem i we wszelką tandetę, potracających wszelkie ubiory i stare odzienia wszystkich wieków, tu łachman a tam suknia ze złota, purpura zszyta ze szmat, łachmany haftowane dyamentami. Cały ten tłum kręci się w pyle i w świetle oblewając się potem, przy migotaniu gazu którego przykry blask rozlewa potoki światła i olśniewa. Z początku jesteś zdumiony; potem następuje przyzwyczajenie, wkrótce przybywa sympatya i przyjemność. Jesteś poruszony tem wtargnięciem się dziwacznych figur, tą szerokością perspektywy, tem nagłym i ogromnem odkryciem się tylu widnokręgów. Wkrótce te dziwactwa zaczynają cię zajmować, zaczynasz smakować w niespodzie-

wanych metaforach; umysł twój spostrzega pomiędzy najodleglejszymi przedmiotami nieznaną łączność. Tysiące oczek, za pomocą których wszystkie te rzeczy trzymają się i wiążą z jednego krańca świata na drugi, oplatają przed twymi oczami to wszystko nierozzerwaną siatką. Przez chemię tłómaczą miłość; kuchnia styka się z polityką, muzyka i handel korzenny są pokrewne z filozofią. Widzisz więcej rzeczy i więcej łączących ich węzłów; zamiast ogrodu wygodnego i dobrze zasadzonego, masz ogromną i ciemną gąszcz wielkiego lasu.

Wkrótce serce porusza się wślad za rozumem; pod tem tłumnem mrowiskiem idei wylewających się, czujemy wzmagające się ciepło. Te gwałtowne wyrażania się, te obrazy pozbierane ze szpitala i galer, to połączenie się niesłychanych zdań, ta gorącość stylu przygłuszonego ideami, których pomieścić w sobie nie może, oznajmują pewien stopień cierpienia, wysilania się i geniuszu jakich gdzieindziej nie spotykamy. Walczy on z ociężałością swojej natury i z natłokiem swej wiedzy; jego wewnętrzny piec rozpala się goręcej pod masą która go druzgocze i kończy tem że go podnosi. Przyjmuje się udział w tej pracy i w zwycięstwie; cierpi się od tej zawziętości natchnienia natłoczonego, od tych czynów gorączkowej woli; lecz się czuje przeniknionym tą wzrastającą namiętnością i tą tryumfującą potęgą. Wrażenie jest chorobliwe lecz tak mocne że się go nie zapomina. Będąc w ten sposób pomieszany i po-

rwany przestajemy się dziwić obfitości obrazów, przebijają one kipiącą masę, jak te purpurowe i różowe płomyki ulatujące po nad tygłem. Ma on oczy malarza: pomimowoli i dobrowolnie widzi kolory i kształty, potrzebuje ich; abstrakcyjne stykają się u niego z malowidłami, na zakręcie rozumowania wpada w krajobraz.

Często nawet poezya wschodu niemoże mu dorównać w przepysznym i olśniewającym obrazowaniu; jest to zbytek i upojenie; pływa się w niebie woni i światła, i wszystkie rokoszy dni letnich przenikają zmysły i serce, drżąc i brzęcząc jak tłum barwnych motyli.

Niezaprzeczenie ten człowiek, niezważając na to co o nim mówiono i co on sam zdziałał, posiadał swój język; nawet posiadał go tak jak nikt inny; tylko że go używał na swój sposób.

IV.

Świat Balzaka.

W swojej przedmowie do *Komedyi Ludzkiej*, Balzak ogłasza zamiar napisania *historji* naturalnej człowieka; talent jego nadawał się do zamiaru; ztąd pochodzą rodzaj i rysy jego figur: jaki ojciec takie dzieci. Skoro się wie w jaki sposób artysta tworzy, łatwo przewidzieć co stworzy.

W oczach naturalisty, człowiek nie jest rozumem niepodległym, wyższym, zdrowym, sam

przez się zdolnym doścignąć przez samo wysilenie prawdy i cnoty, lecz tylko prostą siłą, jednego szeregu z innymi, otrzymującą od okoliczności swój stopień i kierunek. Ukochał ją dla niej samej i dlatego na wszystkich stopniach, we wszelkich użytkach kocha ją; i niech tylko widzi ją czynną, czuje się zadowolony. Równie jak słoń chętnie rozcina owoc, tak chętnie roztrząsać będzie odźwiernego jak ministra. Dla niego niema śmierci. On rozumie i porusza siły, w tem jego przyjemność, nie ma innych i nie powiada: co za piękny widok! lecz: co za piękny przedmiot! A tymi pięknymi przedmiotami są istoty ciekawe, znaczące w nauce, będące w stanie uwydatnić niektóre ważne typy, pewne szczególne skrzywienia, właściwe do wyjawienia rozległych i nowych praw. Nie troszczy się o czystość i wdzięk, w jego oczach ropucha tyle warta co motyl; nietoperz więcej go zajmuje niż słowik. Jeżeli jesteś delikatny, nie otwieraj jego książki; będzie ci opisywał rzeczy, tak jak one są, to jest bardzo brzydkimi, nago, nic nieoszczędzając ani też upiększając; jeżeli zaś upiękniejszy to w dziwny sposób. Ponieważ lubi siły naturalne i tylko je lubi, przeto przedstawia ułomności, choroby i wielkie potworności jakie wytwarzają kiedy się je wzmocni.

Naturalista nie ma ideału, a najwięcej naturalistą jest Balzak. Widzieliśmy iż nie posiada żywej i ruchliwej wyobraźni przy pomocy której Szekspir dotyka i porusza cienkie nici łączące istoty;

jest ciężki, uporczywie i z trudem pogrążony w znoju nauki, zajęty liczeniem wszystkich włókien które rozbiera z takim nagromadzeniem narzędzi i odpychających preparatów, iż gdy wychodzi ze swego lochu i wraca na światło, zachowuje zapach laboratorium, w którym siedział zagrzebany. Brak mu prawdziwej szlachetności; rzeczy delikatne przed nim umykają, jego ręce anatomisty kalają czyste istoty; szpeci brzydota. Lecz odnosi tryumf, opisując nikczemność. Dobrze mu w nieszlachetnościach, przemieszkuje tam bez wstrętu; śledzi z wewnątrz zadowoleniem swary pożycia małżeńskiego i oszustwo pieniężne. Z równym zadowoleniem rozwija czyny siły. Uzbrowiony jest w brutalność i wyrachowanie; — rozważa dostarcza mu uczonych kombinacyj; szorstkość pozbawia obawy obrażenia. Nikt nie jest w stanie tak odmalować zwierzęta krwiożercze, małe i wielkie. Takie to jest koło do którego popycha i w którym go zamyka natura; jest to artysta potężny i ciężki, upodobania i zdolności naturalisty, są jego panami i sługami. Z tego tytułu odtwarza rzeczywistość; lubi wielkie potworności, i najlepiej maluje nikczemność i siłę. Oto są materiały, z których mają się składać jego osoby, jedne z nich będą niedoskonałe a drugie zachwycające, a to według istoty ich, która się nada lub też nienada do formy gdzie wejść powinna.

I.

Najniżej stoją ludzie z warsztatu i z prowincyi. Niegdyś byli oni tylko dziwacznymi i przesadzeni dla rozśmieszenia lub też niedbale zarysowani w kąciaku malowidła. Balzak ich opisuje na seryo, zajmuje się nimi, są to jego ulubieńcy i ma słuszną, dlatego że jest w swojej dziedzinie. Oni są właściwym przedmiotem dla naturalisty. Są rodzajami w społeczeństwie, podobnymi do rodzajów w naturze. Każdy z tych rodzajów ma swoje instynkta, swoje potrzeby, swoją broń, swą postać wybitną. Warsztat wytwarza różnorodność w człowieku, jak jak klimat w zwierzęciu; sposób trzymania się jaki on nakazuje duszy będąc ciągłym, staje się stanowczym; zdolności i skłonności, które ujarzmia tracą swą moc, a te które wyrabia, wzrastają; człowiek naturalny i pierwiastkowy znika; pozostaje istota odrzucana i wzmocniana, kształtowana i kaleczona, oszpecona ale mogąca żyć. To jest odpychające, mniejsza z tem; te ułomności nabyte, podobają się umysłowi Balzaka. Chętnie wchodzi do kuchni, kantoru i na tandetę; żaden zapach nie jest mu przykry, a żadne zwalanie się wstrętnem, ponieważ ma grube zmysły. Powiem nawet że z upodobaniem przebywa w tych duszach; spotyka tam głupotę w pełnym rozkwicie, kolącą i niską próżność, a najwięcej interesowności. Nic go nie odpycha, owszem wszystko tam go pociąga; dochodzi do szczytu w historii pieniędzy; pieniądz jest to wielki czynnik ludzko-

ści, a najbardziej w tych nizinach gdzie człowiek zmuszony rachować, zbierać i mataczyć pod karą śmierci. Balzak bierze udział w tem pragnieniu zysku, stara się o nasze dla niego spótczucie, upiększa obroty zręcznością i cierpliwością przypisywanych mu kombinacji. Jego systematyczna potęga i szczerą miłość dla brzydoty ludzkiej, stworzyły epopeę interesów pieniężnych. Ztąd te prowincjonalne salony, gdzie ludzie ogłupieni przez rzemiosło i próżniactwo, przychodzą w ubraniach z tandety i w sztywnych krawatach, rozmawiać o odkrytych spadkach i o pogodzie; salon taki jest to rodzaj skrzynki dla wygaszania węgla, gdzie każda idea ginie lub butwieje,—gdzie się przesady jeżą, śmieszność panuje, chciwość i miłość własna skwaszone wyczekiwaniem podniecają się tysiącem plugastw i tysiącem zwaśnień, do wywalczenia pierwszego miejsca, lub poprostu jakiegokolwiek stanowiska. Ztąd te ministeryalne biura, gdzie urzędnicy dręczą się, znikczemczają lub też zbroją się w rezygnacyę, jedni oddani manii, fabrykanci kalemburów i zbieracze osobliwości, inni na nic nie czuli, gryzą tylko pióra, inni niespokojni jak małpy w klatce, intryganci i gaduły, jeszcze inni zasklepieni w swej głupocie jak ślimak w skorupie, szczęśliwi z przepisywania referatów charakterem pięknym i bez zarzutu, po największej części wychudli z głodu i pełzający po podziemiach błotnych dla pochwylenia gratyfikacji lub awansu. Ztąd te sklepy zawalane błotem paryskim, zagłuszone turkotem

powozów, zaciemnione wilgotną mgłą, gdzie ślamazarni i wybladli kupeczyki drobiazgów, spędzają życie od trzydziestu lat na obwiązywaniu szpagatem pakiecików, na ujadaniu się z subjektami, spisywaniu inwentarza, na kłamstwie i na uśmiechach. Ztąd również te małe dzienniki, naj-Okropniejsze z malowideł Balzaka, gdzie sprzedają prawdę a szczególnie kłamstwo, gdzie się popisują z dowcipem o tej i tej godzinie i tyle za wiersz „zupełnie w ten sposób jak zapalają lampy,” gdzie pisarz znękany potrzebą, zgłodniały pieniędzy, zmuszony do pisania, uważa siebie za maszynę. Sztukę traktuje po kucharsku, wszystkim pogardza, pogardza sam sobą i tylku w orgiach umysłu i zmysłów znajduje zapomnienie. Ztąd jego więzienia, jego tabldoty, jego Paryż, prowincya i ten obraz zawsze ten sam, zawsze rozmaity, ułomności i pożądliwości ludzkich. W gruncie one mu się podobają; są to jego bohaterowie, kiedy ich wieńczy. Scapin którego on nazywa Rastignac'em, staje się ministrem stanu; Turcaret, nazwany Nucingen'em staje się parem Francyi i po stokroć milionowym. Jego oszuści po największej części widzą się pod koniec bogatymi, utytułowanymi, możnymi, deputowanymi, jeneralnymi pookuratorami, prefektami, hrabiami. Pozłota jest rodzajem aureoli i do tego tylko oni zdolni; czerpiąc przykład ze społeczeństwa i z natury, Balzak ją na nich nakłada.

II.

Jego rozumni ludzie, mają jego rozum. Nie szukajcie u nich umiarkowanej i powściągliwej ironii, broni rozumu i dobrego smaku; delikatnej subtelności, równości stylu, spokoju i dumy dobrze wychowanego człowieka, który jest pewny swej myśli, swej pozycji światowej i swego poluru. Ich błotna i gwałtowna werwa wylewająca się falami i ścierająca się z trywialnością i poezją, z szwargotem bankowym i figurami z ody, rodzaj niezdrowego i potężnego upojenia jakie zwykle sprowadza wino piekące i fabrykowane. Rozmawiają jak artyści i żaki uliczni, dotykając się wszystkiego i wszystko druzgocząc, filozofię i politykę, prawdę i cnotę. Paryż dał mu wszystkie idee; igrają z niemi na sposób sceptyków i dzieci, gotowe zwijać tutki z Karty lub Ewanielii. „Będziesz na utrzymaniu u aktorki która cię uczyni szczęśliwym, oto co się nazywa kwestyą gabinetową. Ale żyć z mężatką!... jest to napewno dążyć do nieszczęścia.” Lub gdzieindziej: „Wyrzucacie biednemu Rastaignac'owi że żył na koszcie pani de Nucingen? Nasamprzód, mówiąc abstrakcyjnie, jak powiada Royer Collard, kwestya ta może wytrzymać *krytykę czystego rozumu*; co się zaś tyczy do nieczystego rozumu...” W ten sposób prawi przez dwieście stronnic: kalembury, dziwne i głębokie idee, chrapowate porównania, płomieniste metafory, karykatury nagle i niespodziewanie urwane, styl bankiera, kaznodziei,

policyjnego komisarza i malarza. Ich język podobny jest do kupy śmieci paryskich, gdzie znajdują się szczątki największego bogactwa i największej nędzy, resztki koronek i obierzyn kapusty. Z tego tworzy się ziemia inspektowa bardzo żyzna, zgadzam się na to, lecz przyznajcie że to nie pachnie. „Moje pierwsze wzburzenie się, — powiada jeden z nich, — skrywało przedemną mechanizm świata; ażeby go poznać trzeba było opanować wszystkie koła, przysłuchiwać się brzękowi łańcuchów i wiatraków, tłuszczyć się oliwą.” Drugi mu odpowiada: „Twój żart już się zestarzał! twoje frazesy lepiej są znane niż sekretne lekarstwo.” Pomijam jeszcze piękniejsze rzeczy. Odczarowanie jest źródłem tego stylu; — widzą życie brzydkiem i brudnem i rzucają błoto z gniewem i przyjemnością na błyszczący rój pięknych marzeń brzęczących i unoszących się nad progiem młodości. Przyznać należy że odczarowanie chcąc go odepchnąć, przyjęło jak najbrzydszą postać, — to jest postać dłużnika; weksle, protesta, świadkowie sądowi, sekwestra są ich zwyczajnymi towarzyszami; ich frazesa pomimowoli przechowują o tem pamięć; po za wszystkimi ich zamkami na lodzie—widać Clichy ¹⁾ na horyzoncie. Ażeby ich uczynić jeszcze smutniejszymi Balzak robi z nich filozofów, dysputują o swej epoce, o życiu i historii; gorzko jak zwyciężeni, albo brutalnie jak tyrani, ale zachowują zawsze styl mizantropów

¹⁾ Więzienie za długi.

lubiących żyć, którzy pomiędzy dwoma butelkami szampana bawią się znieważaniem człowieka i anatomizowaniem społeczeństwa. Oto jest nowy rodzaj rozrywki właściwy Paryżowi, Balzakowi i dziewiętnastemu stuleciu: filozofia obrzydzenia, wykładana w wyrazach szkoły i kuchni, pośród potłuczonych szkieł i papieru stęplowego, przez artystów, którzy stali się nawpół finansistami, nawpół chorymi i nawpół oszustami.

III.

Charakter kobiet składa się z subtelności nerwowej, z delikatnej i ruchliwej wyobraźni, z powściągliwości wrodzonej i nabytej. Dlatego można powiedzieć iż ten charakter zawsze umyka przed Balzakiem. Czasami, wyznać muszę, jego talent spostrzegawczy tryumfuje; tak dokładnie patrzył i zastanawiał się iż odmalował z prawdą kilka poczciwych i czułych panien: la Fosseuse, Evelina, Eugenia Grandet, Marguerite Claës. Lecz miejscami te czyste figury mają plamy; zato w innych błędy są takie, iż portret jest całkiem zepsuty. Człowiek grubego temperamentu, filozof pedant, fizyolog przyzwyczajony do sal anatomicznych, przebijają pod źle przywiązaną maską uczciwej kobiety. Mówią *słowa* autora. Pani Claës, ciemna hiszpanka, oddana ognisku domowemu i gospodarstwu, mówi do swego męża: „Życie serca również jak życie fizyczne ma swoją działalność..... Chwała jest słońcem umarłych.”

Pani de Mortsauf odpowiada Feliksowi Vandenne, iż niemoże go kochać dlatego, że należy do swoich dzieci i do chorego męża: „Czy moja spowiedź nie pokazała panu trojga dzieci, ze względu na które nie powinnam upaść, na które winnam ściągnąć rosę poprawczą, i kazać mej duszy jaśnieć przed niemi, niedopuszczając do zepsucia najmniejszej jej części?” Te dwie kobiety, pani Graslin i wiele innych, zapewne urodziły się autorkami i prorokiniami. Brak im skromności również jak i dobrego smaku. Modesta Mignon, pisząc do młodzieńca że go kocha i którego raz tylko widziała, zachwyca się pięknymi rękawiczkami „które kształtowały jego rękę jako prawdziwego szlachcica.” Pani de Mortsauf, którą jako madonnę przedstawia, popełnia pięć lub sześć lekkich postępków, a jej ostatni list podnosi bardzo widocznie i bardzo wysoko kotarę łoża małżeńskiego. Co prawda, Balzak często tam wchodzi; zapewne iż rzecz użyteczna wchodzić do pokoju gotowalnego jak panna służąca, lub przykładąć oko do dziurki od klucza jak policyant; lecz taka rzeczywistość niszczy wszelkie oczarowanie. Nie znajduję żadnej przyjemności w przyglądaniu się pięknej toalecie gdy mi opisują jak zrobiona i pokazują jej mechanizm. Nie mam najmniejszej sympatii dla pożycia małżeńskiego ¹⁾, kiedy mi wyliczają ilość misek zimnej wody i flakonów octu, użytych dla podtrzymania piękności. Nie

¹ Ferragus, Mémoires de deux jenes mariées.

mogę uwielbiać cnotliwą kobietę, która po spełnionym pięknym czynie, staje w postawie aktorki i recytuje dramatyczne tyrady. Kiedy Balzak zapragnie odmalować cnotę, religię i miłość, napotyka ciężkie opuchnięcie fałszywej wzniosłości, powszedniość upstrzona urzędową frazeologią, pożądlivość rospasanej wyobraźni i rospalonego temperamentu; jego pięknych portretów kobiet trzeba szukać gdzieindziej. Nasamprzód są to dziwaczki, biedne i pretensjonalne, głupie, kłamliwe lub gapiowate. Pani Sondry, panna Rogrou, panna Gamard, wielka Nanon, panna Cormon i sto innych, wykrzywione życiem prowincjonalnem, warsztatem, gospodarskimi kłopotami, swarliwością, plotkami; zamiast poezji mają machinalną pobożność i sztukę czyszczenia sprzętów; szarpane są pocichu djablemi pazurami, których Balzak, ich rospustny ojciec, nigdy nie zapomina podostrzyć. Są to także intrygantki. Pani Camusot np., rodzaj prokuratora w spodnicy, srozsza i przebieglejsza od innych; chytne, łakome na zysk, nieubłagane, niebezpieczniejsze od mężczyzn, dlatego że mają mniej skrupułów, mniej obaw, więcej namiętności. Albo też chore, pani Graslin, pani d'Aiglemont, delikatne stworzenia, których bezwiedność, czystość, wyobraźnia, zdziałały zanadto czułem i które upadły nagle w powszednie życie i w brutalstwa małżeństwa, cierpią, egzaltują się, walczą i kończą na zwiędnięciu lub poniewierce. Gdzie tylko jest ułomność albo rana, tam jest Balzak; spełnia

rzemiosło fizyologa; nikt tak doskonale nie opisał brzydoty i nieszczęścia, i wielu ludzi chwali go za to, twierdząc iż w tem zawiera się cały człowiek. Małżeństwo równie jak pieniądz, jest jego zbrojownią; powraca tam ciągle; jest to wielki arsenał naszej nędzy. Wprawdzie chce on ją rozweselić i dla waszej rozrywki przywdziewa suknię pedanta. Wstrząsa drzewem wiedzy i podaje wam do zgryzienia najzieleniejsze jabłko. Zjadacie starając się uśmiechnąć; lecz w głębi duszy chce się wam płakać. *Sceny z życia małżeńskiego* są arcydziełem, lecz jak smutnem arcydziełem! „Znalazłeś twój *ideał*, pięknego mężczyznę, słicznie ubranego w żółtych rękawiczkach, wygolonego, w lakierowanych butach, w bieliźnie ładnej najwyszukańszej czystości, staranny koło siebie!” Rzeczywiście taki jest ideał. „I obietnice szczęścia, wolności! W każdym jego słowie było słychać konie i powozy. Armand robił na mnie wrażenie aksamitnego męża, szuby z ptasich piór w którą ciebie miał obwinać.” Ciągnę dalej, czyli też lepiej powiedzieć ciągnie Cecylia de Marville: „Dać pięćkroć sto tysięcy franków towarzyszowi niedoli! O! mamó! będę miała powóz i łożę we Włoskiej Operze!” Mężczyzna zaślubia posag i dobrobyt, kobieta wychodzi za mąż za karetę i fryzurę. Ztąd szczęście małżeńskie prawdziwie szczególne, każdy ciągnie na swą stronę, oboje oszukani w swoich nadziejach, używają całej siły rozumu, ażeby się szarpać w domu i kochać się przy ludziach. Zbierzcie w jedno wszystkie te

siły i wady, a będziecie mieć kobietę aktorkę albo loretkę; pani de Bargeton, pani de la Beaudreye, pani Schoutz, Esthera, Józefa, są to najdoskonalsze postacie kobiece u Balzaka. Jego pedanterya, styl pretensjonalny, ogoniaste i upstrzone frazesy, jego nawpółukryta zmysłowość, nadają się kobiecie autorce, która jest kurtyzanką, wyobraźni, wyprawia orgie umysłowe. Jego odwaga, jego rospasanie stylu, jego błotna i brutalna werwa, werwy artysty, upodobanie w przepychu i przyjemnościach, jego znajomość życia i cynizm nadają się kurtyzance, wyzywającej świat i używającej życia.

IV.

Jednakże są i poczciwi ludzie w Balzaku, dlatego że są i w naturze; lecz jego należą do oddzielnego gatunku i jak wszystko inne noszą na sobie cechę swego autora. Poeta moralista Korneil np., odrazu swoich bohaterów stawia na nogi. Oni chcą być bohaterami i są nimi; bez żadnej innej przyczyny; ich własna wola wystarcza sama sobie ażeby się ugruntować i wyjaśnić. Naturalista inaczej myśli; w jego oczach wola ma swoje przyczyny; kiedy człowiek chodzi, znaczy że jest ku temu popchnięty, jakaś sprężyna poruszyła się w tym „duchowym automacie” i poruszyła resztę. Dla niego cnota jest wytworem jak wino lub ocet, wytworem wprawdzie doskonałym i który należy się mieć u siebie w obfitości, lecz

który wyrabia się jak wszystkie inne, przez pewien znany ciąg działań stałych, ze skutkiem dającym się obliczyć i pewnym. Zwykle jest ona przekształceniem się czyli rozwojem namiętności lub nałogu; — duma, zatwardziałość umysłu, posłuszna głupota, próżność, przesąd i wyrachowanie przyczyniają się do tego; wady również tu spółdziałają, podobnie jak cuchnące substancje służą do dystylacyi drogich pachnideł. Sędzia Popinot jest to rodzaj *małego błękitnego płaszczyka*, systematyczny i zręczny dobroczyńca całej swej dzielnicy; lecz jego dobroczynność zmieniła się w maniję i widzi się, iż on kocha ubogich tak jak gracz lubi grę. Margrabia d'Espard, dowiedziawszy się że połowa jego fortuny pochodzi ze zbrodniczej konfiskaty, dokonanej przed dwustu laty, po tysiącnych zabiegach, odkrywa prawnego dziedzica i oddaje mu jego majątek; lecz jego bohaterska uczciwość pochodzi z dumy szlacheckiej i każdy zgaduje że on chce zmyć plamę z tarczy herbowej. Notaryusz Chesnel poświęca fortunę, prawie swój honor i zbawia rodzinę d'Esprignon przez dokonane cuda poświęcenia... Lecz ta gorliwość jest namiętnością starego sługi, i czytelnik odkrywa w tem zaślepieniu i w wybuchach jego miłości, zwierzęcą i pomimowolną wierność psa... Pillerault, Birotteau są zacni przez wezwyczajenie i przez dumę handlową, przez ciasnotę edukacyi i umysłu. Niewątpliwie iż z tem wszystkim możemy ich uwielbiać, lecz nasze uwielbienie zmniejsza się na widok źródeł z jakich ich cnota

pochodzi, tembardziej iż z tychże źródeł spływa na nich głupota i śmieszność tak obficie jak piękno. U Birotteau co moment wyrwywają się frazesy sprzedającego pachnidła i głupca, Pillerault jest rodzajem igraszki politycznej; Popinot żyje w brudzie i okazuje zwyczaje automata sądowego. Balzak liczy jąkania się, brodawki, drgania nerwowe i wszystkie małe dolegliwości i wielkie brzydoty jakie się spotykają tak w cnotliwym człowieku jak i w innych. Jest to sposób wydania człowieka, ale jest to sprowadzanie go z nieba na ziemię; czyni go rzeczywistym ale zarazem zmniejsza go. Zmniejsza go jeszcze w inny sposób, dlatego że nigdy nie maluje innych źródeł cnoty, najczystszych ze wszystkich, szczytności myśli która podtrzymywała Marka Aureliusza i delikatności duszy, która kierowała panią de Clère. Balzak potrzebuje piekła dla zachęcenia swych świętych. Dobrodziejstwa Benassis'a i pani Graslin są tylko wyrachowaniem wielkiego wyrzutu sumienia. Pani Hulot, panna Cormont, pani Mortsauf wypożyczają na wielki procent na ziemi, ażeby być lepiej zapłaconemi w niebie. Cnota w ten sposób przedstawiana jest tylko pożyczką na lichwę i na zastaw, jest to najbrzydsza idea Balzaka. Zgadza się aby naturalista nas odczarowywał, lecz żeby artysta wypleniał w nas wzniosłość i subtelność — to nas oburza i dlatego odpowiada się mu: iż jeżeli to obala w innych, to jedynie dlatego iż w sobie odnaleźć nie może.

V.

Rzeczywiście ideał jego jest gdzieindziej.

Dla jego doktorów niema większej przyjemności nad odkrycie jakiejś dziwnej lub zaginionej choroby; on sam jest doktorem i czyni jak oni. Nieraz opisywał¹⁾ namiętności przeciwne naturze, takie, których tu wskazywać niewypada. Malował z nieskończonemi szczegółami i z pewnem uniesieniem poetycznem, obrzydliwe robactwo, które zradza się i kiszy w błocie paryżkiem; Cibot, Rémonecq, pani Nouvisson, Fraisier i im podobni, zamieszkujący ciemne niziny, którzy powiększeni przez zebrane światła w jego mikroskopie, wystawiają licznie zaopatrzone arsenał ich broni i szatański blask ich zepsucia. Wyszukiwał po wszystkich kątach i kałużach dziwne i chorobliwe istoty, żyjące po za obrębem prawa i natury, graczy, dostarczycielek rozpusty, cyganów, lichwiarzy, galerników, szpiegów; tak doskonale wniknął w ich istotę, tak mocno połączył i urównoważył wszystkie poruszające niemi sprężyny, zrobił ich usposobienie tak potrzebnem a postępowanie tak konsekwentnem iż nienawidząc podziwiamy ich, a wyobraźnia która chciała by się odwrócić, niemoże się od nich oderwać. Istotnie są to bohaterowie uaturalisty i ciężkiego artysty, który nic nie widzi dla siebie wstrętnego,

¹⁾ La Fille aux yex d'or, Sarasine, Vauctrin une Passion dans le désert.

są to osobliwości jego galeryi. Przechodzimy pęd-ko koło jego poczciwych, niedelikatnych kobiet, napuszonych mężów, wielkich ludzi mglistych lub gadatliwych; piękno wcale nie tu istnieje, muzeum nie jest wcale gabinetem. Lecz zatrzymajcie się przed jego ludźmi z rzemiosła i prawnikami, każdy z nich umieszczony pod szkłem w swoim przedziale, okazując przeszkody i wybujałości które go zamieszczają w jego gatunku; przed jego ludźmi rozumnymi z których wszyscy są olśniewający, przewrotni i zniechęceni: przed kobietami choremi, kumoszkami z prowincyi, aktorkami i loretkami; przed mężczyznami cnotliwymi, którzy równie jak inni zostali spreperowani według smutnej metody anatomicznej i którzy czerpią swą cnotę z przesądów i manij, ze swego wyrachowania i wad; przed istotami ekscentrycznymi lub kalekami, które on zachował i uwydatnił jako okaz wyborowy. Zaczekajcie chwilę, podnosi on zasłonę i zobaczycie w sali odrębnej potwory wielkiego gatunku; ukochał on ich jeszcze więcej jak małe.

V.

Bohaterowie Balzaka.

Jeżeli sądzisz że najgłówniejszą rzeczą w naturze ludzkiej jest rozsądek, uczynisz rozsądek bohaterem i będziesz malował wspaniałomyślność i cnotę. Jeżeli oczy twoje przyłgną do zewnątrz-

nego mechanizmu i rozpatrywać będą tylko ciało, obierzesz ciało za ideał, będziesz malował rokoszne ciała i silne mięśnie. Jeżeli zaś w czułości będziesz upatrywać najważniejszą część człowieka, będziesz widział piękno tylko w żywych wzruszeniach i będziesz malować napady łez i delikatne uczucia¹⁾. Twoje zdanie o naturze będzie stanowić zdanie o pięknie; twoja idea o rzeczywistym człowieku, ukształtuje twoją ideę o człowieku idealnym; twoja filozofia kierować będzie twą sztuką. W taki to sposób filozofia Balzaka kierowała sztuką Balzaka. Uważał człowieka jako siłę; siłę zrobił swym ideałem. Uwolnił ją od pęt; odmalował ją zupełną; wyzwolił z pod władzy rozsądku, który przeszkadza jej szkodzić sobie samej, uczynił ją obojętną na sprawiedliwość, która przeszkadza szkodzić innym; powiększył ją, wypielęgnował, rozwinął, pełną na widownię na pierwsze miejsce, jako bohaterkę i panującą nad monomanami i łotrami.

Jakim sposobem upiększyć waryację i wadę? Jakim sposobem pozyskać nasze społeczenie dla zwierząt drapieżnych i dla chorych mózgow? Jakim sposobem zadać kłamstwo prawie ogólnemu zwyczajowi wszystkich literatur i postawić interesowność i ogrom na tem właśnie miejscu, na którym dotąd ich stawiano, ażeby obudzały śmieszność i wstręt? Cóż jest więcej sponiewieranego jak stary grubiański żołdak, prześladowany przy-

¹⁾ Naprzykład Korneil, Rubens, Dickens.

cinkami i rozmaitemi przygodami od Plauta aż do Smollet'a? Patrzcie tu on się przekształca; Balzak go wyjaśnia: postrzegacie przyczyny jego wad; potęga ich was przenika i przyjmujecie udział w jego czynach. Jesteś porwany przez loikę i widzisz jak znika połowa twego zgorzienia i niesmaku. Filip Brideau jest to żołnierz zepsutych obyczajów przez rzemiosło i rodzinę, przez powodzenie i nieszczęście. Oficer w osmnastym roku swego życia, za szkołę miał wojnę Waterloo, zdrady i rozpierzchania się wojsk; potem w Texas, widok egoizmu i brutalności amerykańskiej. Podpółkownik i podwakroć dekorowany, z najwyższego szczebla rojeń młodości, ambicyi i powodzenia, wpadł między swą rodzinę zrujnowaną; biedny człowieczyzna milczący i podejrzany, zasadzony jak lew za kratą swej klatki, mieszkaniec ohydny nizin teatralnych i prasy, wkrótce chory wskutek rozpusty gdzie się nurza dla rozrywki i nasycenia się, potem spiskujący i rzucony do więzienia po wyjściu ze szpitala. Stał się zatwardziały przez zapatrywanie się i ćwiczenia w sile; poniżenie przegranej i prywacie z nędzy, skwasiły go i ostatecznie został zepsuty przez towarzystwo łotrów, przez wezwyczajenie do orgij, pobłażanie swojej rodziny, uwielbienia matki i bezkarność pierwszych wykroczeń. Czyż można się dziwić iż ten człowiek w praktyce okaże wzgardę dla sprawiedliwości ludzkiej? Ten potok przyczyn porywa jak rzeka umysł ludzki. Nie czuje się wstrętu dla grubiań-

stwa Filipa, przeciwnie chce się je widzieć; charakter jego ich wymaga i czyni to że i nasze wymagania ku temu przychylają się. Jeszcze więcej okrucieństwo pokrywa te grubiaństwa; przez moc nieczułości staje się wielkim. W całej swej naturze nie posiada nic ludzkiego; wszystko wyzyskuje i wszystko depece. Okradłszy kasę, przestrasza matkę udaniem samobójstwem; ściskają go, płaczą, ofiarują mu na klęczkach całą swą fortunę. „Patrzcie — powiada on — ogłoszenie zrobiło swój skutek!” Oto jego wdzięczność. Wyłudził ostatni grosz starej Descoings, swojej drugiej matki, nazajutrz znajduje ją umierającą: „Wypędzasz mię, czyż nie tak? Odgrywacie tu melodramę *Syn wygnany*? Patrzcie, to wtaki sposób przyjmujecie rzeczy? Otóż wszyscy jesteście nudni jak lukrecya. Cóż tak złego zrobiłem? Przeczyściłem trochę materace starej. Pieniądze nie chowają się do wełny, cóż u diabła!” Oto jego skrucza. Był wypielęgowany przez starego towarzysza z wojska i rospusty, Girodeau; gdy się wzbogacił wypycha go za drzwi i usuwa od siebie, oto jego przyjaźń. Zaślubił żonę niskiego pochodzenia dla zdobycia miliona, po przybyciu do Paryża, rzuca ją w półświatek, potem w najlichsze śmiecie, gdzie pozwala jej umrzeć z nędzy i z chorób. Oto jego prawość małżeńska. Zabił swą matkę brutalnością swej niewdzięczności. Kolega jego wyprawiony przez rodzinę, błaga go ażeby się widział z matką na śmiertelnem łożu. Śmieje się: „I cóż u diabła będę tam robił?”

Jedyną usługę jaką mi może oddać ta dobra kobieta jest ta, ażeby zdechła jak najprędzej. Jestem stary wielbłąd i znam się na przykłękaniach. Moja matka życzy, ażeby z powodu jej ostatniego teńnienia, coś wydurzyć dla mego brata. Dziękuję." I oto jego cześć synowska. Któż może myśleć jeszcze o gwałtownych grubiaństwach rozpustnika, starego żołdaka? Nałóg pijanstwa także tu w ohydzie; jest to nieludzki i złowróźbny blask miedzianego posągu. Balzak do tego dodaje jeszcze siłę; edukacya która zepsuła Filipa zakuła go w pancerz; gracz, prędko do pojedynków; pośród przygód wojny i rulety, nabył tę zimną krew, która nadaje człowiekowi możność władania sobą i panowania nad drugim. Ma on „wejrzenie które przykuwa głupców;" sztukę udawania oszukującą publiczność, rzut oka postrzegający właściwą chwilę. Posłuchajcie jakim stylem, z jaką wyniosłą wzgardą, z jaką flegmą z kordegardy poucza swego stryja, starego niedołęgę wyzyskiwanego przez swą służącą i jej kochanka: „Dzień dobry państwu — powiada on do gości — prowadzę na przechadzkę mego stryja, jak to widzicie sami, i staram się go uformować, dlatego że żyjemy w wieku, w którym dzieci zmuszone są edukować swoich dziadków... Zabiję twego Maksa jak psa. Weźmiesz mię na jego miejsce do siebie, wówczas to ta piękna dziewczyna będzie posłuszna na moje skinienie. Tak, Flora będzie cię kochać, siarczyste pioruny! a jeżeli nie będziesz z niej kontent, oćwiczę ją

pejczem... Żyjecie z sobą razem jak dwa kwiaty pomarańczowe na jednej gałązce; będzie się ona u mnie wić jak robak, będzie szczekać i roztopi się we łzach. Ale..... niech zresztą idzie wszystko swoim porządkiem." Czyż kiedykolwiek cynizm i pogarda wynaleźli wyrażenia się bardziej do-
tkliwe i gorzkie? Filip biczuje i rozkrwawia lu-
dzi jak bydło, jak woźnica i rzeźnik. On jest tak rozrzutnym w swej sile; wytrąca pałasz z rąk Maksa, każe mu go podnieść, potem go zabija zelżywszy go naprzód swoim przebaczeniem. Równie jest wyrachowany jak duelistą, zabiera spadek stryja, uwalnia się od niego, od matki, żony, przyjaciół, przedstawia się publiczności w pięknym urzędowym stroju wspaniałomyślności i honoru, uzyskuje order, tytuł miliony i do-
sięga szczytu. Dla wykończenia go, Balzak nada-
je mu filozofię zdrożności; zbrodzień nie jest zu-
pełny, jeżeli nim nie jest z zasady; potrzeba aże-
by wiedział co czyni i czego wart, ażeby się tem szczycił, ażeby swoje okrucieństwa nazywał spra-
wiedliwością, żeby się urągał cnotcie i ludziom, aby swoje występki opierał na powadze prawa, tworzył z nich maksymy, i aby wystawiał ich w całej chwale rozsądku, przy całej jasności nie-
ba. Bezwstyd i teoria są jego ostateczną koroną. Posłuchajcie Filipa: „Kobiety są to złośliwe dzie-
ci; są to zwierzęta niższe od człowieka, i trzeba żeby się go obawiały; dlatego to najgorsze dla nas, jeżeli pozwolim rządzić sobą tym nieokrzesanym stworzeniom.” Znow w innem miejscu:

„Jestem dorobkowiczem, mój kochany, nie chcę ażeby widziano moje pieluchy! Mój syn, będzie szczęśliwszy odemnie, będzie wielkim panem. Niegodziwiec! będzie pragnął mej śmierci, spodziewam się tego, inaczej nie byłby synem moim.”
 Widzicie iż oddaje sobie sprawiedliwość i w srogiem brutalstwie rozsiada się jak w zaszczytnem i wygodnem łożu; Machiawel i Borgio lepiejby nie wyrazili się. Mniejsza o jego koniec i o igraszkę losu która go rujnuje i zabija. Kamień może spaść na najpiękniejszą maszynę, złamać sprężynę, i zepsuć wszystko; maszyna pozostanie zawsze arcydziełem. Niech ona rozdziera i miażdży, na to się nie zważa, zważa się tylko na połączenia jeometryczne kół stalowych, na potężne zęby skrzypiące i ścierania się zębatach kół, na niepowstrzymaną szybkość wiatraka, niknącego w swej szybkości, na ponury blask żelaza, które błyszczy i krzyczy; artysta mię zwyciężył, uniósł, olśnił, nie umiem i nie chcę nic więcej jak tylko podziwiać jego dzieło.

Lecz ten jeszcze mógłby stać się poetycznym; w starym żołnierzu widzim odwagę i flegmę i Balzakowi pozostawało tylko wystawić to, ażeby go podnieść. Lecz cóż zrobić ze skąpca? Cóż jest wielkiego w pomarszczonym, skurczonym, niespokojnym lichwiarzu, przywiązanym do robienia rachunków, do obcinania swoich wydatków i do ciągnięcia zysków z cudzego dobra? Jak pisać o tem po Molierze przecząc mu? Cóż jest Harpagon, jeżeli nie człowiek godzien śmiechu, którego

poeta szkaluje i policzkuje dla naszej zabawy i nauki? Policzcie wszystkie te śmieszności: czyż znajdziecie miejsce gdzieby się piękno mogło pomieścić? Jego sknerstwo tem jest jeszcze nikczemniejsze, że się on urodził bogatym mieszczaninem i że stanowisko na świecie zmusza go do trzymania lokai, do posiadania diamentów i powozów. Cóż może być podlejszego od lichwiarza w karecie, wynalazcy tanich potraw, chowającego resztki świec i łapigrosza? Wyśmiewany przez sąsiadów, poniewierany przez swoje sługi; pozwala synowi zadłużyć się a córce uciec z domu. Chce pożyczać na zastaw lecz to mu chybia; chce schować pieniądze, okradają go, chce się ożenić lecz porywają mu jego kochankę; stara się być uprzedzającym dla kobiet i staje się głupi; płacze a widzowie śmieją się. Wieleż to środków mamy dla uczynienia osoby śmieszną! Otóż używając środków przeciwnych, stworzy się osoba poetyczna; istota śmieszna i nikczemna stanie się tragiczną i wielką; Harpagon wywrócony na drugą stronę, stanie się Grandetem. Weźmijmy chłopca, bednarza, uprawiacza winnic; jego sknerstwo będzie wytłómaczone; jeżeli on liczy kawałki cukru na ranne śniadanie, jeżeli własną ręką zabija paki swego synowca, jeżeli przywołuje służącą ażeby jej zalecić oszczędzanie świecy, będzie to oznaczać trwanie w nałogach, że młodzieniec istnieje w starcu i że dusza zachowuje zawsze tę postawę jaką z początku nabyła. My byśmy na jego miejscu to samo zrobili i skąpstwo, które nas gdziein-

dziej oburzało, staje się tu znośnem. Harpagon, niezgrabny, wyszydzony i oszukany, staje się celem pośmiewiska; Grandet zgrabny, poważny i szczęśliwy, stanie się celem obawy. Wyzyskuje swoich ludzi i swoją familię, przyjaciół i nieprzyjaciół. Wziął za służbę wieśniaczkę zdatną na grenadiera, której nikt nie chciał, a w którą on wpoił machinalne poddanie się i wierność bydłęcia domowego. Wybrał za żonę gospodarną nabożniśnię, uległą z religii, z delikatności, i z głupoty, która oddaje mu swoje oszczędności i unika ażeby go nawet o jeden grosz nie prosić. Przyuczył córkę do najściślejszej oszczędności i korzystając z jej cnót synowskich, wykrađa u niej spadek do którego miała prawo. Uwalnia się od zrujnowanego synowca i wynajduje sposób okazania się wspaniałomyślnym, zabierając u niego kosztowności w cenie żydowskiej. Jest poważany przez najbogatszych mieszczan, którzy mu nadskakują w nadziei zaślubienia córki. Wyciąga od nich tysiące usług, otrzymując od jednego porady bezpłatne, drugiego posyłając do Paryża dla załatwienia swoich interesów. Korzysta ze wszystkich namiętności, ze wszystkich cnót i nędz, prawdziwy dyplomata, wytrwały w swych wyrachowaniach, tak uważny i tak roztropny iż okpiwa prawników i igra prawem przez prawo. Rozpoczął dwustu luidorami a skończył na siedemnastu milionach. Tu blask złota pokrywa brzydotę zdrożności a sknerstwo pełne chwały, rozsiada się na powodzeniu jak na tronie. Ażeby podnieść

wyżej Balzak zaopatruje to sknerstwo w całą siłę rozumu i woli. Grandet o tyle jest wyższy iż zwykle ucieka się do udawania nieświadomego i pokornego głupca, plecie niewyraźnie i skarży się że mu głowa pęka i że nic nie pojmuje komplikacyi interesów, aż póki jego przeciwnicy nie zapomną swej nieufności i nie wyjawią mu swej tajemnicy. Drwi z nich, zabawia się każąc im biegać aż do zmęczenia. „Proszę panów,—powiada do odwiedzających go, — dudków miejskich, bynajmniej nie jestem dumny, ja sam naprawiam stopnie moich wschodów.” I sadza ich przy jedynej świeczce obok swojej sługi. Tak się rozsiada w swem skąpstwie jak Brideau w brutalstwie; popisuje się maksymami, srogością swego przekonania. Kiedy jego brat zabił się i kiedy synowiec oplakuje go, powiada: „Niech przejdzie pierwsza ulewa, ale ten młodzieniec to do niczego; umarli go więcej zajmują jak pieniądze.” Czyż po tych słowach możecie się śmiać z człowieka? To zdanie jest pchnięcie nożem, przecinającym odrazu korzeń ludzkości i miłosierdzia. Wada u niego jest dogmatem przybranym z cierpkością woli i zawziętością miłości. Jest okrutnym i tyranem w domu; kobiety drżą od jednego spojrzenia jego; są to jego „czeczotki,” małe ładne bestyjki, którym czasami rzuca się ziarnko prosa; lecz którym jednem zaciśnięciem palca, skreśliłoby się szyję. Namietność przebija się z pośród tych sarkastycznych i surowych wyrażen: „Nie daje wam na to *moich* pieniędzy ażebyście karmiły cukrem tego chłopca.

Patrzcie! świeca woskowa? A niegodziwe, zerwałyby podłogę w moim domu ażeby ugotować jaja dla tego młodzieńca!" Czujemy się porwani przez gwałtowność i wybuchy jego gniewu; widzimy iż wada w tym stopniu nie zna ani wędzidła ani miary, iż łamie i depcze wszystko i przebija się przez uczucia i szczęście innych, jak byk przez dom lub kościół. „Na co się wam zdało iż chodzicie dwa razy na miesiąc do spowiedzi a pokryjomu dajecie złoto waszego ojca temu próżniakowi, który pożre wasze serca, kiedy nie będziecie mieć nic innego do pożywienia." Natura ludzka w tym razie przeraża się, czuje się iż ona zawiera przepaście nieznanne, mogące wszystko pochłonąć, przed chwilą religię, a teraz ojcowstwo. W chwili kiedy córka jego podpisuje akt zrzeczenia się spadku po matce, blednie, poci się, słabnie prawie, potem raptownie dusi ją w objęciu. „Pójdź moja dziewczko, wracasz życie twemu ojcu. Oto tak powinny się robić interesa. Życie to interes! Błogosławię cię. Jesteś cnotliwą córką, kochającą swego papę." Ta trywialność, to błogosławieństwo rzucone w rodzaju dopełnienia, te urywane i przyduszone krzyki skąpca, które przytłumiają ojca, są okropne. Na tej wysokości i przy takich czynach, namiętność dosięga poezyi, i być może że taki skąpiec jest poetą przy zamkniętych drzwiach i zbłąkany. W swej wyobraźni płynie po rzece ze złota. Mówiąc o swoim skarbie używa żywych i pieszczotliwych wyrażeń zakochanego i artysty. „Idźmy poszukać tego

pieszczoszka. Powinieneś mnie w oczy ucałować za to że ci powierzam tajemnice życia i śmierci zawarte w talarach. Doprawdy talary żyją i gruchają jak ludzie; idą, przychodzą, pocą się i produkują." Nakoniec całami godzinami pozostaje z oczami wlepionymi w stosy luidorów, ażeby się napaść ich blaskiem; „to mnie rozgrzewa” powiada. Czyż jeszcze i potem on się wydaje wam śmiesznym? Wieleż roskoszy ten człowiek zakosztował. Używał swego złota oczami, jak malarz; unosił się jak poeta pośród pomysłów i nadziei stu tysięcy błyszczących czarodziejstw; napawał się, przez długi nieprzerwany czas, wzrastającym powodzeniem, powtarzającym się zwycięstwem, poczuciem swej wyższości i ugruntowaną władzą. Ani serce, ani prywacye, ani pieniądze, również i wyrzuty sumienia nigdy go nie dręczyły; umarł w bardzo późnej starości, ciesząc się majątkiem i bezpieczeństwem, w pełnem zaspokojeniu najgłówniejszej namiętności, wśród milczenia innych pożądań zagłuszonych lub wyplenionych. Jeżeli Korneil napisał wspaniałą epopeję bohaterstwa, to Balzak napisał tryumfującą epopeję namiętności.

Ci jeszcze wyzwalają się z brzydoty przez swą potęgę; wybierzmy namiętność która byłaby słabością; zamiast drapieżnego zwierza, weźmiemy waryata. Poszukajmy wady która wytwarza nie tyrańca ale niewolnika, zjadającego własne serce i życie, zamiast podkopywania życia i szczęścia innych. Znajdujemy takiego, jest to typ najbardziej wyszydzany, ogólny cel pośmiewiska tak

w starożytnej jako i w nowożytnej komedyi, rozpustny starzec zakochany którego okpiwają, okradają i wypędzają. Ten również dla Balzaka stanie się bohaterem; bo mniejsza o człowieka. Czyż to Grandet lub Brideau mnie interesuje? Czemże oni są w oczach artysty, jeżeli nie podstawą posągu, który jest ich namiętnością? On ją tylko podziwia, ona jest wieczną, panującą i niszczącą naturę i świat ludzki. Jej potęga jest jednakowo widzialną tak w druzgotaniu przedmiotów ją otaczających jako też i naczynia w którym się zawiera. Piękny jest widok gdy ona wchodzi jak trucizna w ciało mocne i zdrowe, pali krew, wykrzywia mięśnie, podnosi je w podskokach, podcina i potem powoli rozkłada nieczulą masę, którą już nigdy nie opuści. Baron Hulot d'Ervy, jeden z wielkich administratorów cesarstwa i prawie minister, ojciec kwitnącej rodziny, ubóstwiający przez najpiękniejszą i najcenniejszą żonę; człowiek rozumny, pomysłowy, przedsiębiorczy i doświadczony; — powoli dał się przesiąknąć tym jadem: Kobiety z Opery zjadły jego fortunę; brak mu pieniędzy dla utrzymania domu i wydania za mąż córki, a namiętność wzmocniona nałogiem opętała go. „I wszystko to dla kobiety, która mnie oszukuje, która szydzi ze mnie gdym nieobecny, która mnie nazywa *starym farbowanym kotem!* O! to okropnie ze zdrożność więcej kosztuje jak wyżywienie rodziny..... A niemożna temu się oprzeć..... Gotów jestem przyrzec ci że nigdy nie powrócę do tej szkaradnej izraelitki, lecz jeżeli

napisze dwa wiersze, pójdę tam jak się szło w ogień pod rozkazami cesarza." Tak zakorzeniona zdrożność staje się monomaniją. Palacz opium który widzi kolegę śmiertelnie chrapiącego w kącie szynku powiada: „Za trzy miesiące będę i ja taksamo,” i obraca się dla nałożenia fajki. Namiętność porywa człowieka i ciągnie go żelaznym krukiem, poruszeniem przewidzianem i niezwycześonem w kolej krwawą i błotną wszelkich ponizeń i wszelkich boleści. Odprawiony przez swą śpiewaczkę Hulot, zajął się piękną kobietą, która zdawała się być uczciwą, a w istocie była to najniebezpieczniejsza kurtyzanka jaką dotąd malowano, równa Kleopatrze Szekspira, imponująca zuchwalstwem, artystka przez zapał i pomysły. W tej otchłani toną resztki fortuny. Zastawia swą płacę, podpisuje weksle, sprzedaje swój kredyt, pozostawia żonę bez chleba, posyła swego wuja, poczciwego chłopca, posłusznego jak żołnierz, rabować dostawy afrykańskie. Ojciec, administrator, poczciwy człowiek, nika stopniami wśród rozpusty. Zdrożność wznosi się w nim jak przypływ morza, zatapiając ludzkość, zdrowy rozsądek i honor. Śród tej ruiny, odkrywa że kochanka go zwodzi i to dla dwóch rywali; sama wypowiada mu to w oczy z nagłym wybuchem zuchwalstwa i obelgi. Nieszczęśliwy, błaga przebaczenia! Zgadza się na to aby dać posadę mężowi; przyznaje dziecię; co więcej, zdaje się mu że jest kochany, płacze z rozczulenia; oczy ma zamknięte, wypija wstyd do dna, nic więcej nie

czując. Opętany ideą obłądną, nie spostrzega in-
 nych; postępuje jak dziecko, które z wzrokiem
 utkwionym w owoc, biegnie przewracając się po-
 między ciernie i błota; i za ledwie daje się prze-
 konać wówczas, kiedy para łotrów łapie go na
 gorącym uczynku i wyrывa u niego resztki kre-
 dytu i majątku. W tej samej chwili góra nędzy
 wzniesiona przez jego zdrożności zwała się na
 niego w jednej chwili. Syn jego ugina się pod cię-
 żarem weksli; żona wiedziona przez ostateczną
 rozpacz i najszczytniejsze poświęcenie aż do krań-
 ców poniżenia, pada umierająca, jego stary brat,
 surowy republikanin, we trzy dni umiera; jego
 wuj przez niego uwięziony, przebija się ćwiekiem
 w więzieniu. Gromiony pogardą księcia swego
 patrona, wydalony z posad, ogłoszony za złodzie-
 ja, miota się pod ruiną fortun które rozbił, pośród
 płaczu rodzin które znieważył, przy odgłosie
 dzwonów pogrzebowych dwóch śmierci, które spo-
 wodował. Czyż jeszcze nie dość? Czyż poezya
 fizyologiczna powstrzyma się przy tem konaniu
 czci? Loika pociąga ją jeszcze dalej, od wielkich
 konwulsyjnych drgań aż do zupełnej nieczułości
 rozkładu i śmierci. Odtąd Hulot nie jest już czło-
 wiekiem ale „temperamentem.” Delikatność, ele-
 gancya, miłość, wszystko to co może upiększyć
 lub uniewinnić występpek znikło dla niego; pozo-
 stał tylko nałóg i potrzeba. Tak upadł nizko iż
 pożyczka pieniędzy od śpiewaczki, swojej dawnej
 kochanki. Żyje z gryzetskami, porzucając jedną
 potem drugą; „jak romans przeczytany,” pomiędzy

szynkowymi pijakami, komparsami teatralnymi, klakierami, i najbrudniejszym motłochem; sam zaś wart tych z kim przystaje, zawsze zadłużony i prześladowany, nakoniec pisarz publiczny w jakiejś szopie, udało się mu za pieniądze i czekoladowe cukierki kupić biedną, niewinną, piętnastoletnią istotę. Jego znikczemnienie zmienia się w idyotyzm; wpada w rodzaj niejakiego instynktu mechanicznego i fizycznego. Odnaleziony przez żonę, która chce go powrócić na łono jego ocalonej rodziny i do majątku zrestaurowanego, powiada do niej: „Dobrze, ale czy będę mógł zabrać tę małą?” Jest to poruszenie ślepe i okropne zgłodniałego, który się czepia omackiem, ostatniego kawałka chleba. Na zakończenie, zakochiwa się w grubej Normandce, maritornie z własnej kuchni, i mówi do niej: „Moja żona niedługo żyć będzie, jeżeli zechcesz zostaniesz baronową.” Biedna jego chora żona umiera od tych słów, które słyszała i kucharka zostaje baronową. Co za koniec i co za słowo! lecz jakież ciąg i co za jedność! Lukrecyusz nie zrobił nic potężniejszego, kiedy z desperacką werwą i z niezachwianą loiką, opisał zarazę w Atenach i ztej zarazy zrobił swego bohatera.

Zatrzymajmy się tu; z tych trzech portretów sądźmy o innych. Balzak, jak Szekspir, malował złoczyńców wszelkiego rodzaju, z wielkiego świata i z włóczęgów, z galer i szpiegów, z banku i ze świata politycznego. Również jak Szekspir malował wszelkiego rodzaju monomanów: rozpu-

sty i skąpstwa, ambicyi i nauki, jako też sztuki, uczucia ojcowskiego i miłości. Znosicie w jednym to znosicie i w drugim. Nie jesteśmy bynajmniej tu wśród życia praktycznego i moralnego, lecz w życiu imaginacyjnem i idealnem. Osoby Balzaka i Szekspira, są widowiskami lecz nie wzorami, wielkość jest zawsze piękną, nawet w nieszczęściu i w zbrodni. Nikt wam nie radzi pochwalać to i naśladować; żąda się tylko abyście patrzyli i podziwiali. Wołę na otwartem polu spotkać barana niż lwa; lecz po za kratą, wołę widzieć lwa niż barana. Sztuka właśnie jest tą kratą odejmując strach, pozostawia interes. Odtąd, bez cierpień i bez niebezpieczeństwa, możemy się przypatrywać pysznym namiętnościami, walkom olbrzymim i wszelkim wysiłkom natury ludzkiej wypartej ze swych granic przez bój bez litości i żądze bez hamulca. I w samej rzeczy tak badana siła, zdumiewa i pociąga. To nas wrywa samych z siebie; wychodzimy ze zwyczajności dokąd nas wloką nasze ograniczone władze... trwożliwe instynkta. Dusza nasza potęguje się widokiem i przeciwdziałaniem; czujemy się tak jak przed szermierzami Michała Anioła, posągami okropnymi, u których grube i naprężone mięśnie grożą zmiążdzeniem narodu pigmeów na nie patrzącego; i pojmujemy w jaki sposób dwaj potężni artyści znajdują się nakoniec w swym królestwie, w ojczyźnie sztuki. Szekspir wynalazł słowa więcej uderzające, czyny więcej wyuzdane, krzyki bardziej zrozpaczone; on ma więcej siły, więcej

szału, więcej ognia; jego geniusz jest bardziej naturalny, więcej wyzwolony, gwałtowniejszy; tworzy instynktowo, jest poetą; — widzi i każe oglądać przez nagłe oświetlenia dalekie i głębokie rzeczy, tak jak wielkie błyskawice południowych nocy, które jednym rzutem podnoszą i zapalają cały widnokrąg. Ten zaś rozgrzewa i zapala po mału cały swój piec; wysiłki jego męczą; ciężko się mozoliny wspólnie z nim w tych zakopconych pracowniach, gdzie on za pomocą nauki przygotowuje mnóstwo lamp które porozstawia tysiącami, i których płomień pokrzyżowane i skoncentrowane mają oświecać okolicę. Nakoniec wszystkie się jednoczą, widz patrzy: spostrzega nie tak prędko, nie tak łatwo, mniej jaskrawo z Balzakiem niż z Szekspirem, lecz też same rzeczy, równie dalekie i równie nas wyprzedzające.

VI.

Filozofia Balzaka.

Cechą umysłu wyższego jest dar poglądów ogólnych. W gruncie stanowi on najgłówniejszą część człowieka, inne dary służą tylko do przygotowania go lub wykazania; jeżeli go brakuje inne są miernością; nie będąc filozofem uczony jest tylko partaczem, a artysta tylko zabawny. Ztąd pochodzi wysokie stanowisko Ampere'a w fizyce, Geoffroy Saint-Hilaire'a w zoologii,

Guizot'a w historii. Ztąd również pochodzi stanowisko Balzaka w romansie.

I.

Miał poglądy ogólne na wszystko i tak dalece, że książki jego są niemi przepełnione i że piękność ich na tem cierpi. Jakie są przyczyny, skutki i związki każdej władzy i każdej namiętności jakie są wyniki prywatne lub publiczne każdego zawodu i każdego powołania, jakim sposobem dochodzą do fortuny i jak ją rujnują, sto tysięcy prawd o człowieku i ludziach, stanowiących doświadczenie świata, wszystko to jest w jego dziele. Są traktaty o małżeństwie, o handlu, banku, bankructwie, administracyi, rodzinie i prasie. On sam w każdej chwili rozumuje również jak i jego osoby. Ta obfitość myśli stanowi ich wielkość; prawie zawsze ich słowa są warte rozwagi. Każdy przybywa z ogromną ilością uzbieranych przez całe życie uwag i wszystkie te uwagi przeciwstawiane sobie i łączone z sobą przez swą łączność i sprzeczność, stanowią encyklopedyę świata społecznego.

Cóż jest ten świat, i jakie siły nim kierują? W oczach naturalisty Balzaka, temi siłami są namiętności i interes. Grzeczność je przyozdabia, obłuda maskuje, głupota pokrywa pięknemi imionami; lecz w gruncie, na dziesięć czynów dziewięć znajdujemy czysto samolubnych. I nic w tem niema tak bardzo uderzającego; dlatego że w tem

wielkim zamięszaniu każdy jest sobie samemu oddany. Stałą myślą zwierzęcia jest wyżywić się i obronić; a zwierze tkwi w człowieku, z tą różnicą że pomysłowość ludzka będąc rozleglejszą, przeto potrzeby i niebezpieczeństwa są większe. Dlatego to Balzak uważa społeczeństwo, jako konflikt egoizmów, wśród którego siła wspierana przez wybieg, tryumfuje, gdzie namiętność skrycie i gwałtownie zrywa tany jej przeciwstawiane, gdzie wprowadzona moralność zawiera się w pozornem poszanowaniu przyzwoitości i prawa. Ten smutny i niebezpieczny pogląd jest nim tembardziej, że ze zbrodniarzy czyni ludzi genialnych że podając teorię zdrożności, czyni ją pomimowoli zajmującą i usprawiedliwioną, iż maluje lichocucia wzniosłe i subtelne, że maluje uroczo uczucia grubiańskie i niskie i że od czasu do czasu porwany swym przedmiotem, rzuca zdania przeciwne pokojowi publicznemu i być może zatrważające dla honoru. Zresztą tej gorzkiej filozofii¹⁾ jego, brakuje naturalnego przeciwdziałania;

1) „Cnotliwi ludzie prawie zawsze mają słabe pojęcie o ich stanie; im się zdaje że są oszukiwanymi na wielkim rynku życia.” (Les Parents pauvres).

„Nie wiedział że w trzydziestu sześciu latach, w czasie w którym człowiek rozważył ludzi, stosunki i interesa społeczne, zdania dla których swoją przyszłość poświęcił, powinny ulegnąć sprostowaniu w nim jako we wszystkich ludziach prawdziwie wyższego umysłu.” (La vieille fille).

„Ujrzał świat jakim on jest, prawa i moralność bezwładne u bogatych i ujrzał że w majątku zawiera się *ultima ratio mundi*.” (La père Goriot).

historyi, której nie umiał. Zapominał że jeżeli człowiek dziś przedstawia wiele wad i nędzy, tenże człowiek w przeszłości przedstawiał ich daleko więcej, że zwiększone doświadczenie zmniejszyło szal wyobraźni, ślepotę przesądów, gwałtowność namiętności, brutalność obyczajów, dotkliwość cierpień, i że w każdym wieku widzimy bogaczącą się naszą wiedzę i władzę, nasze umiarkowanie i bezpieczeństwo. Dokładne badanie nie jest dostateczne dla studyów filozoficznych nad człowiekiem, potrzeba badania zupełnego; a malowanie terażniejszości nie jest prawdziwem bez wspomnienia przeszłości.

Skoro tylko zaczniemy rozpatrywać przeszłość, terażniejszość wyda się nam piękną i uczciwą. W gruncie rzeczy niema nic tak zwodniczego jak te słowa: dobro i piękno, nic niema niebezpieczniejszego jak używanie ich w sądzeniu o świecie. Nigdy nie należy się mówić że świat jest zły lub przeciwnie. Słowa te użyte w ten sposób znaczyć będą tylko że rzeczy są piękne lub brzydkie przez porównanie z pewnemi przedmiotami; dlatego to jeżeli też rzeczy porównamy z innymi przedmiotami, powezmą one zupełnie przeciwne miano i własność. Prawda zawiera się w tem iż na świecie znajduje się pewna miara dobrego, która wydaje się wielką przez porównanie z mniejszą, małą zaś przy porównaniu z większą, a która, równie jak każda ilość, nie jest ani małą ani wielką sama w sobie. Znajdujesz że człowiek jest nędzny lub zły; będzie to znaczyć że w gruncie

serca masz obraz życia szczęśliwego i sprawiedliwego, i że zbliżając nasze życie z tamtem, spostrzegasz o ile stopni ono jest niższem. Lecz jeżeli będziesz rozpatrywać życie naturalne i zwierzęce, wyuzdaną i rozstrojoną grę wyobraźni i żądz, niezbędny konflikt woli i rzeczy, będziesz uwielbiał tę cząstkę sprawiedliwości i szczęścia która się przechowuje pośród tych burz, i będziesz wychwalać szlachetność natury ludzkiej, która pośród tylu sił rospasanych i ślepych utrzymuje i wyzwala rozum i cnotę. W ten sposób jeżeli zechcesz, z tego punktu wyjścia, człowiek wyda ci się cnotliwy lub wadliwy, piękny lub brzydki, szczęśliwy lub nędzny, a żadne z tych słów nie określi jego rzeczywistej natury, żadne z tych słów nie ustali reguły rządu i postępowania, a to dlatego że każde z tych słów wymierza tylko odległość znajdującą się pomiędzy człowiekiem rzeczywistym i urojonym, — którego tworzysz sobie dowolnie, którego zmniejszasz lub powiększasz według upodobania, a który może ulegać rozmaitym zmianom w każdym sensie aż do nieskończoności.

Porzuć te słowa nie określające, jeżeli chcesz traktować o moralności lub polityce; i staraj się przy pomocy historyi i praktyki dowiedzieć się o rzeczach. Wziąwszy pewną liczbę czynów, wyrachuj wiele z nich jest egoistycznych a wiele poświęcających się, po ułożeniu tej proporcji dowiesz się do jakiego stopnia społeczeństwo obecne jest pokojem, a do jakiego stopnia

jest wojną i w jakich granicach powinienes myśleć o interesach cudzych i własnych. Oddziel i rozpatrz skłonności i zdolności panujące twego narodu i twego czasu; po ustanowieniu takiego rozróżnienia, będziesz wiedział jakie potęgi kierują twoją ojczyznę i jaki rodzaj rządu podtrzymują lub o jaki się domagają. Inaczej jak Rousseau lub de Maistre będziesz pisał, według namiętnych wrażeń i abstrakcyjnych teoryj, ażeby dojść uniwersalnie rzeczypospolitej lub despotyzmu, śród złudzenia optycznego, które kierowało i sprowadziło na błędną drogę Balzaka.

Istotnie z jego moralności rodzi się jego polityka. Równie jak wszyscy ci którzy mają złą opinię o człowieku absolutnym¹⁾. Jeżeli w społeczeństwie widzi się tylko namiętności z natury egoistycznej i wzajemnie nieprzyjazne sobie, wzywa się ręki potężnej któraby je zdruzgotała lub pokonała. Tak robił Hobbes, teoretyk despotyzmu, który po ukończeniu rewolucyi w Anglii, domagał się żelaznych różg i pogromcy na szkodliwe zwierzęta które się zerwały z łańcucha. Balzak nienawidzi i pogardza naszym demokratycznym społeczeństwem i przy lada sposobności wybucha obelgami, często brutalnemi, przeciwko rządowi dwóch Izb. Użala się że Karolowi X-mu nie udało się zamach stanu, najbardziej przewidujące i najzbawienniejsze przedsięwzięcie ze wszystkich

¹⁾ Patrz. *le Médecin de Campagne, le Curé de Village, la Maison Nucingen, Préface Générale* etc.

jakie tylko monarcha mógł wymyślić dla szczęścia swoich narodów." On myśli że „rząd jest tem doskonalszy czem mocniej się gruntuje na obronie przywileju” bardziej ściśnionego; że „zasada wyborów jest najgubniejszą dla istnienia rządów teraźniejszych” „że proletaryat jest to małeletnie dziecię narodu i powinien zawsze pozostawać pod opieką.” Żałuje dziedzicznego parowstwa, majoratów, prawa starszeństwa. „Wielka rana Francji jest w tytule kodeksu cywilnego o *spadkobierstwach*, który nakazuje równy podział majątku.” Znajduje śmiesznem urządzenie kass oszczędności, które ośmielają sług do okradania swoich panów; ustanowienie konkursów, które ogłupiają wiele zdrowych umysłów i wytwarzają mnóstwo osłów uczonych.

Tworzył on i wiele innych rzeczy, a mianowicie z psychologii i metafizyki. Aby odkryć wielkie idee, nie trzeba zbyt sobie ufać, należy się powracać po sto razy z kąd się wyszło, sprawdzić na każdym kroku swe wnioski, umieć niewiedzieć o wielu rzeczach, oddzielać prawdopodobieństwa od pewności, zmierzyć możliwość, postępować z pewną metodą po wielkich drogach już zbadanych przez analizę i doświadczenie. W każdym filozofie zawiera się sceptyk. Balzak nie był nim z natury ani z usposobienia. Natura i zawód zmuszały go aby roił i wierzył; dlatego że badanie romansopisarza jest tylko wróżbiarstwem; on nie spostrzega uczuć tak jak anatomista spostrzega ścięgna; domyśla się ich z ruchów, fizjonomii,

ubrania, mieszkania, i to tak prędko iż zdaje się mu że tego dotyka, nie umiając już odróżnić znajomości prostej i pewnej od tej znajomości pośredniej i wątpliwej¹⁾. Za główny czynnik służy mu intuicya, zdolność niebezpieczna i wyższa za pomocą której człowiek wyobraża sobie lub odkrywa w fakcie pojedynczym cały orszak faktów, które go wytworzyły lub też wytworzyć mają, jest to rodzaj drugiego wzroku właściwego prorokom i lunatykom, który czasami napotyka prawdę, czasami fałsz, a który zwykle dościga tylko podobieństwa do prawdy. Balzak używał go w naukach; sądzicie z jakim skutkiem. Jeżeli pojęcia są sprawdzane każde z osobna przez doświadczenie, wtenczas mogą wyrażać naturę rzeczy przez nie przedstawianych; lecz kiedy rozwijają się same przez się i same z siebie, wyrażać będą tylko naturę umysłu który je wytwarza. Jeżeli ten umysł jest jasny, suchy, niezdolny do pochwycenia całości, będą one materyalistyczne. Jeżeli zaś umysł jest nieokreślony, poetyczny, skłonny do sprowadzenia abstrakcyi do rzeczywistości, będą mistyczne. Takim sposobem narodziły się prawie wszystkie wielkie systemata religii i filozofii. Takim sposobem myśli dziś wielu wielkich poetów, jeden z nich naśladowując Pitagoresa i twierdząc że kamyki są to dusze upadłe, drugi naśladowując szkołę Aleksandryjską i pływając w sferach chrześcianizmu nawpół chrześciań-

¹⁾ Louis Lambert, *Théorie de l'intuition*.

skiego. Tak marzył i myślał Balzak, kształtując świat i duszę według budowy swego własnego umysłu. Mając trochę za grubą wyobraźnię i przyzwyczajony nadawać ciała... rzeczom niewidzialnym, nie mógł widzieć naszych idei zupełnie czystymi i takimi jakie one są; sądził że dusza nasza jest płynem materyalnym eterycznym, podobnym do elektryczności: „że mózg jest to naczynie do którego zwierze znosi to, co według siły tego przyrzędu, rozmaite organizacje mogą pochłonąć z tej substancyi, i z kąd wychodzi przekształcony w wolę;” że nasze uczucia są poruszeniami tego płynu, i że tenże wychodzi „jednym rzutem,” w gniewie: że cięży na nerwach naszych w oczekiwaniu; „że prąd tego króla płynów, według wysokiego ciśnienia myśli lub uczucia, wylewa się falami lub też zmniejsza się i wycieka powoli, potem gromadzi się ażeby wytrysnąć błyskawicami.” On wierzył że „idee są istotami organicznymi, zupełnymi, które żyją w świecie niewidzialnym i wpływają na nasze losy;” że ześrodkowane w potężnym mózgu np. dobrego magnetyzera, mogą zapanować nad mózgami innych, i lotem błyskawicy przebiegać ogromne odległości. W ten sposób wyjaśniał przelewanie myśli, przewidywanie, przepowiednie prorocze, nieczułość nerwów, władzę mięśni, udoskonalenie zmysłów, leczenie chorych, objawiania się, opętania, katalepsye, zachwycenia i wszystkie te fakta wątpliwe lub dziwne, które nam przekazały nauki tajemne, a które dziś nauki wątpliwe starają

się wznowić. W ten sposób wyjaśniał wiele innych rzeczy, jak uczony i zręczny budowniczy, zgromadzając wiele dokumentów i łącząc doskonale fakta, lecz wykrzykując mimowolnie swoje teorie przez gwałtowność wyobraźni i zeznania poetyczne które wszędzie musiał domieszać. „Przyjemność pływania po czystej wodzie jeziora, pośród skał, lasów i kwiatów, samotnie i pieszczonym przez ciepły powiew wiatru, dałaby nieświadomym bardzo słaby obraz szczęścia, jakiegom doświadczał kiedy dusza moja bywała skąpana w jasnościach sam nie wiem jakiego światła, kiedy się przysłuchiwałem głosom straszny i pomieszany natchnienia, kiedy z niewiadomego źródła, obrazy napływały do mózgu drgającego.” Nie takim to sposobem poszukuje się praw w psychologii; potrzeba więcej spokoju i ogłędności. W tym wirze, wszystko się zlewa, światło, dźwięki idei, świat widzialny i niewidzialny; widzi się tylko rodzaj fantasmagoryi ruchliwej i błyskotliwej; i czuje się usposobionym, jak Ludwik Lambert, wziąć myśl człowieka za rodzaj płomienia, a siły wszechświata za rodzaj eteru. W trzecim wieku, w którym się mrowili poeci, jasnowidzący i chorzy, widziano Manichejczyków utrzymujących że Bóg jest płynnym, błyszczącym w prawdzie i subtelnym, lecz który przesiąka ciężką materję, jakby gąbkę. Na szczęście nie żyjemy już w czasie Manichejczyków.

Ci materyjaliści bywali chętnie i mistykami. Balzak był jednym i drugim, i z tego samego po-

wodu¹⁾. Spokojne dedukcyje uczonego nie podobają się tym mózgom burzliwym i poetycznym, wydają się im powolne, zimne, niedołączone; wołają oddawać się zachwyceniom i pysznym błyskawicom swych burz wewnętrznych. Kończą na tem że wierzą w nie i spoglądają na nie jak na potęgę procczą i wyższą, jedynie zdolną objawić człowiekowi świat nieskończony i boskie rzeczy. Znajdziecie te teorye szeroko wyłożone u Plotyna, u Ś-go Bonawentury, Ś-ej Teresy, Ś-go Marcina i Swedenborga. Kiedy Balzak porzucił swój drobnowidz, stawał się Swedenborgistą; zwykł bardzo źle się odzywać o rozumujących poprostu, nazywając ich „czysto-abstrakcyjnymi” sądząc że „najpiękniejsze genjusze ludzkie wyszły z ciemności abstrakcyjnych, ażeby dojść do światłości intuicyi. „Intuicyjny jest to nieodzowne, najdoskonalsze wyrażenie się o człowieku, pierścieniem łączącym świat widzialny ze światy wyższymi. Działa on, widzi, czuje przez swoje *wewnątrz*.” Nie wiem czy się kiedy on modlił, ale wiem że o modlitwie odzywa się na sposób illuminatów. „Ostatnie życie, to życie w którym się streszczają wszystkie inne, do którego dążą wszystkie siły, i których mocą zasług powinny się otworzyć wrota święte przed istotą doskonałą, jest życie modlitwy..... Jak wiatr gwałtowny lub też jak piorun, przenika wszystko i uczestniczy we władzy Boga. Posiadasz szybkość umysłu; w jednej chwili jesteś

¹⁾ *Seraphita*.

obecny we wszystkich krainach, przenosisz się jak samo słowo, z jednego końca świata na drugi. On jest harmonią a ty w niej bierzesz udział! on jest światłem a ty je widzisz! on jest melodią a jej oddźwięk jest w tobie! W takim stanie poczujesz jak się twój rozum rozwija, wzrasta a pogląd jego dościga cudownych odległości; w rzeczywistości nie jest on ani czasem ani miejscem dla rozumu..... Chociaż te rzeczy odbywają się w cichości i w milczeniu, bez wzruszenia, bez ruchów zewnętrznych, niemniej wszystko jest czynem w modlitwie, lecz czynem żywym, оголоconym ze wszelkiej treściwości i doprowadzonym do bytu, jak ruch światów, siła niewidzialna i czysta." Jest to teoria ekstazy; sądźcie jakie piękności i jakie marzenia mogą się z niej wyłonić. Koniec *Serafity* jest podobny do śpiewu Dantego: grunt dogmatu pozostaje chrześcijańskim a przeznaczenie ludzkie przedstawione jest tam jako ciąg żyć wstępnych gdzie dusza, naprzód kierowana „przez miłość siebie, potem przez miłość istot, a nakoniec przez miłość nieba, przechodzi kolejno świat naturalny, świat duchowy i świat boski." Lecz wszystkie świetności hallucynacyi i poezyi pokryły doktrynę; pomieszane i wspaniałe widzenie odmyka niebo, rodzaj oceanu światła, w którym pływają światy, każdy w swej złotej szacie, pośród tajemniczego i płomieniejącego motora, który im udziela życie i miłość. „Słyszeli oni rozmaite części nieskończoności tworzącej żywą melodię; za każdym razem kiedy

akkord dawał się uczuwać jak niezmierny oddech, światy porwane przez ten zjednoczony ruch skłaniały się ku Nieskończonej Istocie, która ze swego środka nieprzeniknionego, wszystko wysyłała i sprowadza wszystko ku sobie.... Światło wyradzało melodyę, melodia wyradzała światło, ruch był liczbą obdarzoną darem słowa; nakoniec wszystko razem było dźwięcznem, przezroczystem, ruchomem; ponieważ wszystkie rzeczy przeniknęły się wzajemnie, przesrzeń była bez przeszkód i mogła być przebytą przez aniołów w głębi nieskończoności. Tam była uroczystość. Miriady aniołów zbierały się jednym lotem, bez zamieszania, wszyscy podobni, wszyscy różni, prości jak róża polna, ogromni jak światy. On ich nie widział ani przybywających ani odlatujących; niespodzianie napełnili nieskończoność swoją obecnością, jak gwiazdy błyszczące w eterze." Oto są czarodziejstwa i wiara do których zmierza geniusz. Ażeby je wyrazić, nadużywał romansu, jak Szekspir dramatu, nakazując mu więcej niż mógł podołać. Szekspir przygnębiony nadmiarem poezji, wprowadzał na scenę kantaty, opery, marzenia, i wszystkie piękne lub rospasane dzieci fantazyi. Balzak przygnębiony nadmiarem poezji, zamieszczał w romansach politykę, psychologię, metafizykę i wszystkie prawe lub nieprawie dzieci filozofii. Wiele ludzi tem się męczy i odrzucają *Serafitę* i *Ludwika Lambert* jako czcze mrzonki ciężkie do czytania; chcieliby filozofii mniej romantycznej lub też romansów mniej

filozoficznych. Są oni ani dosyć wykształceni ani też dość rozbawieni; żądają więcej interesu lub dowodów. Należałoby się aby zauważyli że te dzieła wykończają dzieła, tak jak kwiat zakończy roślinę, że tam geniusz artysty spotyka swoją zupełną ekspresyę i swój ostateczny rozkwit; że reszta przysposabia je, wyjaśnia i usprawiedliwia; że drzewo wiśniowe powinno rodzić wiśnie, teoretyk teorye, a romansopisarz romanse.

II.

W Paryżu wynajdują na wszystko nazwiska, jest to sposób streszczania idei dla uczynienia ich przenośnemi; oto niektóre z nich jakie zebrałem o Balzaku:

„Jest to muzeum Dupuytren'a *in folio*.”

„Jest to piękny grzyb szpitalny.”

„Jest to Moliere doktor.”

„Jest to Saint-Simon lud.”

Ja się daleko prościej wyrażę: Współ z Szekspirem i Saint-Simon'em, Balzak jest największym składem dokumentów, jakie posiadamy o naturze ludzkiej.

DICKENS.

Gdyby Dickens już umarł, możnaby napisać jego życiorys¹⁾. Nazajutrz po pogrzebie sławnego człowieka, jego przyjaciele i nieprzyjaciele biorą się do dzieła. Szkolni towarzysze opowiadają w dziennikach jego psoty z wieku dziecinnego; inny przypomina sobie dokładnie i słowo w słowo rozmowy miewane z nim przed 25-u laty.

Egzekutor testamentu spisuje listę dyplomów, nominacyj, dat i cyfr, i przedstawia pozytywnym czytelnikom, jak umieszczał swe summy i jaką jest historia jego majątku. Stryjeczne prawnuki i najdalsi krewni podają do wiadomości publicznej opis jego serdecznych czynów i katalog cnót domowych. Jeżeli nie ma w rodzinie geniusza literackiego, wybiera się kogoś mającego stopień z uniwersytetu oksfordzkiego, który będąc człowiekiem sumiennym, uczonym, traktuje niebo-

¹⁾ Taine pisał ten portret przed śmiercią Dickensa która nastąpiła 1872 r.

szczyka jakby greckiego pisarza, gromadzi mnóstwo dokumentów, przeciąża je mnóstwem komentarzy, wieńczy całość mnóstwem dySSERTacyj, i dziesięć lat później, w dzień Bożego Narodzenia przychodzi w białym krawacie i z błogim uśmiechem, ofiarować zebranej rodzinie trzy tomy in quarto, a każdy składający się z ośmiuset stronnic, których lekki styl uspiłby Niemca berlińskiego. Ściskają go ze łzami w oczach, proszą siedzieć, czynią z niego największą ozdobę uroczystości i posyłają utwór do *Przeglądu Edynburskiego*. Ten drzy na widok olbrzymiego podarku, i wybiera młodego i odważnego redaktora aby, przy pomocy spisu przedmiotów, ułożył jaki taki życiorys. Druga korzyść pośmiertnych biografii jest ta, że nieboszczyk już nie może zadać kłamstwa biografowi ani lekarzowi.

Na nieszczęście Dickens jeszcze żyje i zadaje kłamstwo pisany jego biografiami. Co gorsza zamierza być sam biografem swoim. Gdy tłumacz jego zażądał pewnego razu niektórych dokumentów, odpowiedział że je zachowuje dla siebie. Wprawdzie *Dawid Copperfield*, jego najlepszy roman, wygląda na zwierzenie; ale w którym punkcie ustaje ono, i w jakim stopniu fikcyja zdoła prawdziwą? To się tylko wie, a raczej to się powtarza, iż Dickens urodził się 1812 r., że jest synem stenografa, że z początku był sam stenografem, że był ubogi i nieszczęśliwy za młodu, że jego romanse drukowane zeszytami zdobyły mu wielki majątek i ogromną sławę. Czytelnik może się

domyślać reszty; Dickens objaśni go kiedyś, gdy napisze swe pamiętniki. Do tego czasu zamyka swe drzwi, i pozwala stać za niemi ludziom zbyt ciekawym którzy uporeczywie pukają. Służy mu to prawo. Chociaż człowiek jest sławnym, nie zostaje się własnością publiczną, nie jest skazany na zwierzanie się; nie przestaje należeć do siebie, może przemilczeć o sobie to co uznaje za stosowne. Oddając swe dzieła czytelnikom, nie oddaje im życia. Poprzestańmy na tem co nam dał Dickens. Czterdzieści tomów aż nadto wystarczają, aby dobrze poznać człowieka; zresztą wyjawiają o nim wszystko co potrzebne aby wiedzieć. On nie należy do historyi przez wypadki życia, ale przez talent, a ten talent jest w jego dziełach. Geniusz człowieka jest podobny do zegara; ma swój mechanizm i wśród wszystkich części składowych jest wielka sprężyna; oddzielcie tę sprężynę, pokażcie w jaki sposób nadaje ruch innym, śledźcie ten ruch od części do części aż do wskazówki z którą się styka. Ta wewnętrzna historia geniuszu nie zależy od zewnętrznej historyi człowieka i jest równejże wartości.

I.

P i s a r z .

Pierwsze pytanie jakie się powinno robić o artystę jest to: jak on widzi przedmioty? z jaką jasnością, z jaką żywością, z jaką siłą? Odpowiedź z góry określa całe jego dzieło, bo każdy wiersz jest tworem wyobraźni i do końca zachowuje pierwotne swe ruchy. Odpowiedź z góry określa cały jego talent, bo w romansopisarzu wyobraźnia jest naczelną zdolnością; od niej zależy umiejętny układ, dobry smak, poczucie prawdy. Jeden stopień dodany do jej gwałtowności, burzy wyrażający ją styl, zmienia charaktery jakie ona tworzy, obala granice w jakich się zamyka. Gdy rozważycie wyobraźnię Dickensa, spostrzeżecie przyczynę jego wad i zalet, jego potęgi i wybujałości.

I.

Jest w nim malarz i to malarz angielski. Zdaje mi się iż żaden umysł nie przedstawiał sobie z większą dokładnością i siłą, wszystkich szczegółów i barw obrazu. Przeczytajcie ten opis burzy, czy to nie daguerotyp zdejmowany przy olśniewającym świetle błyskawic? „Oko równie chyże jak one, spostrzegało w każdym ich płomieniu, mnóstwo przedmiotów którychby nie zobaczyło wśród dnia, w przeciągu czasu pięćdziesiąt razy dłuższym; były to dzwony w dzwonnici-

cach wraz z powrozem i kołem puszczającemi je w ruch; poszarpane gniazda ptasie, w zakątkach i na gzemsach; przerażone twarze w powozach unoszonych przez zestraszone konie z łoskotem przytłumionym przez grzmoty; bronie i pługi porzucane w polu, całe przestrzenie ziemi poprzerywanej płotami z dalekiem pasmem drzew, tak widzialnych jak straszdyło postawione wśród pola zasianego bobem o trzy kroki od nich; chwilową jasność przejrzystą, płomienną, drgającą która im wszystko ukazywała, potem barwę czerwona w świetle żółtem, potem kolor niebieski, potem blask tak mocny że nic nie było widać prócz światła; następnie gęstą i głęboką ciemność."

Wyobraźnia tak jasna i energiczna, musi bez wysilenia ożywiać martwe przedmioty. Powoduje, w umyśle przez nią zamieszkiwanym, nadzwyczajne wrażenia, i autor przelewa na rzeczy jakie sobie wyobraża, nieco tej namiętności zbyt obfitej która go przepęlnia. Dla niego kamienie mają głos, białe ściany przedłużają się jakby wielkie widma, czarne studnie ziewają szkaradnie i tajemniczo wśród ciemności; legiony dziwacznych istot obracają się ze drzeniem w fantastycznej okolicy; natura pusta zaludnia się, materya martwa nabiera ruchu. Ale obrazy pozostają jasne; w tym szale niema nieokreślności, nieporządku; przedmioty urojone mają zarysy tak dokładne i szczegóły tak liczne jak przedmioty rzeczywiste, a te widziadła niemniej są warte od prawdy.

Między innemi, jest opis wichru w nocy dziwacznej i potężnej, przypominający niektóre karty z *Notre-Damè de Paris*. Źródłem tego opisu, jak wszystkich opisów Dickensa, jest czysta wyobraźnia. On nie opisuje jak Walter Scott, aby podać czytelnikowi kartę jeograficzną, i zrobić topografię swego dramatu. Nie opisuje, jak lord Byron, przez zamiłowanie wspaniałej natury i dla przedstawienia świetnego szeregu wielkich obrazów. Nie stara się o dokładność ani o wybór piękna. Uderzony jakim widokiem, zapala się, i rozrzuca nieprzewidziane postacie. Raz pożółkłe liście gnane wiatrem uciekają i przewracają się drżące, pomieszane, szalone w swoim biegu, przytulają się do bruzd, toną w rowach, zawieszają się na drzewach. To znów wichur nocny kręci się wkoło kościoła, z jękiem dotyka niewidzialną ręką okien i drzwi, wsuwa się w szczeliny, a zamknięty w swem kamiennem więzieniu huczy i narzeka chcąc się wydobyć." Gdy się już nawłóczył po skrzydłach, nakręcił wkoło słupów, gdy wypróbował brzęących organów, wzlata, uderza o sklepienie i usiłuje wyrwać belki, poczem zrospaczony spada z łoskotem na ziemię. Czasami wraca ukradkiem i czołga się wzdłuż ścian. Zda je się że cichym szeptem czyta napisy nagrobków. Koło niektórych przechodzi z donośnym odgłosem jak gdyby to był wybuch śmiechu; nad innymi krzyczy i jęczy, jak gdyby płakał." Dotąd poznajecie tylko ponurą wyobraźnię człowieka z Północy. Nieco dalej spostrzeżecie namiętną religię

protestanta rewolucyjnego, gdy wam mówi o po-
 sępnych odgłosach wichru zabłąkanego wkoło oł-
 tarza, o dzikich dźwiękach, jakimi zdaje się opie-
 wać zamachy popełniane przez człowieka, i fał-
 szywych bogów jakich tenże czci. Ale po chwili
 znowu się odżywia artysta; prowadzi was do
 dzwonnicy, i szczękiem nagromadzonych słów,
 sprawia nerwom wrażenie burzy powietrznej.
 Wicher świszcze i rzuca się wśród arkad i wyzę-
 bień wieży; wije się i okręca wkoło trzęsących się
 wschodów; obraca zgrzytającą chorągiewką. Dic-
 kens wszystko zobaczył w starej wieżycy; jego
 myśl jest zwierciadłem, nie wymknie mu się najdro-
 bniejszy i najbrzydszy szczegół. Policzył sztaby
 żelazne zjedzone przez rdzę, pogięte i skurczone
 blachy ołowiane, które trzeszczą i podnoszą się
 z zadziwieniem pod deptającą je nogą; gniazda pta-
 sie uszkodzone i nagromadzone w kątach tarcie
 spleśniałych, szary pył narosły, pająki centkow-
 ne, leniwe, utuczone w długim spokoju, które za-
 wieszzone na nici, gnuśnie kołyszą się od drgania
 dzwonów, i wśród nagłego przestachu, wspinają
 się jak majtkowie na swych linach, lub zsuwają
 się na ziemię, i żwawo poruszają dwudziestoma
 lekkimi nóżkami, jak gdyby chciały ocalić ja-
 kieś życie. To malowidło sprawia złudzenie. Bę-
 dąc zawieszonym w tej wysokości między latają-
 cemi chmurami które przeprowadzają swe cienie
 po mieście, i między słabemi światłami dającemi
 się z trudnością spostrzegać wśród mgły, dostaje
 się jakiegoś zawrotu i również jak Dickens nie jest

się dalekim od odkrycia myśli i duszy w metalicznym głosie dzwonów, zamieszkujących ten drżący zamek.

Układa o nich romans, i to nie pierwszy. Dickens jest poetą; tak mu jest dobrze w świecie urojonym jak w rzeczywistym. Tu, dzwony gawędzą z biednym starym posłańcem ulicznym, i pocieszają go. Tam, świerszcz przy ognisku wyśpiewuje wszystkie rozkosze domowego życia, i nasuwa przed oczy zrozpaczonego właściciela tego miejsca, błogie wieczory, poufne rozmowy, dobrobyt, spokojną wesołość, jakiej używał i którą utracił. Gdzieindziej, jest to historia dziecka chorego i rozwiniętego przed czasem; czuje ono iż umiera, i usypiając w objęciach siostry, słyszy daleką pieśń szemrzących fal; które je wykołysały. U Dickensa, przedmioty przyjmują barwę myśli przedstawianych przez niego osób. Jego wyobrażenia jest tak żywa że wszystko pociąga za sobą na wybranej przez się drodze. Jeżeli osoba jest szczęśliwa, trzeba żeby niemi były także kamienie, kwiaty i obłoki; jeżeli jest smutna, trzeba żeby natura płakała wraz z nią. Wszystko się odżywa nawet brzydkie domy na ulicach. Styl biegnie pośród roju widziadeł; unosi się aż do najwyższych dziwaczności. Oto dziewczyna młoda, ładna i uczciwa, przechodzi przez podwórze fontan i dzielnicę prawników aby odwiedzić brata. Cóż prostszego a nawet coś pospolitszego? Dickens zapala się do tego. Aby ją uczyć, zwołuje ptaki, drzewa, domy, źródło, bióra, akta sądowe

i wiele innych rzeczy. Jest to szal i prawie czarowanie:

„Czy było dosyć życia w smutnej roślinności podwórza Fontan aby okopcone gałązki uczuły przybycie najczystszej i najmilszej kobietki w świecie? Jest to pytanie dla ogrodników i dla uczonych, znających się na mitostkach roślin; ale była to dobra rzecz dla tego podwórza brukowanego, obejmować w swej ramie tak delikatną twarzyczkę; przechodziła jak uśmiech wzdłuż starych, poczerniałych domów i wydeptanych kamieni, pozostawiając je w stanie większej pęśności, smutku, wykrzywienia, jak kiedykolwiekbądź; o tem niemożna wątpić! Fontanna podwórza mogłaby skoczyć o dwadzieścia stóp dla oddania pokłonu temu źródłu nadziei i młodości które przesuwato się promieniejące w suchych i zapyłonych kanałach prawa. Gadatliwe gołąbki karmione w szczelinach i otworach świątyni sprawiedliwości, mogłyby umilknąć aby słuchać wymarzonych skowronków w chwili gdy przechodziła ta świeża istotka. Ciemne gałęzie zginające się tylko w czasie bezsilnego wzrastania, mogłyby się nachylić ku niej z miłością jakby ku siostrze i zlać swe błogostawieństwo na jej powabną główkę. Stare listy miłosne zamknięte w sąsiednich biórkach, w głębi pudełka blaszanego, i zapomniane pośród stosu papierów rodzinnych gdzie się zawieruszyły, mogłyby drzeć i paruszać się na przelotne wspomnienie dawnych uczuć tkliwych, gdy zbliżata się swym lekkim krokiem. Nie jedna rzecz która się nie stała, i nie stanie się nigdy, mogłaby się zdarzyć dla miłości Rut.”

To naciągnięte, nieprawda? Wasz smak francuzki, zawsze umiarkowany, oburza się na te

uniesienia przesadne, na to rozpieszczenie chorobliwe. Jednakże ta przesada jest naturalną. Dickens nie szuka dziwaczności, ale je napotyka. Ta wybujała wyobraźnia jest jakby struną zbyt wyciągniętą; sama przez się, i bez gwałtownego wysilenia wydaje dźwięki jakich się nie słyszy gdzieindziej.

Zobaczycie jak się nastraja: weźcie sklep jakikolwiek, — najbardziej odrażający, naprzykład handlującego instrumentami marynarskimi. Dickens widzi barometry, chronometry, kompasy, teleskopy, bussole, lunety, mappy całego świata, tuby i wszystko co się tam znajduje. Widzi tyle rzeczy, i widzi je tak jasno, — tak się tłoczą i cisną, tak się ściśle łączą wzajemnie w jego mózgu, który przepełniają i obciążają — tyle jest idei geograficznych i żeglarskich rospostartych za szybami, zawieszonych u sufitu, przyczepionych do ścian wylewają się na niego z tyłu stron i z taką obfitością, że traci o nich sąd. Sklep przeobraża się: „W ogólnej zarazie, zdaje się że się on przemienia na jakąś maszynę morską wygodną, zrobioną nakształt okrętu, której potrzeba tylko pomyślnego wiatru, aby się spokojnie puściła w drogę do jakiegokolwiek niezaludnionej wyspy.

Niebardzo jest wielka różnica między waryatem i człowiekiem genialnym. Tak mówił do Esquirol'a Napoleon, który znał się na tem. Ta sama zdolność prowadzi nas do chwały lub do sali szpitalnej. Wyobraźnia rojąca zarówno tworzy

widmo waryata i osoby artysty; a klasyfikacye słuzące jednemu, mogą być przydatne i drugiemu. Dickens ma wyobraźnię podobną do monomanów. Zagłębić się w jakiejś idei, dać się jej pochłonać, ją tylko widzieć, powtarzać pod stami postaci, powiększać i tak powiększoną przysuwać do oka widza, olśniewać go, przytłaczać nią, wycisnąć tak mocno i głęboko żeby nie mógł jej wyrwać z pamięci, oto wielkie rysy tej wyobraźni i tego stylu. Z tego względu *David Copperfield* jest arcydziełem. Nigdy przedmioty nie pozostawały bardziej widzialne i obecne pamięci czytelnika, jak te które on opisuje. Stary dom, bawialny pokój, kuchnia, łódź Peggotty, a nadewszystko podwórze szkolne, są to obrazy wnętrz z którymi nic się nie równa tak są wydatne, silne i dokładne. Dickens ma namiętność i cierpliwość malarzy swego narodu; liczy po jednemu szczegóły, notuje różne barwy starych pni drzew; widzi beczkę pękniętą, kamienie w posadzce zzieleniałe i potrzaskane, szczeliny w murze wilgotnym; rozróżnia dziwne wyziewy wydobywające się ztamtąd, oznacza wielkość plam mchowych, czyta nazwiska uczni zapisane na drzwiach i zastanawia się nad kształtem głosek. Ten dokładny opis nie jest zimny, a jeżeli jest szczegółowy to dowodzi że Dickens wpatrywał się z natężeniem. Jego dokładność dowodzi namiętności. Czuło się tę namiętność niezdając sobie z niej sprawy; nagle spostrzega się ją w końcu stronicy. Zuchwałość stylu czyni ją widzialną, a gwałtowność frazesu

świadczy o gwałtowności wrażenia. Przesadne metafory, przesuwają przed oczami dziwaczne malarzenia. Oblegają nas niedorzeczne widziadła. „Pan Mell bierze flet i dmie w niego, — powiada Copperfield, — a to do takiego stopnia że w końcu myślałem iż całą osobę wsunie w wielki otwór górny, aby wyjść dolną klapką.” Tom Pinch, rozczarowany odkrywa że Pecksniff jego mistrz „jest obłudnym łotrem.” Tak długo był przyzwyczajony maczać w swej herbacie Pecksniffa ten utwór jego wyobraźni, smarować go na chlebie, połykać w piwie, — że spożył dosyć lichy śniadanie nazajutrz po jego wygnaniu. Myśli się o fantazyach Hoffmann'a, ogarnia nas myśl obłędna i głowa zaczyna boleć. Te ekscentryczności są raczej stylem choroby niż zdrowia.

Dlatego tego też Dickens jest zadziwiający w malowaniu hallucynacyj. Widzi się, że doznaje tychże samych co jego osoby, że jest opanowany ich obłędem, że wnika w ich szal. Jako anglik i moralista opisywał nieraz wyrzut sumienia. Może kto powie że robi z niego straszdyłło, i że artysta źle czyni przeobrażając się na prawnika, żandarma i kaznodzieję. Mniejsza o to; portret Jonasza Chuszelewit jest tak okropny że można mu wybaczyć iż się tam znajduje. Jonasz wyszedłszy ukradkiem ze swego pokoju, zabił zdradliwie nieprzyjaciela i sądzi że odtąd będzie oddychał spokojnie; ale wspomnienie zbrodni, jak trucizna, nieznacznie rozprzęga mu umysł. Już nie jest panem swych myśli, unoszą go one z zapalczywością

rozpędzonego konia. Ciągłe rozmyśla ze drżeniem o pokoju gdzie sądzą że on śpi. Widzi ten pokój, liczy tafle posadzki, wyobraża sobie długie fałdy firanek ciemnych, rozrzucone łóżko, drzwi do których można zapukać. W miarę jak chce oderwać się od tego widziadła, zagłębia się więcej. To płomienna otchłań w którą stacza się z szamotaniem, z krzykiem, oblany potem wśród tej męczarni. Wyobraża sobie że leży na tem łóżku jak być powinno, po chwili widzi się tam. Przestrasza go to drugie ja. Urojenie jest tak silne, że nie jest bardzo pewny czy się nie znajduje tam w Londynie. „Staje się w ten sposób własnem widmem i własną marą.” A ta istota urojona, jak zwierciadło podwaja tylko w sumieniu obraz zabójstwa i kary. Powraca i błędąc przechodzi aż do drzwi swego pokoju. On, człowiek oddany interesom, rachujący, maszyna brutalna rozumowań pozytywnych stał się tak chimerycznym jak nerwowa kobieta. Idzie na palcach jak gdyby się bał obudzić urojonego człowieka którego sobie wyobraża leżącym na łóżku. W chwili kiedy obraca klucz w zamku, porywa go potworna trwoga: gdyby zamordowany człowiek podniósł się tam, przed nim! Wchodzi nareszcie i rzuca się na łóżko palony gorączką. Ściąga prześcieradło na oczy żeby spróbować nie widzieć już przekłętego pokoju, ale go widzi jeszcze lepiej. Szelest kołdry, szmer owadu, bicie własnego serca, wszystko mu woła, zabójco! Mając umysł zwrócony ku drzwiom z uwagą, postuniętą do szalu, sądzi nareszcie że je

otwierają, słyszy ich zgrzyt. Jego wrażenia są skrzywione, nie śmie im niedowierzać ani im już ufać, i w tej zmurze w której rozum pochłonięty daje wyjść na jaw tylko chaosowi ohydnych postaci, znajduje tę jedną rzeczywistość, że go niestannie gnębi konwulsyjna rozpacz. Odtąd wszystkie jego myśli, wszystkie niebezpieczeństwa, świat cały znikają w jednym pytaniu: kiedy oni znajdą trupa w lesie? Stara się oderwać od tego myśl, ale jest wyciśnięta, przylepiona i przywiązuje go jakby łańcuchem żelaznym. Ciągłe sobie wyobraża że idzie do lasu, że się tam wsuwa cichym krokiem, odgarniając gałęzie, że się zbliża, zbliża coraz bardziej, i spędza „muchy osiadłe na ciele gęstemi kępami, jakby stosy suszonych porzeczek i zawsze kończy na myśli że będzie odkryty. Czeką tej wiadomości, wsłuchując się gorączkowo w krzyki i hałasy uliczne, wsłuchując się skoro ktoś wychodzi lub wchodzi, skoro ktoś idzie na dół lub na górę. Zarazem ciągle ma wpatrzone oczy w tego trupa porzuconego w lesie; w duchu pokazuje go wszystkim, kogo tylko spostrzeże, jak gdyby chciał im powiedzieć: „patrzcie! Czy znacie to? Czy mnie podejrzycie?” Gdyby wziął ciało na ręce, i kładł je u nóg wszystkich przechodniów aby je poznali, nie byłoby to większem udręczeniem jak ta myśl obłądana na jaką skazało go sumienie.

Jonasz jest blizki obłąkania, inni zupełnie wpadają w nie. Dickens stworzył trzy czy cztery portrety waryatów; bardzo są zabawne za pierw-

szym rzutem oka, ale tak prawdziwe, że w głębi są okropne. Trzeba było takiej jak jego wyobraźni, rospasanej, przesadnej, zdolnej do myśli obłądnych, aby wyprowadzać na widownię choroby umysłowe. Są dwie zwłaszcza które rozśmieszają i przejmują trwogą: Augustus maniak smutny, który ma zaślubić miss Pecksniff, i biedny pan Dick, pół-idiota, pół-monoman, żyjący z miss Trodwood. Rozumieć te nagłe uniesienia, te niespodziane smutki, te dziwaczne porywy spaczonoj tkliwości, przedstawiać to zatrzymanie się myśli, te przerwy w rozumowaniu, to wsuwanie jednego słowa, zawsze tego samego, które przecina zaczęte zdanie i obala odradzający się rozum, widzieć uśmiech głupowaty, wzrok bezmyślny, fizyonomię głupowatą i niespokojną tych starych i niesfornych dzieci, które z bolesnem macaniem, idą od idei do idei i na każdym kroku uderzają się o próg prawdy, nie mogąc go przestąpić, jest to zdolność jaką tylko Hoffman miał na równi z Dickensem. Ruch tych umysłów nadwątlnych, podobny jest do zgrzytu drzwi o zepsutych zawiasach; niedobrze się robi słuchając tego. Wprawdzie znajduje się tam wybuch rozstrojonego śmiechu, ale jeszcze lepiej się odkrywa jęk i skargę, i ze strachem mierzy się jasność, dziwaczność, egzaltację, gwałtowność wyobraźni która spłodziła takie istoty, nosiła je i podtrzymywała do końca bez zachwiania się, i znalazła się w swoim prawdziwym świecie naśladować, i stwarzając ich niedorzeczność.

Do czego może się stosować ta siła? Wyobraźnie różnią się nie tylko swą naturą ale i przedmiotem. Zmierzywszy ich moc, należy oznaczyć dziedzinę; wśród szerokiego świata artysta urabia własny świat; mimowolnie wybiera rodzaj przedmiotów jakie najlepiej lubi; na inne jest zimny i nie spostrzega ich. Dickens nie widzi rzeczy wielkich, to jest drugim rysem jego wyobraźni. Unosi go zapał do lada czego, zwłaszcza do rzeczy pospolitych, do sklepu kramarza, do szyl-du, do kupca ulicznego który okrzykuje swój towar. Posiada moc, ale nie sięga do piękna. Jego instrument wydaje dźwięki krzykliwe, a brak mu harmonijnych. Jeżeli opisuje dom, rysunek będzie wykonany z dokładnością geometryczną. Wszystkie barwy uwydatni, odkryje fizyognomię i myśl w okiennicach i rynnach; z domu uczyni jakąś istotę ludzką wykrzywającą się i energiczną, która pochwyci wzrok i nie zatrze się w pamięci; ale nie zobaczy szlachetności długich linii pomnikowych, spokojnej powagi wielkich cieni szeroko zakreślonych przez białosc ścian, wesołości pokrywającego je światła, i staje się dotykalnem w czarnych zagłębieniach, gdzie się zanurza jak gdyby szukając wypoczynku i snu. Jeżeli maluje krajobraz, spostrzeże ostrokrzew rozrzucający czerwone jagody na obnażonych płotach, małą mgłę wydzielającą się z dalekiego strumyka, poruszenia owadu w trawie; ale wielką poezją jaką schwyciłaby autorka *Walentyny i Andrzeja*, umknie jego oku. Jak malarze jego kraju, zginie

w drobiazgowem i namiętne badaniu małych rzeczy, nie będzie miał zamiłowania do pięknych kształtów i pięknych barw. Nie będzie czuł że kolor błękitny i czerwony, linia prosta i krzywa dostateczne są do utworzenia ogromnych harmonij które wśród tylu rozmaitych ekspresyj zachowują wspaniałą błogość i otwierają w głębi duszy źródło zdrowia i szczęścia. Jemu szczęścia brakuje; jego natchnienie jest gorączkową siłą, która nie wybiera przedmiotów, ożywia bez namysłu brzydoty, pospolitości, niedorzeczności i która udzielając swym tworum jakieś życie urywkowe i gwałtowne, odejmuje im dobrobyt i harmonię, jakie mogłyby zachować w innych rękach. Miss Ruth jest to bardzo miłutka gosposia; kładzie fartuszek; jakież to skarb ten fartuszek? Dickens obraca go i obraca jakby kupiec nowości chcący go sprzedać. Trzyma go ona w ręku, potem opasuje wkoło kibici, wiąże tasiemki, rozpościera go i mnie aby się dobrze układał. Czegóż nie robi z tym fartuszkem! O jakże Dickens jest oczarowany w czasie tych niewinnych czynności! wydaje okrzyki wesole i figlarne: „O mój Boże, jakież to niegodziwy staniczek!” Przemawia do pierścionka, skacze wkoło Ruth, z radości klaszcze w ręce. Daleko jeszcze gorzej, gdy robi pudding; zachodzi cała scena liryczna i dramatyczna, z okrzykami, z nagłemi zmianami, zupełnie jak w trajedyi greckiej. Te wdzięki kuchenne i figle wyobraźni przypominają przez swą sprzeczność, przedstawiane wewnątrz przez George Sanda. Czy

pamiętacie pokój kwiacierki Genowefy? Ona równie jak Ruth wyrabia przedmiot użyteczny, bardzo użyteczny, kiedy nazajutrz sprzeda go za 10 sous; ale tym przedmiotem jest rozkwitła róża, której wątłe listki zwijają się pod jej palcami jakby w rękę czarodziejki. Świeża korona rumieni się tak delikatną barwą jak jej policzki, wątłe arcydzieło zrodzone w pewien wieczór wzruszenia poetycznego, podczas gdy przez okno wpatruje się w niebo, w przenikające i boskie oczy gwiazd, w głębi jej dziewiczego serca szemrze pierwsze tchnienie miłości. Dickens nie potrzebuje takiego widoku aby się rozpalić: dyliżans pobudza go do dytyrambu; koła, chlapanie błotem, świst bicia, hałas koni, zaprzęgów i powozu, to wystarcza aby odchodził od siebie. Przez sympatyę odczuwa ruch powozu, który go porywa z sobą. Słyszy w mózgu galopowanie koni, i jedzie wyrzucając tę odę która zdaje się wychodzić z trąbki konduktora:

Naprzód w powiększające się ciemności! Nie uważamy na czarne cienie drzew; przebędziemy tym samym galopem przez jasność i ciemności, jak gdyby światło z Londynu wystarczało aż nadto do oświetlenia drogi! Naprzód za wiejską łąkę, gdzie się zapóźniają grający w piłkę, gdzie każdy najmniejszy znak zostawiony na świeżym trawniku przez rakiety, piłki lub nogi graczy, roznosi woń wśród nocy! Naprzód, z czterema świeżymi końmi, za karczmę Jelenia bez rogów, gdzie pijący zbierają się przed drzwiami z podziwieniem, podczas gdy zaprząg opuszczony z lej-

cami pozostawionemi, idzie sobie swobodnie w stronę sadzawki, pędzony wrzawą dwunastu gardziół i drobną dziatwą, biegnącą dobrowolnie aby go sprowadzić na drogę! Teraz, stary most wydaje odgłos pod kopytami koniaskimi, wśród wydobywających się iskier. I znowu znajdujemy się na cienistej drodze i za otwartą rogatką, dalej coraz dalej, na wieś. Hurra! etc.

Zaledwie można było uczuć piękność nocy już dzień nadbiega żywo. Hurra! dwa przepręgi jeszcze, a drogi wiejskie zmieniają się na ciągłą prawie ulicę. Hurra! za gruntami ogrodników, za szeregami domów, willi, tarasów, placów, ekwipaży, wozów, wózków, robotników wczesnie wychodzących, wtórczegów zapóźnionych, pijaków, postugaczy będących naczeczko, po za wszelkiemi postaciami cegły i belek, potem na bruku hałaśliwym, który zmusza ludzi siedzących na ławce aby się dobrze trzymali. Hurra! wśród zakrętów bez końca, w labiryncie ulic bez liczby, aż się dotrze do starego dziedzińca hotelowego. Tom Pinch ogłuszony i odurzony wysiądzie w Londynie!

To wszystko aby powiedzieć że Tom Pinch przybywa do Londynu! Ten napad liryzmu w którym najpoetyczniejsze szwały zradzają się z najpospolitszych banalności, podobne do kwiatów chorobliwych, któreby rosły w stłuczonej doniczce, przedstawia w swych sprzecznościach naturalnych i dziwacznych wszystkie części wyobraźni Dickensa. Będziemy mieli jego portret gdy sobie wyobrazimy człowieka, który trzymając w jednej ręce rądel a w drugiej bicz pocztyliona, zaczęłby prorokować.

II.

Czytelnik już przewiduje jak gwałtowne wzruszenia będzie powodował ten rodzaj wyobraźni. Sposób pojmowania, stanowi w człowieku o sposobie czucia. Gdy umysł, za ledwie zwraca uwagę i idzie za niewyraźnymi konturami naszkicowanego obrazu, radość i boleść dotykają go prawie niespostrzeżenie. Gdy umysł, z głęboką uwagą przenika drobne szczegóły dokładnego obrazu, radość i boleść wstrząsają nim całym. Dickens posiada tę uwagę, i widzi te szczegóły; dlatego wszędzie napotyka powody do uniesienia. Nigdy nie porzuca tonu namiętnego, nigdy nie odpoczywa w stylu naturalnym i opisie prostym. Ciągłe tylko szczydzi lub płacze; pisze tylko satyry i elegie. Ma gorączkową czułość kobiety która wybuchła śmiechem lub wpada w płacz gdy nią wstrząśnie niespodzianie najłżejsze zdarzenie. Ten styl namiętny ma ogromną potęgę, i można mu przypisać półowę chwały Dickensa. Pospolicie doznają ludzie tylko słabych wrażeń. Pracujemy machinalnie, i ziewamy często; na trzy czwarte przedmiotów jesteśmy ziinni, usypiamy w nałogach, i kończy się na tem, że nie uważamy na obrazy domowego życia, na drobne szczegóły, na płaskie wydarzenia, stanowiące tło naszego istnienia. Przychodzi człowiek który nagle czyni je zajmującymi, co więcej, układa z nich dramata, zmienia w przedmioty podziwienia, tkliwości i przestachu. Nie opuszczając konlinka lub omnibusu,

jesteśmy drżący, mamy łzy w oczach, lub wstrząsa nami niepohamowany napad śmiechu. Czujemy się przeobrażeni, nasze życie jest zdwojone; dusza wegetowała, lecz teraz czuje, cierpi, kocha. Sprzeczność uczuć, szybkie ich postępowanie po sobie, oraz ilość, wzmacnia jeszcze jej zamęt. W ciągu dwóchset stronic, jesteśmy porwani potokiem wrażeń nowych, sprzecznych i wzrastających, który udziela umysłowi swej gwałtowności, pociąga go w zboczenia i upadki, i wyrzuca na brzeg dopiero wtedy, gdy jest oczarowany i wycieńczony. To jest upojenie, i na delikatną duszę wpływ byłby zbyt silny, ale dogadza publiczności która go też usprawiedliwiła.

Ta czułość może mieć tylko dwojakie ujście: śmiech i łzy. Są jeszcze inne, ale się do nich przychodzi tylko wysoką wymową. One są drogą do wzniosłości, która jak widzieliśmy, jest zamkniętą dla Dickensa. Jednakże niema pisarza któryby lepiej umiał wzruszyć i roztkliwić; literalnie pobudza do łez. Przed czytaniem jego dzieł, nie wiemy iż serce nasze mieści w sobie tyle litości. Zmartwienie dziecka które chciałoby kochanem być od ojca, a którego tenże nie kocha, rozpaczliwa miłość i powabna śmierć młodego człowieka nawpół niedołęznego, wszystkie te obrazy tajemnych cierpień, pozostawiają niezatarte wrażenie. Łzy jego są prawdziwe, a jedynym ich źródłem jest współczucie. Balzak, George Sand, Stendhal, także opowiadali nędze ludzkie; czy podobna pisać nie wspominając o nich? Ale nie szukając

spotykają się z niemi. Nie myślą o tem aby je rozpościerać przed nami, szli gdzieindziej, i spotkali je na drodze. Oni kochają raczej sztukę niż ludzi. Znajdują przyjemność tylko w tem gdy patrzą na poruszanie się sprężyn namiętności, gdy kombinują wielkie systemy wypadków, gdy budują potężne charaktery. Nie piszą przez sympatyę dla nieszczęśliwych, ale przez zamiłowanie piękna. Po ukończeniu *Mauprat'a* wasze wrażenie nie jest czystą sympatyą; doznajecie także głębokiego podziwu dla wielkości i szlachetności miłosnego uczucia. Gdy kończycie *le père Goriôt*, serce wam pęka od tych mąk; ale zadziwiająca pomysłowość, nagromadzenie faktów, obfitość idei ogólnych, siła analizy, przenoszą w świat nauki; a wasze bolesne współczucie uspokaja się widokiem tej fizjologii serca. Dickens nigdy nie koi naszego współczucia, wybiera przedmioty w których się ono rozwija samo, i więcej niż gdzieindziej. Długi ucisk dzieci dręczonych i głodzonych przez przełożonego szkoły, życie rzemieślnika Stephena, który był okradziony i znieważony przez żonę, wypędzony przez towarzyszy, oskarżony o kradzież, dręczony przez sześć dni na dnie studni w którą wpadł, pokaleczony, trawiony gorączką i umierający, skoro wreszcie przychodzi pomoc. Rachel, jedyna jego przyjaciółka jest przy nim, a jej pomieszanie, krzyki, ten wir rozpaczny jakim Dickens ogarnia swe osoby, przygotowały bolesny obraz tej śmierci przyjętej z podaniem. Wiadro wyciąga ciało prawie niemające

już kształtu i spostrzega się twarz bladą, wycieńczoną, cierpliwą, zwróconą ku niebu, podczas gdy prawa ręka złamana i wisząca, zdaje się wzywać aby inna ręka przyszła ją podtrzymać, uśmiecha się jednak i słabo przemawia: „Rachelo!” Ona przychodzi i pochyla się póki jej oczy nie staną między wzrokiem rannego i niebem, gdyż on nie ma siły zwrócić wejrzenia aby na nią patrzeć. Wówczas, przerywanemi słowy, opowiada jej swą długą męczarnię. Odkąd się urodził, doznawał tylko nędzy i niesprawiedliwości: taka jest reguła, słabi cierpią i są stworzeni aby cierpieć. Ta studnia do której wpadł, zabiła setki ludzi: ojców, mężów, synów utrzymujących setki rodzin. Górnicy prosili i błagali ludzi z parlamentu, na miłość Chrystusa, żeby na to nie pozwalali aby ich praca przynosiła im śmierć i żeby ich oszczędzano ze względu na żony i dzieci, które tak kochają jak *gentleman* swoje: wszystko to napróżno. Gdy studnia była w ruchu, zabijała bez potrzeby, dziś opuszczona jeszcze zabija. Stefan mówi to bez gniewu, łagodnie, z prostotą, jak prawda. Ma przed sobą swego oszczercę; nie oburza się, nie obwinia nikogo; zaleca tylko ojcu żeby zaprzeczył oszczerstwu, po chwili, gdy umrze. Jego serce jest tam w górze, w niebie gdzie ujrzał jaśniejącą gwiazdę. W czasie męki leżąc na łożu z kamieni, przyglądał się jej, a tkliwe i wzruszające spojrzenie boskiej gwiazdy uspokoiło mystyczną pogodą, udręczenie jego ducha i ciała. „Przejrzałem jaśniej, — mówił — i moja modlitwa

umierającego była o to żeby ludzie mogli tylko zbliżyć się między sobą trochę więcej niż gdy ja, biedny człowiek byłem z niemi. Dźwignęli go i uradowany był iż go niosą w stronę gdzie gwiazda zdawała się ich prowadzić. Niesli go bardzo ostrożnie, przez pola i ścieżki wśród otwartej okolicy, a Rachela ciągle trzymała jego rękę w swoich. Wkrótce był to pogrzebowy pochód. Gwiazda pokazała mu drogę prowadzącą do Boga ubogich, a jego pokora, utrapienia, zapomnienie znie wag, zawiadły go do spoczynku odkupiciela.

Tenże sam pisarz jest najbardziej szyderczym, komicznym, zartobliwym, ze wszystkich pisarzy angielskich. Szczególna wesołość zresztą! Ta jedna może się zgadzać z taką namiętą czułością. Jest pewien śmiech bardzo blizki łez. Satyra jest siostrą elegii; jeżeli jedna broni ucisnionych, to druga walczy przeciw ciemnościom. Zraniony wadami i występkami, Dickens mści się śmiesznością. On ich nie maluje lecz karci. Nic tak tłoczącego jak te długie rozdziały ciągłego szyderstwa, gdzie sarkazm za każdym wierszem krwawszy i dotkliwszy, przeszywa obranego przeciwnika. Jest ich pięć lub sześć przeciw Amerykanom przeciw ich zaprzędanym dziennikom, pijackim dziennikarzom, przeciw spekulantom — szarlatanom; przeciw ich autorstwom, ich grubiaństwu, poufałości, zuchwalstwu, brutalstwu, zdolnemu zachwycić absolutystę, i usprawiedliwić tego liberała, który wracając z Nowego Jorku ze łzami w oczach uściskał pierwszego żandarma dojrzanego.

go w porcie Hawru. Zakładanie stowarzyszeń przemysłowych, rozmowy deputowanego ze swymi mandantami, nauki dawane przez deputowanego swemu sekretarzowi, wystawność wielkich domów bankowych, inauguracye gmachów, wszystkie ceremonie i wszystkie kłamstwa społeczeństwa angielskiego, są wyrzute z werwą i goryczą godną Hogartha. Niektóre ustępy są tak gwałtownie komiczne że wyglądają na zemstę, np. opowiadanie Jonasza Chuszelewit. Pierwsze słowo jakie wysylabizował ten dobry młodzieniec było „zysk.” Drugie — gdy przyszedł do wyrazów dwuzgłoskowych było „pieniądz.” Ta piękna edukacya spowodowała przypadkiem dwie niedogodności. Jedną, że przyzwyczajony przez ojca do oszukiwania innych, nieznacznie zasmakował w podchodzeniu ojca; drugą, że nauczony we wszystkim widzieć kwestyę pieniężną, skończył na tem iż ojca uważał za pewien rodzaj posiadłości, która byłaby bardzo dobrze umieszczona w skrzyni zwanej trumną. „Mój ojciec chrapie — powiada pan Jonasz, — Pecksniffie, bądź łaskaw udeptać mu nogę. Ta co dalsza od ciebie, ma podagrę.” Ukazuje się na widowni z tym objawem uczucia, możecie z tego sądzić o reszcie. Dickens jest tak smutny w głębi jak Hogarth; ale jak Hogarth pobudza do wybuchów śmiechu dziwaczością pomysłów i gwałtownością karykatur. Zrzadką uwagą posuwa swe osoby do śmieszności. Jego Pecksniff obmyśla moralne zdania i sentymentalne czyny tak zabawne, że jest aż niedorzeczny.

Nigdy nie słyszano takich potworności oratorskich. Sheridan już odmalował obłudnika angielskiego, Jozefa Surface, ale on się o tyle różni od Pecksniffa, jak portret z ośmnastego wieku od winiety z *Poucha*. Dickens robi obłudę tak potworną i szkaradną, że jego obłudnik przestaje wyglądać na człowieka; możnaby powiedzieć że to jest jedna z tych twarzy fantastycznych u której nos jest większy od całej osoby. Ta przesadna komika płynie z wybujałej wyobraźni. Dickens wszędzie używa tej samej sprężyny. Aby lepiej uwidocznić pokazywany przedmiot, wylupia czytelnikowi oczy; ale czytelnika bawi ta rozpasana werwa; zapalczywe wykonanie każe mu zapomnieć że ten obraz jest niepodobny do prawdy i śmieje się serdecznie, słuchając jak przedsiębiorca pogrzebowy p. Mould wylicza, jakie pociechy może znaleźć w jego magazynie, miłość synowska dobrze zaopatrzona w pieniądze. Jakiejże boleści nie ułagodziłyby karawany czterokonne, drape-rye aksamitne, woźnice w płaszczach sukiennych i w butach ze sztylpami, pióra strusie farbowane na czarno, żałobnicy piesi w ubraniu najparadniejszem, niosący laski okute w mosiądz? Ach! nie mówmy że złoto jest błotem, kiedy można za nie kupować takie rzeczy. „Ileż błogosławieństw, woła pan Mould — ileż błogosławieństw przelałem na ludzkość za pomocą moich czterech koni okrytych czaprakami, na które nigdy inaczej nie kładę czapraków jak za dziesięć funtów, dziesięć szyllingów za kurs.

Zazwyczaj Dickens zachowuje powagę kreśląc te karykatury. Dowcip angielski na tem zależy aby wypowiadać uroczystym stylem szalone żarty. Ton i idee sprzeczne są wówczas z sobą, a każda sprzeczność wywołuje silne wrażenia. Dickens lubi je sprawiać a jego publiczność lubi ich doznawać.

Jeżeli czasem zapomina dać różgi bliźniemu, jeżeli próbuje bawić się, jeżeli figluje, to nie jest jednak szczęśliwy. Tłem charakteru angielskiego jest brak szczęścia. Gorąca i zacięta wyobraźnia Dickensa, zbyt silnie czepia się rzeczy, aby się przesuwiała lekko i wesoło po ich powierzchni. On przyciska, wnika, zagłębia się, i wtłacza; wszystkie jego czyny gwałtowne są wysiłkami, a wszystkie wysiłki cierpieniem. Aby być szczęśliwym, trzeba być lekkim jak Francuz z ośmnastego wieku, lub zmysłowym jak Włoch z szesnastego stulecia. Należy nie troszczyć się o rzeczy, albo ich używać, a Dickens troszczy się i nie używa. Weźcie drobny i śmieszny wypadek jaki się napotyka na ulicy, np. kiedy wiatr podnosi ubranie kommissionerowi. Scaramouche robi minę cechującą dobry humor; Lesage uśmiechnie się jak człowiek którego to zabawiło, obaj przejdą i nie pomyślą już o tem, a Dickens pamięta przez pół stronnicy. Widzi tak dobrze wszystkie skutki wichru, tak doskonale stawia się na jego miejscu, przypisuje mu wolę tak namiętną i wyraźną, przewraca i odwraca mocno i tak długo ubranie biedaka, przemienia poryw wiatru na

burzę i prześladowania tak wielkie, że się dostaje zawrotu, i pomimo śmiechu, znajduje się w sobie zbyt wiele pomieszania, i zbyt wiele litości, aby się śmiać serdecznie.

„Było to miejsce wietrzne, gdzie nos siniął, oczy czerwieniły się, skóra się zbiegata, palce u nóg marzły, zęby szczękały- a Toby Veck czekał tam w zimnie i czuł to dobrze. Wicher przybywał rzucając się w rogu — głównie był to wiatr wschodni — jak gdyby wydobywał się z końca świata aby spaść na Toby'ego. Możliwyby rzec, iż często ciskał się na niego prędzej niż o tem pomyślał, bo jednym skokiem okręciwszy się wkoło rogu, i mijając Toby'ego, wracał nagle wirując, jak gdyby wołał: ach! otóż on! W tej chwili biały fartuszek podnosił się na głowę jakby sukienka u niegrzecznego dziecka, i widać było jak wata i mata laseczka szarpała się i chibotała bezpotrzebnie w ręku, nogi były w okropnem poruszeniu.” etc.

Jeżeli chcecie wystawić sobie za jednym rzutem oka tę wyobraźnię tak jasną, tak gwałtowną, tak namiętnie wpatrzoną w obrany przedmiot, tak głęboko wzruszoną małemi rzeczami, tak wyłączone przywiązaną do szczegółów i uczuć życia powszedniego, tak obfitą w nieustanne wrażenia, tak potężną w rozbudzaniu bolesnej litości, sztydziejego żartu, i nerwowej wesołości, to uprzytomnicie sobie jaką ulicę londyńską w dżdżysty, zimowy wieczór. Płomieniste światło gazowe pali oczy, leje się przez szyby sklepowe, odbija się na twarzach przechodniów, a jego surowa jasność wgłębiając się w skurczone rysy, uwydatnia z nie-

skończoną szczegółowością i rażącą energią ich zmarszczki, nieforemności i skrzywienie. Jeżeli w tym tłumie spieszącym się i zavalanym odkrycie świeżą twarz młodej dziewczyny, to sztuczne światło wywołuje na nią tony przesadne i fałszywe, i na dżdżystym, zimnym cieniu nadaje jej dziwną aureolę. Podziwiamy to, ale podnosimy rękę do oczu aby je zakryć a wielbiąc siłę tego światła, mimowoli myśli się o prawdziwym słońcu wiejskiem i o spokojnej piękności dnia.

II.

Publiczność.

Zasadźcie ten talent na ziemi angielskiej, krajowa opinia literacka pokieruje wzrostem, i wytłómaczy owoce. Ta opinia publiczna jest bowiem opinią prywatną tego kraju; on jej nie przyjmuje jako przymus zewnętrzny, ale czuje ją w sobie jak przekonanie wewnętrzne, i powtarza tylko na głos to co sobie mówi po cichu.

Oto rady tego smaku publicznego, tem silniejsze iż się zgadzały z jego przyrodzoną skłonnością i prowadziły w jego własnym kierunku.

„Bądź moralnym. Trzeba żeby wszystkie twoje romanse mogły być czytane przez młode dziewczęta. Jesteśmy umysłami praktycznymi, i nie chcemy aby piśmiennictwo psuło życie praktyczne. Mamy cześć dla kółka rodzinnego, i nie

chcemy żeby piśmiennictwo malowało namiętności czyhające na życie rodzinne. Jesteśmy protestantami i zachowaliśmy nieco surowości naszych ojców przeciw weseleniu się i namiętnościom. Z pomiędzy tych ostatnich, miłość jest najgorszą. Strzeż się abyś nie był podobny w tym względzie do najślawniejszej z naszych sąsiadek. Miłość jest bohaterką wszystkich romansów George Sanda. Czy to uczucie jest lub nie jest oparte na związkach małżeńskich, mniejsza o to, znajduje i powiada że ono jest piękne, święte, wzniosłe same przez się. Nie wierz temu, a jeżeli wierzysz, to nie mów. Byłoby to złym przykładem. Tak przedstawiona miłość bierze górę nad małżeństwem. Kończy na niem, rozrywa je, obchodzi się bez niego, stosownie do okoliczności; ale w każdym razie obchodzi się jako z rzeczą podrzędną, przyznaje mu tylko tę świętość, jaką sama nada, i nazywa bezbożnem, jeżeli jest wyłączoną. Tak pojęty romans jest obroną sprawy serca, wyobraźni, zapału i natury; ale bywa często obroną sprawy przeciwnej społeczeństwu i prawu. Przedstawiać jakieś uczucie jako boskie, poniżać dla niego wszystkie instytucje, przeprowadzać je pośród szeregu czynów szlachetnych, opiewać z niejakim natchnieniem bohaterskim walki jakie stacza i napaści jakie wytrzymuje; wzbogacać je wszystkimi siłami wymowy, wieńczyć wszystkimi kwiatami poezji, jest to samo co malować życie zrodzone przez nią, piękniejszym i wyższem od innych; to samo co stawiać je po nad wszelkie-

mi namiętnościami i wszelkimi obowiązkami w szczytnej i nadpowietrznej krainie, na tronie, z kąd błyszczy jak światło, jak pociecha, jak nadzieja, i przyciąga do siebie wszystkie serca. Może ten świat jest światem artystów, ale nie ludzi zwyczajnych. Może jest zgodny z naturą; my naginamy naturę w obec interesu społeczeństwa. George Sand maluje kobiety namiętne, ty nam maluj uczciwe. George Sand budzi ochotę do zakochania się, ty wzbudzaj chęć do wejścia w związki małżeńskie.

„To ma niedogodności, prawda; sztuka na tem cierpi chociaż publiczność zyskuje. Jeżeli twoje osoby będą dawały lepszy przykład, to dzieła stracą na cenie, mniejsza o to. Poddasz się, myśląc o tem iż jesteś moralnym. Twoi kochankowie będą mdli, bo jedyny interes jaki przedstawia ich wiek jest to gwałtowność namiętności, a ty nie możesz malować namiętności. W *Mikolażu Nickleby* pokażesz dwóch uczciwych młodzieńców zupełnie podobnych do wszystkich młodzieńców, i ożenisz ich z dwiema młodem dziewczętami podobnymi do wszystkich młodych dziewcząt. W *Marcinie Chuszwewit* pokażesz również dwóch uczciwych młodzieńców zupełnie podobnych do dwóch pierwszych, — żeniących się także z dwiema uczciwymi dziewczętami zupełnie podobnymi do powyższych. W *Dombey oud son*, będzie tylko jeden uczciwy młodzieniec i jedna uczciwa dziewczyna; zresztą żadnej różnicy, i t. d. Liczba twych małżeństw jest zadziwiająca i dosyć ich tworzysz,

aby zaludnić Anglię. Co jest jeszcze ciekawsze, to że wszyscy są bezinteresowni i młodzieniec równie jak dziewczyna pogardzają pieniędzmi tak szczerze, jak w Operze komicznej. Bez końca naciskać będziesz na ładne zakłopotanie narzeczonych, na łzy matek, na płacz całego otoczenia, na radosne i wzruszające sceny przy obiedzie. Stworzysz mnóstwo obrazów z życia rodzinnego, a wszystkie będą tak rozczulające i prawie tak przyjemne, jak malowidła na parawanie. Czytelnik będzie wzruszony, będzie mu się zdawało że widzi niewinne miłostki i cnotliwe zalecanie się chłopczyka i dziewczynki w dziesiątym roku życia. Będzie miał ochotę powiedzieć im: Moi mali przyjaciele, nie przestawajcie być grzeczni; ale największy interes będzie to miało dla pań które się dowiedzą w jaki nadskakujący a jednak przyzwoity sposób, powinien się starać o nie pretendent. Jeżeli zaryzykujesz uwiedzenie jak w *Copperfieldzie*, nie będziesz opowiadał wzmaganie się, zapału, upojenia miłości, odmalujesz tylko troski, rozpacz i wyrzuty sumienia. Jeżeli w *Copperfieldzie* i w *Swierszczu domowym*, przedstawiś małżeństwo zamęczone i żonę podejrzywaną, co prędzej przywracasz spokój małżeństwu i niewinność żonie, i włożysz w jej usta tak wspaniałą pochwałę stanu małżeńskiego, że mogłaby służyć za wzór Emilowi Augier. Jeżeli w *Hard Times* żona staje nad brzegiem błędu, to się jednak zatrzymuje na brzegu. Jeżeli w *Dombey and son* ucieka z domu mężowskiego, to pozostaje czystą,

popęlni tylko pozór winy, i w taki sposób będzie się obchodziła z kochankiem, że weźmie ochota być jej mężem. Jeżeli wreszcie w *Copperfieldzie* opisujesz troski i szaty miłości, wyśmiewasz tę biedną miłość, malujesz jej małostki, będziesz niejako przeproszał czytelnika. Nigdy się nie ośmielisz uwydatnić tchnienia gorącego, szlachetnego, niekarnego, wszechmocnej namiętności; uczynisz z niej cacko dzieci uczciwych lub ładny klejnocik ślubny. Małżeństwo powinno wszystko zatrzeć. Twój zmysł obserwacyjny i upodobanie w szczegółach, wyćwiczają się na scenach życia domowego. Wydoskonalisz się w malowaniu kota siedzącego przy kominku, gawędy rodzinnej, dzieci usadowionych na kolanach matki, męża który wieczór obok śpiącej żony, czuwa przy lampie z sercem przepełnionem radością i odwagą, czuje bowiem że pracuje dla swoich. Znajdziesz śliczne lub poważne portrety kobiece: Dory, która pozostaje dziewczynką po ślubie, której minki, figle, dzieciństwa, śmiechy rozweselają dom jak święgotania ptaszka; Estery której doskonała dobroć i boska niewinność niezdolają być naruszone przez żadne próby ani przez lata; Agnieszki tak spokojnej, tak cierplivej, tak rozsądnej, tak czystej, tak godnej szacunku; prawdziwego wzoru małżonki, zdolnej własną siłą wywołać to poszanowanie dla małżeństwa jakiego pragniemy. Nareszcie, gdy będzie trzeba pokazać piękno tych obowiązków, wielkość tej przyjaźni małżeńskiej, głębokość uczucia wyrobionego przez dziesięcio-

letni przeciąg zaufania, starań, i poświęcenia wzajemnego, znajdziesz w swej czułości tak długo powstrzymywanej, wyrażenia tak patetyczne, jak najsilniejsze słowa miłości.

Najgorszymi romansami nie są te które ją wysławiają. Trzeba mieszkać po drugiej stronie kanału żeby się odważać na to, co nasi sąsiedzi. U nas niektórzy podziwiają Balzac'a ale nikt nie chciałby go tolerować. Niektórzy będą utrzymywali że on nie jest niemoralnym, ale wszyscy przyznają że zawsze i wszędzie wyłącza moralność. George Sand wysławiała tylko jedną namiętność, a Balzac wysławiał je wszystkie. Uważał je jako siły, a sądząc że siła jest piękną, podtrzymał je ich przyczynami, otoczył okolicznościami, rozwinął w następstwach, posunął do ostateczności, i powiększył tak dalece, że z nich uczynił potwory szczytne, bardziej systematyczne i prawdziwe niż sama prawda. Nie znosimy, aby się człowiek ograniczył do tego żeby być tylko artystą. Nie chcemy żeby się oddzielał od swego sumienia i żeby tracił z oka praktyczność. Nigdy nie przystaniemy że to jest główną cechą naszego Szekspira; nie przyznamy, że jak Balzac, prowadzi swych bohaterów do zbrodni i do monomanii, i że jak on zamieszkuje krainę czystej loiki i czystej wyobraźni. Zmieniliśmy się od szesnastego wieku i potępiamy dziś to co chwaliliśmy niegdyś. Nie chcemy żeby się czytelnik zainteresował człowiekiem skąpym, ambitnym lub rozwiązłym a interesuje się nim gdy pisarz nie ganiąc go ani

chwaląc, stara się wytlómaczyć temperament, edukację, kształt czaszki i nazwyczajenia umysłu, które w nim wyrobiły ten pierwotny popęd; gdy wykazuje dotykalnie konieczność jego działania; gdy ją przeprowadza przez wszystkie peryody; gdy uwydatnia większą potęgę jaką jej daje wiek i zadowolenie; gdy przedstawia nieunikniony upadek przyprowadzający człowieka o szal lub śmierć. Czytelnik pochwycony tą loiką, podziwia dzieło jej utworu, i zapomina otaczać się osobą którą ona stworzyła. Powiada: „Jaki to piękny skąpiec” i nie myśli już o złem powodowanem przez skąpstwo. Staje się filozofem i artystą, i nie pamięta już że jest uczciwym człowiekiem. Pamiętaj zawsze iż nim jesteś, i wyrzec się piękności, które mogą kwitnąć na tej zepsutej ziemi.

Wśród tych ostatnich najpierwszą jest wielkość. Trzeba się zainteresować namiętnościami żeby zrozumieć całą ich rozciągłość, żeby obliczać ich sprężyny, żeby opisywać ich bieg. To są choroby; jeżeli się ograniczymy na złorzeczeniu, to ich nie poznamy. Jeżeli się nie jest fizyologiem, jeżeli się niema w nich upodobania, jeżeli się z nich nie robi swych bohaterek, jeżeli się nie drga z radości na widok pięknego rysu skąpstwa, jakby to był jaki cenny symptomat, to się nie zdoła rozwijać ich szerokiego systematu, i przedstawiać ich zgubnej wielkości. Ty nie będziesz miał tej niemoralnej zasługi, zresztą ona nie przystaje do rodzaju twego umysłu. Twoja nadzwyczajna czułość i szyderstwo zawsze w pogotowiu,

potrzebują się ćwiczyć. Nie masz dosyć spokoju żeby zgłębić jaki charakter aż do dna. Wolisz rozczulać się nad nim, albo go wyszydzać. Wytaczasz mu proces, stajesz się jego przeciwnikiem, albo przyjacielem. Czynisz go ohydny lub roztkliwiającym. Nie malujesz go, jesteś bowiem zbyt namiętny, a niedosyć ciekawy. Z drugiej strony zaciętość twojej wyobraźni, gwałtowność i upór agłębiania myśli w szczególe jaki chcesz uchwycić, ograniczają twą znajomość, zatrzymują cię przy jednym rysie, powstrzymują od zwiedzenia wszystkich części duszy, i zmierzenia jej głębokości. Masz wyobraźnię zbyt żywą, a nie dosyć rozległą. Oto są zatem charaktery jakie kreślić będziesz. Uchwycisz jakąś osobę w pewnej postawie, tę tylko postawę będziesz widział, narzucając ją od początku do końca. Twarz tej osoby będzie miała ciągle ten sam wyraz, a ten wyraz będzie prawie zawsze skrzywieniem. Twoi bohaterowie będą mieli pewien *tic* który ich już nie opuści. Miss Merey będzie się śmiała za każdym słowem; Mare Tapley powtórzy przy każdym zdaniu swój ulubiony wyraz: wesoło; misstress Gamp, będzie nieustannie mówiła o pani Harris; doktor Chillip, nie dokona ani jednego czynu któryby nie był nieśmiały; pan Micamber, będzie wypowiadał przez trzy tomy ten sam rodzaj zdań napuszonych, i pięćset lub sześćset razy przejdzie z komiczną nagłością od uciechy do cierpienia. Każda z twych osób będzie występkiem, cnotą śmiesznością wcieloną, a namiętność jaką jej na-

dasz będzie tak często powtarzana, tak niezmienna, tak pochłaniająca, że już to przestanie wyglądać na żywego człowieka, lecz raczej jako abstrakcja przebrana za człowieka. Francuzi mają Tartuffe'a takiego jak nasz pan Pecksniff, ale jego obłuda nie wytępiła reszty istoty; jeżeli skutkiem tej wady nadaje się on do komedyi, to przez naturę swą należy do ludzkości. Prócz wykrzywiania się, ma charakter i temperament; jest gruby, silny, czerwony, brutalny, zmysłowy. Siła krwi czyni go śmiałym, śmiałość czyni go spokojnym; śmiałość, spokój, szybkość w postanowieniach, pogardzanie ludźmi tworzą zeń wielkiego polityka. Gdy przez pięć aktów zajmował publiczność, przedstawia jeszcze psychologowi i lekarzowi nie jedną rzecz do zbadania. Twój Pecksniff nie przedstawi nic psychologowi ani lekarzowi. Posłuży tylko do nauczania i zabawiania publiczności. Będzie tylko żyjącą satyrą obłudy, i niczem więcej. Jeżeli mu dasz upodobanie do wódki, to z dobrej woli, bo w przypisanym mu temperamencie nic tego nie nakazuje: on jest tak zatopiony w tartuferyi, w słodyczy, w pięknym stylu, we frazesach literackich, w moralności tkliwej, że reszta natury znikła; to maska, to już nie człowiek. Ale ta maska jest tak zabawna i energiczna, że przyniesie pożytek publiczności i zmniejszy liczbę obłudników. To jest naszym i twoim celem, a zbiór twoich charakterów będzie miał raczej skutki książki z satyrami, niż galeryi portretów.

„Z tejże samej przyczyny, te satyry, chociaż połączone, nie utworzą prawdziwej całości. Zacząłeś od prób, a twoje wielkie romanse są to tylko próby zeszywane z sobą końcami. Jedyńy sposób ułożenia całości naturalnej i mocnej jestto przedstawić historję jakiej namiętności lub charakteru, wziąć je u narodzin, patrzeć jak wzrastają, psują się i niweczą, rozumieć wewnętrzną konieczność ich rozwoju. Ty nie idziesz wraz z tem rozwijaniem się, utrzymujesz osobę zawsze w tej samej postawie; jest skąpa lub obłudna, albo dobra do końca i zawsze w ten sam sposób; nie ma zatem historyi. Możesz tylko zmieniać okoliczności w jakich się znajduje, ale jej samej nie zmieniasz, pozostaje nieruchoma, i wszystkie uderzenia wywołują z niej jeden dźwięk. Rozmaitość wypadków przez ciebie obmyślanych jest więc tylko zabawną fantasmagoryą; nie mają łączności, nie tworzą systemu, są tylko nagromadzeniem. Będziesz pisał tylko życia, zdarzenia, pamiętniki, szkice, zbiór sceny, a nie będziesz umiał stworzyć akcji. Ale jeżeli smak literacki twego narodu dodany do naturalnego kierunku twego geniuszu, nakazuje ci chęci moralne, wzbrania wielkiego malowania charakteru, powstrzymuje od tworzenia całości, za to podaje twej obserwacyi, tkliwości i satyrze, szereg postaci oryginalnych, właściwych tylko Anglii, które narysowane twoją ręką, stanowić będą galeryę jedyną i wraz z obrazem twego geniuszu, podadzą obraz twego kraju i twojej epoki.”

III.

O s o b y.

Gdy usuniecie osoby śmieszne, będące tam jedynie dla zajmowania miejsca i dla bawienia, przekonacie się że wszystkie charaktery Dickensa, zawarte są w dwóch klatkach: istoty czułe i nieczułe. Przeciwstawia dusze urobione przez naturę, duszom skażonym przez społeczeństwo. Jeden z jego ostatnich romansów, *Hard Times*, jest streszczeniem wszystkich innych. Woli w nim instynkt niż rozumowanie, intuicyę serca niż naukę pozytywną. Napastuje edukacyę ugruntowaną na statystyce, na cyfrach i faktach; nazywa nędznym i śmiesznym umysł pozytywny i kupiecki; walczy z dumą, nieczułością, samolubstwem handlującego i szlachcica; przeklina miasta pełne rękodzielni, dymu i błota, więżące ciało w atmosferze sztucznej i ducha w życiu nienaturalnem. Wyszukuje biednych rzemieślników, kuglarzy, dziecko podrzucone i rozsądkiem ich, szlachetnością, delikatnością, odwagą i słodyczą przygniata fałszywą naukę, fałszwe szczęście i fałszywą cnotę bogaczy i mocarzy, którzy nimi pogardzają. Píše satyry na społeczeństwo ciemiejące, robi elegie o naturze ciemiejącej; a geniusz elegijny równie jak satyryczny, napotyka w otaczającym go angielskim świecie potrzebne pole do rozwijania się.

I.

Pierwszym owocem społeczeństwa angielskiego jest obłuda. Dojrzewa on tam przy podwójnym podmuchu religii i moralności. Wiadomo jaką one mają popularność i wpływ z drugiej strony cieśniny. W kraju gdzie jest gorszaczem śmiać się w niedzielę, gdzie smutny purytanizm zachował jeszcze nieco dawnej zawziętości przeciw szczęściu, gdzie krytycy badający historię starożytną zamieszczają dySSERTACYĘ o stopniu cnoty Nabuchodonozora, naturalnem jest że pozór moralności jest potrzebny. To moneta którą należy posiadać; ci którzy nie mają prawdziwej, fabrykują fałszywą, a im więcej ją opinia publiczna znajduje cenną, tem więcej ją podrabiają. Dlatego ta wada jest angielską. We Francyi niemożna napotkać pana Pecksniff. Jego frazesa budziłyby tam odrazę. Jeżeli Francuzi coś udają, to nie cnotę lecz wady. Kto chce mieć powodzenie, nie powinien mówić o swych zasadach; wolą wyznawać słabości; a jeżeli są wśród nich szarlatani, to fanfaronują niemoralnością. Mieliliśmy niegdyś obłudników, ale wówczas gdy religia była popularną. Od epoki Woltera, Tartuffe jest niemożliwy. Już nie próbują udać pobożności która nikogo nie oszukuje, i do niczego nie prowadzi. Obłuda przychodzi, odchodzi i zmienia się, według stanów obyczajów, religii i umysłów; przyjrzyjcie się też jak obłuda Pecksniffa jest odpowiednia skłonnościom jego kraju! Religia angielska jest mało

dogmatyczna i całkiem moralna. Pecksniff nie wypowiada jak Tartuffe frazesów teologicznych; on się wylewa cały w tyradach filantropijnych. Szedł narówni ze swym wiekiem. Stał się filozofem przejętym ludzkością. Dał córkom miana Mercy — miłosierdzie — i *Charity*. Jest tkliwy, dobry, oddaje się uciechom rodzinnym. Skoro przyjdzie ktoś odwiedzić go, naiwnie popisuje się ślicznymi obrazkami z życia domowego; rozpościera się z sercem ojcowskim, z uczuciami małżonka, ze względnością dobrego pana. Cnoty rodzinne są dziś w wielkiem poważaniu; trzeba się w nie przystrajać. Niegdyś mówił Orgon, nauczony przez Tartuffe'a:

Gdybym widział ginących rodziców, dzieci, żony nie dbałbym o to nic a nic.

Cnota nowożytna i pobożność angielska myślą inaczej. Nie trzeba pogardzać tym światem ze względu na tamten, ale raczej go ulepszać. Tartuffe będzie mówił o swej włościennicy i dyscyplinie; Pecksniff w swym wygodnym gabinecie, o wdzięku zażyłych stosunków, o powabach natury. Będzie się starał wprowadzić zgodę między ludźmi; będzie wyglądał na członka *stowarzyszenia spokoju*. Będzie rozwijał najtkliwsze uwagi nad dobrodziejstwami i pięknem harmonii. Niepodobna będzie słuchać go bez wzruszenia w sercu. Ludzie są dziś wyrafinowani, czytali dużo poezyj elegijnych. Czułość ich jest żywsza, niemożna ich już oszukać grubą bezwstydną Tartuffe'a. Dlatego pan Pecksniff będzie miał ruchy wznio-

słej wytrzymałości, uśmiechy niewypowiedzianej litości, popędy, naiwność, wdzięk, tkliwość które ujmą najbardziej wymagających i oczarują najwykwintniejszych. Anglicy w swych parlamentach, *meetingach*, stowarzyszeniach i ceremoniach publicznych, nauczyli się frazesu krasomówczego, wyrażeń abstrakcyjnych, stylu ekonomii politycznej, dziennikarstwa i prospektów. Pan Pecksniff będzie mówił jak prospekt. Będzie tak samo niejasny, zawikłany i napuszony. Będzie się zdawał unosić po nad światem, w sferze idei czystych, na łonie prawdy. Będzie wyglądał jak apostoł wychowany w biurach *Timesa*. Będzie wygłaszał idee ogólne o wszystkim. Znajdzie naukę moralną w beefsteaksie dopiero co połkniętym. Ten beefsteaks przeminął; świat także minie; pamiętajmy o naszej znikomości, i o rachunku jaki będziemy musieli zdać kiedyś. Składając serwetę wzniesie się do wielkich kontemplacyj i powie sobie: „Ekonomia trawienia, jak mi mówili niektórzy anatomici z kółka mych przyjaciół, — należy do najcudowniejszych dzieł natury. Nie wiem czego doznają inni, ale z wielkiem zadowoleniem myślę, używając mego skromnego obiadu, że puszczam w bieg najpiękniejszą maszynę o jakiej wiemy. Doprawdy, zdaje mi się w takich chwilach, że spełniam obowiązek publiczny. Gdy nastawiam ten zegar wewnętrzny, jeżeli mogę użyć takiego wyrażenia, — powiada pan Pecksniff z wielką tkliwością, — i gdy wiem że on idzie, czuję iż nauka dana przez niego ludziom, stawia

mię w rzędzie dobroczyńców rodu ludzkiego. Poznacie nowy rodzaj obłudy, wady niemniej jak cnoty, zmieniają się z każdym wiekiem.

Duch praktyczny równie jak duch moralny, jest angielski. Ten naród tak wiele handluje, pracuje i rządzi sobą, że wyrobił w sobie upodobanie i talent do interesów, — dlatego w nas widzi dzieci i waryatów. Przesada w tej skłonności jest zniweczeniem wyobraźni i wrażliwości. Tacy ludzie stają się maszynami do spekulacji, w których rzędem ustawiają się cyfry i fakta; zaprzeczają życiu duchowemu i sercowym uciechom; widzą w świecie tylko straty i zyski; stają się twardzi, nieużyeci, chciwi i skąpi; uważają ludzi za narzędzia, i przychodzi dzień kiedy się z nich robią kupcy, bankierowie, statystycy, a przestają być ludźmi. Dickens rozmnożył portrety ludzi pozytywnych. Ralph Nickleby, Servogs, Antony Chuzzlewit, Jonas, alderman Cute, pan Murdstone i jego siostra Bonnderby, Tom Gradgrind; znajdują się oni we wszystkich jego romansach. Jednych stworzyła takiemi edukacya, drugich natura; ale wszyscy są ohydni, bo wszyscy stawiają sobie zadanie wyszydzenia i niweczenia dobroci, sympatyi, litości, uczuć bezinteresownych, wzruszeń religijnych, zapału wyobraźni, wszystkiego co piękne w człowieku. Uściskają dzieci, biją kobiety, morzą głodem ubogich, znieważają nieszczęśliwych. Najlepsi z nich są automatami z błyszczącej stali, którzy pełnią metodycznie swe legalne obowiązki, nie wiedząc że zadają

innym cierpienie. Tego rodzaju ludzi niema w naszym kraju. Ich surowość nie leży w naszym charakterze. W Anglii płodzi ich szkoła która ma swą filozofię, swych wielkich ludzi, swą chwałę, i która u nas nigdy się nie ustaliła. Wprawdzie nasi pisarze nieraz malowali skąpców, spekulantów, kramarzy. Balzac jest przepełniony nimi; ale ich tłómaczy głupotą i robi ciekawę potwory jak Grandet i Gobseck. U Dickensa tworzą oni rzeczywistą klasę, i przedstawiają wadę narodową. Przeczytajcie ten ustęp z *Hard Times* i zobaczcie czy pan Gradgrind nie jest Anglikiem duszą i ciałem.

„Teraz trzeba mi faktów. Nauczaj te dziewczęta i tych chłopców, tylko faktów. W życiu potrzebne są tylko fakta. Nie zaszczepiaj w nich nic innego. Umysł rozumnego zwierzęcia możesz ukształtować tylko faktami. Nic innego nie może im się przydać. Jest to zasada według jakiej wychowuję moje własne dzieci, i chcę żeby według tej zasady dzieci były wychowywane. Przywiązuje się pan do faktów!” etc.

Drugą wadą wypływającą z nawyknięcia do rozkazów i walki, jest duma. Obfituje ona w kraju arystokracji, i nikt nie wyszydzał surowiej arystokracji jak Dickens. Wszystkie jego portrety są to sarkazmy. Jest tam James Harthouse, dandy zniechęcony do wszystkiego, szczególnie do siebie, w czem zupełną ma słuszość; jest sir Frederick, biedny głupiec okpiwany, zbydlęcony przez wino, — rozum jego na tem się ogranicza że się bystro wpatruje w ludzi gryząc koniec laski;

lord Feenix, rodzaj mechaniki z frazesami parlamentarnymi, — która zepsuta jest, i zaledwie zdoła dokończyć śmiesznych peryodów, w jakie się stara zawsze wpadać; misstress Skewton, szkaradna baba zrujnowana, zalotna do samej śmierci; żąda różowych franek do swego łoża śmiertelnego, i prowadzi córkę po wszystkich salonach angielskich, żeby ją sprzedać jakiemu próżnemu mężowi. John Chester, okrutnik należący do dobrego towarzystwa, który z obawy skompromitowania się, nie chce ocalić syna naturalnego, i czyni to z przymilaniem się, dojadając czekolady. Ale najzupełniejszym i najbardziej angielskim obrazem ducha arystokratycznego jest portret kupca Londyńskiego pana Dombey. We Francyi nie tam szukalibyśmy typów, a w Anglii tam się je znajduje, równie energiczne jak w naszych najpyszniejszych zamkach. Pan Dombey, jakby szlachec, kocha swój dom jak siebie samego. Jeżeli pogardza córką a pragnie syna, to dlatego aby przekazać starożytne imię swego banku. Ma przodków w handlu, chce także mieć potomków. Podtrzymuje tradycję i piastuje odziedziczoną potęgę. Na tej wysokości bogactwa, i z tą rozległością działania, jestto książę, a mając stanowisko księcia, ma także książęce uczucia. Widzicie tam charakter mogący się zrodzić tylko w kraju którego handel obejmuje świat cały, gdzie kupcy są mocarzami, gdzie stowarzyszenie kupieckie eksploatowało kraje, podtrzymywało wojny, obalało królestwa, i zbudowało państwo

ze stomilionową ludnością. Duma takiego człowieka nie jest małą, owszem straszną; tak spokojna i wysoko sięgająca, że aby znaleźć podobną trzebaby odczytać *Pamiętniki Saint-Simon'a*. Pan Dombey zawsze rozkazywał, i nie mieści mu się to w głowie żeby mógł ustąpić komuś lub czemuś. Przyjmuje pochlebstwo jako daninę do której ma prawo, i spostrzega pod sobą, w ogromnem oddaleniu, ludzi, których uważa za istoty stworzone na to, aby do niego zanosily prośby, i posłuszne mu były. Jego druga żona, dumna Edyta Skewton, opiera mu się i pogardza nim; duma kupca ściera się z dumą szlacheckiej panny, a powstrzymywane wybuchy tej wzrastającej nienawiści, objawiają siłę namiętności jaką mogły mieścić w sobie tylko tak zrodzone i karmione dusze. Edyta, dla pomszczenia się, ucieka w rocznicę swego ślubu, i daje pozory wiarołomstwa. Wówczas to nieugięta duma sztywnieje z całą siłą. Wypędził córkę którą ma za współniczkę żony. Zabrania żeby się zajmowano jedną lub drugą; nakazuje milczenie siostrze i przyjaciołom; przyjmuje gości z tym samym tonem i z tem samym zimnem. Zrozpaczony w sercu, trawiony zniewagą, poczuciem swego poniżenia, myślą o nasmiewaniu się ludzkim, pozostaje tak pewny siebie, tak wyniosły i tak spokojny, jakim był zwykle. Z większą śmiałością obraca interesami i rujnuje się; chce sobie życie odebrać. Dotąd wszystko dobrze. Kolumna bronzowa pozostała w całości i niepokonana; ale wymagania moralności publi-

cznej, psują ideę książki. Córka przybywa w samą porę, błaga go; rozczula, zabiera z sobą. Dombey staje się najlepszym ojcem, i psuje piękny romans.

II.

Odwróćmy listę: obok tych charakterów sztucznych i złych jakie się wytwarzają pod wpływem instytucyj narodowych, znajdziecie istoty dobre jakimi je uczyniła natura, a w pierwszym rzędzie są dzieci.

My ich wcale nie mamy w literaturze. Mały Joas Racine mógł się tylko zrodzić w sztuce napisanej dla Saint-Cyr; i jeszcze biedne dziecko mówi jak syn ksiązęcy, wypowiada frazesa szlachetne i wyucz ne jak gdyby wydawał katechizm. Dziś widuje się takie portreta tylko w kalendarzowych książkach, pisanych jako wzory dla grzecznych dzieci. Dickens malował swoje ze szczególną względnością; nie zamierzał zbudować publiczności, a oczarował ją. U niego wszystkie dzieci są szczególnie tkliwe, kochają bardzo, i potrzebują być kochanemi. Dla zrozumienia tej względności malarza i tego wyboru charakterów, trzeba pamiętać o ich typie fizycznym. Mają cerę tak świeżą, płęć tak delikatną, ciało tak przezroczyste i niebieskie oczy tak czyste że są podobne do pięknych kwiatów. Nic dziwnego jeżeli romansopisarz lubi je, nadaje duszy tkliwość i niewinność błyszczące w oczach, jeżeli sądzi że te wątłe i śliczne róże muszą się łamać w grubych

rękach które zecheą je nagiąć. Trzeba także pamiętać w jakich domach wzrastają. O piątej godzinie kupiec i urzędnik opuszczają bióra i interesa, wracają czempredzej do ładnej willi gdzie cały dzień bawiły się ich dzieci na łące. Ten dom gdzie spędzą wieczór jest świątynią, a czułość rodzinna stanowi jedyną poezję jakiej potrzebują. Dziecko pozbawione tych pieśzcot i tego dobrobytu, będzie się zdawało pozbawione powietrza którem się oddycha, a romansopisarz ła two napełni cały tom wytłomaczeniem jego nie szczęcia. Dickens opowiadał swoje w dziesięciu tomach, i skończył napisaniem historii Dawida Copperfield. Dawid jest kochany przez matkę i poczciwą służącą Peggotty; bawi się z nią w ogrodzie, przygląda się jak ona szyje, czyta jej historię naturalną o krokodylach; boi się kur i gęsi przechadzających się po podwórzu z groźną miną. Zupełnie jest szczęśliwy. Matka wychodzi powtórnie za mąż, i wszystko się zmienia. Ojczym, p. Murdstone i siostra jego Joanna, są to istoty cierpkie, metodyczne i złodowaciałe. Biedny Dawidek jest co chwilę raniony ostremi słowy. Nie śmie mówić ani się ruszać; boi się pocałować matkę, czuje że na nim ciąży jakby płaszcz ołowiany, zimne spojrzenie dwojga nowych gości. Zamyka się w sobie, uczy się machinalnie zadanych lekcyj; nie może ich spamiętać ze strachu że ich nie będzie umiał. Biją go, zamykają o chlebie i wodzie w oddalonym pokoju. Lęka się w nocy, boi się samego siebie. Zapytuje siebie czy

istotnie jest złym lub dokuczliwym i płacze. Ta ciągle trwoga bez nadziei i bez wyjścia, obraz tej czułości urażonej i tej intelligencji przytłumionej, długie niepokoje, czuwania, samotność biednego dziecka uwięzionego, namiętne pragnienie ucałowania matki lub wypłakania się na sercu swej niańki, wszystko to sprawia boleść. Te troski dziecinne są tak głębokie jak zmartwienia dojrzałego człowieka. Jestto historia wątłej rośliny która kwitła w ciepłym powietrzu, pod łagodnym słońcem i nagle, przeniesiona w śnieg, opada z liści i więdnie.

Ludzie prości jak dzieci są zależni, mało wyrobieni, bliscy natury i podlegli uciskowi. To jest powodem że ich Dickens podniósł. We Francyi nie jest to nowością; romanse Eugeniusza Sue dały nam nie jeden przykład, i ta teza sięga Rousseau'a, ale w rękach angielskiego pisarza przybrała szczególną siłę. Jego bohaterowie mają zadziwiające delikatności i poświęcenia. Tylko wymowa jest w nich gminna, reszta przedstawia samą szlachetność i zacność. Widzicie kuglarza opuszczającego swą córkę, jedyną pociechę, z obawy że jej w czem zaszkodzi. Młoda kobieta poświęca się dla ocalenia niegodnej żony człowieka, który ją kocha nawzajem od niej kochany. Ten człowiek umiera, ona zaś przez proste wyrzeczenie się siebie, dalej ma staranie o upadłej istocie. Biedny furman mający swą żonę za niewierną, powiada głośno że jest niewinna i szuka zemsty tylko w obdarzaniu jej tkliwością i względami. Według

Dickensa, nikt od nich nie czuje żywiej tego szczęścia aby kochać, być kochanym i doznawać czystych radości życia rodzinnego. Nikt nie ma takiego współczucia dla tych biednych istot skoszlawionych i kalek jakie tak często wydają na świat i które zdają się rodzić na to aby umarły. W nikim poczucie moralności nie jest prostsze i bardziej nieugięte. Przyznaję nawet że bohaterowie Dickensa na nieszczęście są podobni do oburzonych ojców z naszych melodramatów. Gdy stary Peggotty dowiaduje się że jej siostrzenica jest uwiedziona, puszcza się w drogę z kijem w ręku, i przebiega Francję, Niemcy i Włochy, aby ją odszukać i nakłonić do pełnienia obowiązku. Ale nadewszystko mają uczucie angielskie, jakiego nam brakuje: są chrześcianami. Tam, nietylko kobiety uciekają się do idei o drugim świecie, jak u nas, mężczyźni także o tem myślą. W tym kraju gdzie jest tyle sekt, i gdzie każdy swoją wybiera, każdy wierzy w religię którą sobie stworzył, a to uczucie tak szlachetne, podnosi jeszcze godność do jakiej ich zawiodła prawość woli i delikatność serca.

W głębi, romanse Dickensa zawierają się w jednym frazesie: bądźcie dobrzy i kochajcie; prawdziwa radość leży tylko we wzruszeniach serca; tkliwość stanowi całego człowieka. Zostawcie uczonym naukę, wysoko urodzonym dumę, bogatym zbytek; miejcie litość nad pokorną żądzą; istota najmniejsza i najbardziej pogardzana może być tyle warta, co tysiące potężnych i pysznych.

Strzeżcie się urażać te dusze delikatne, kwitnące na każdym stanowisku, pod każdym ubraniem, w każdym wieku. Wierście iż ludzkość, litość, przebaczenie, stanowią największe piękno człowieka; wierście iż przyjaźń, otwartość, tkliwość, łzy, są najśłodszą rzeczą na świecie. To nie jest: żyć; to mało jest być potężnym, uczonym, sławnym; to nie dosyć być użytecznym. Ten tylko żył i jest człowiekiem, kto płakał na wspomnienie dobrodziejstwa wyświadczonego lub doznanego.

III.

Nie myślimy aby ta sprzeczność między słaby-
mi i silnemi, ani żeby ta reklamacja przeciw spo-
łeczeństwu na korzyść natury, były kaprysem
artysty lub trafem chwilowym. Sięgając daleko
w historyi geniuszu angielskiego, znajduje się iż
jego pierwotnem złem była namiętna tkliwość i
że jego naturalny wyraz stanowiła egzaltacya
liryczna. Obie przyniesione z Germanii, składają
się na literaturę istniejącą przed podbiciem. Po
niejakiej przerwie, odnajdujecie je w szesnastym
wieku, gdy ustąpiła literatura francuzka wzięta
z Normandyi. One są duszą narodu; ale edukacya
tej duszy była przeciwna jej geniuszowi; jej histo-
rya przeczyła naturze, a pierwotna skłonność
uderzała się o wszystkie wielkie wypadki jakie
stwarzała lub znosiła. Traf napaści zwycięskiej
i arystokracji narzuconej, stanowiąc podstawę dla

wolności politycznej, wycisnął w charakterze nazwyczajenia do walki i dumy. Traf położenia wyspiarskiego, konieczność handlu, obfite posiadanie surowych materiałów do przemysłu, rozwinięły zdolności praktyczne i duch pozytywny. Nabycie tych nawyków, tych zdolności i tego ducha, w dodatku do trafu dawnej niechęci ku Rzymowi i dawnych nienawiści do ciemniącego kościoła, zrodziły religię dumną i rozumującą która zastępuje uległość niezależnością, poetyczną teologię praktyczną moralnością,—i wiarę dyskusyjną. Polityka, interesa i religia, jak trzy potężne maszyny, ukształtowały na człowieku dawnym człowieka nowego. Sztywna godność, panowanie nad sobą, potrzeba rozkazywania, surowość rozkazów, ścisła moralność bezwzględna i nietłoczenia, upodobanie w cyfrach i w suchem rozumowaniu, wstręt do nienamacalnych faktów i do niepożytecznych idei, nieznanostwo świata niewidzialnego, pogardzanie słabością i tkliwością serca, oto skłonności jakie bieg faktów i wpływ instytucyj starają się utrwalić w duszach. Ale poezja i życie rodzinne, dowodzą że im się to w połowie tylko udaje. Dawna tkliwość, uciskana i skrzywiona, żyje i porusza się jeszcze. Poeta istnieje pod purytaninem, pod kupcem, pod mężem stanu. Człowiek społeczny nie zniweczył człowieka naturalnego. Ta ludowa obsłona, ta nietowarzyska pycha, ta sztywna postawa, często pokrywają istotę dobrą i tkliwą. Jestto maska angielska na głowie niemieckiej; i skoro pisarz utalentowany

który bywa często genialnym, dotknie tkliwości urażonej, lub zagrzebanej pod edukacją i narodowymi instytucjami, porusza człowieka w jego najgłębszym wnętrzu, i staje się panem wszystkich serc.

THACKERAY.

Romans społeczny mnoży się w Anglii, do czego jest kilka przyczyn: najwpierw zrodził się tam, a każda roślina dobrze wschodzi w swej ojczyźnie. Powtóre stanowi ujęcie; niema w tym kraju muzyki jak w Niemczech, ani rozmowy jak we Francyi, ludzie potrzebujący czuć i myśleć, czują zatem i myślą w romansie. Z drugiej strony, kobiety biorą w nim wielki udział; gdzie galanterya nie istnieje a religia jest zimna, tam romans otwiera pole wyobraźni i marzeniom. Nareszcie te drobiazgowo szczegóły i praktyczne rady dają materiał umysłowi ścisłemu i moralistycznemu. Krytyk jest więc niejako zanurzony w tej obfitości; musi wybierać, aby uchwycić całość i ograniczyć się do niektórych, chcąc je objąć wszystkie.

W tym tłumie ukazało się dwóch ludzi z talentem wyższym, samoistnym i sprzecznym; obaj mają popularność z jednego tytułu, są sługami jednej sprawy, moralistami w komedyi i dramacie, obrońcami uczuć naturalnych przeciw instytucjom społecznym. Przez dokładność obrazów, głębokość spostrzeżeń, ciąg dotkliwych napaści, pomimo odmiennych poglądów i odmiennego stylu, wskrzesili dawnego ducha walki Swifta i Fieldinga.

Jeden gorętszy, otwartzszy, cały przejęty werwą, malarz rozmiłowany w obrazach silnych i olśniewających, prozator liryczny, wszechwładny pan śmiechu i łez, rzucił się w pomysłowość fantastyczną, w czułość bolesną, w bufonadę gwałtowną, i przez zuchwałość stylu, przez nadmiar wzruszeń, przez zabawną trafność swych karykatur, odkrył widownię wszystkich sił i słabości artysty, wszystkich śmiałości, powodzeń i dziwactw wyobraźni.

Drugi, bardziej wstrzemięźliwy, światlejszy i silniejszy, lubownik rozpraw moralnych, doradca publiczności, pewien rodzaj kaznodziei świeckiego, — mniej zajęty obroną ubogich, a bardziej oddany roztrząsaniu człowieka, przyniósł satyrze na usługi: zdrowy rozsądek stale zachowany, wielką znajomość serca, wytrawną zręczność, potężne rozumowanie, skarb obmyślanej nienawiści i prześladował wady wszelką bronią rozwagi. Skutkiem tej sprzeczności wzajemnie się dopełniają; stwórzmy sobie dokładne pojęcie o smaku

angielskim, dodawszy portret Wiliama Thackeraya do wizerunku Karola Dickensa.

I.

S a t y r y k.

Nic dziwnego że w Anglii romansopisarz tworzy satyry. Człowieka smutnego i zastanawiającego się skłania do tego natura własna, równie jak otaczające go obyczaje. Nie pozwalają mu uważać namiętności jako potęgi poetyczne, lecz każą oceniać jako przymioty moralne. Jego obrazy stają się wyrokami, jest doradcą raczej niż badaczem, i urzędnikiem wymierzającym sprawiedliwość raczej niż artystą. Widzicie za pomocą jakiego mechanizmu Thackeray przemienił romans na satyrę.

Otwieram na traf jego trzy wielkie dzieła: *Pendennis*, *Jarmark próżności* i *Newcomes*. Każda scena uwydatnia pewną prawdę moralną. Autor chce żebyśmy za każdą stronicą wydawali sąd o wadach i cnotach. Z góry potępia lub chwali a rozmowy lub portrety są tylko środkami mocą których dodaje naszą pochwałę do swojej pochwały, naszą naganę do swojej nagany. Daje nam nauki, i pod uczuciami jakie opisuje, pod wypadkami jakie opowiada, odnajdujemy zawsze przepisy postępowania i zamysły reformatora.

Na pierwszej stronie *Pendenisa*, widzicie portret starego majora; jestto człowiek światowy, samolub pełen próżności; wygodnie siedzi w swym klubie przy kominku i przy oknie; — budzi zazdrość w chirurgu Glowry którego nikt nie zaprasza, on zaś w sprawozdaniach z uczt arystokratycznych szuka swego nazwiska pochlebnie umieszczonego wśród znakomitych gości. Przychodzi list od rodziny: ma się rozumieć że go odsuwa i niedbale odczytuje po wszystkich innych. Wydaje krzyk oburzenia, jego siostrzeniec chce bowiem poślubić aktorkę. Zamawia miejsca w dyliżansie na koszt rodziny i dąży ocalić głupiego młodzieniaszka. Cóżby się stało z jego zaprosinami w razie tak niestosownego małżeństwa, ztąd dotykalny wniosek: nie bądźmy samolubni, próżni i łakomi, jak major.

Rozdział drugi: Pendennis, ojciec młodzieńca, był w swoim czasie aptekarzem, ale pochodził z dobrej rodziny, i rozpacział że przyszło mu zniżyć się do tego zawodu. Zrobisz majątek podaje się za lekarza, poślubia krewną szlachcica, i stara się wsunąć do wielkich rodzin. Całe życie chwali się że go raz zaprosił lord Ribstone. Kupuje posiadłość, stara się pogrzebać aptekarza, i popisuje się nową chwałą właściciela ziemskiego. Każdy z tych szczegółów jest szyderstwem tajonem lub widocznem, które mówi czytelnikowi: „Mój dobry przyjacielu zostań sobie prostakiem, jakim jesteś, i dla miłości syna i siebie samego, strzeż się udawać wielkiego pana!”

Stary Pendennis umiera. Syn jego, dostojny dziedzic posiadłości: „Wielki książę Pendennis'u, sułtan Fair Oaks'u” zaczyna panować nad matką, kuzynką i służbą. Posyła płaczące poezje do dzienników hrabstwa, rozpoczyna poemat epiczny, tragedję w której umiera szesnaście osób, piorunującą historję jezuitów, i jako prawy torys, broni kościoła i króla. Wzdycha do ideału, przywołuje nieznaną i rozmiłowywa się we wzmiankowanej już aktorce. Jestto kobieta trzydziesto-dwuletnia, papuga teatralna, ciemna i głupia do najwyższego stopnia. Młodzieńcy, moi drodzy przyjaciele, wszyscy jesteście przesadni, pretensjonalni, oszukujący siebie i innych. Zanim będziecie sądzili o świecie, zobaczcie go wpierwej, i nie miejcie siebie za nauczycieli, kiedy jesteście uczniami.

Nauka przeciąga się, i trwa póki żyje Arthur. Jak Lesage w *Gilblasie*, jak Balzac w *Père Goriot*, autor *Pendennisa* maluje młodzieńca, który dosyć utalentowany, obdarzony uczuciami dobremi, nawet szlachetnemi, chce się piąć i stosuje się dlatego do maksimum świata. Ale Lesage chciał nas tylko zabawić, a Balzac tylko roznamiętnić: Thackeray od początku do końca pracuje nad tem aby nas poprawić

Ten zamiar staje się jeszcze widoczniejszym, gdy się szczegółowo rozbierze jedną jego rozmowę i jeden obraz. Nie spostrzeżecie tam werwy obojętnej i oddanej naśladowaniu natury, ale roz wagą skupioną, zajętą przeobrażaniem przedmio-

tów, słów i wypadków na satyry. Wszystkie słowa i osoby są tak wybrane i wymierzone, aby były ohydne lub śmieszne. Oskarża siebie, stara się uwidomić swą wadę, i pod jego głosem słyhać głos pisarza, który go sądzi, zdiera zeń maskę, i karze go. Miss Crawley, bogata staruszka zapada w chorobę! Mistress Bute, krewna jej, przybiega żeby ocalić ją i zarazem ocalić spadek! Idzie o wyłączenie z testamentu siostrzeńca, kapitana Rawdon, dawnego ulubieńca, w którym domyśla ją się legataryusza starej panny. Ten Rawdon jestto głupi zołdak; siedzi ciągle w szynku, gra w karty nadto zręcznie, miewa pojedynki i ubiega się za dziewczętami. Osądźcie jaka to dobra sposobność dla mistress Bute, szanownej matki rodziny, godnej małżonki duchownego, nawykłej do układania kazań swego męża! Przez samą cnotę, nienawidzi kapitana Rawdon i nie ścierpi żeby tak dobry pieniądz wpadł w tak złe ręce. Zresztą czy nie jesteśmy odpowiedzialni za naszą rodzinę? i czy nie do nas należy rozgłaszać błędy krewnych? To jest naszym surowym obowiązkiem, a mistress Bute sumiennie wywiązuje się ze swego. Zaopatrując się w budujące historye o siostrzeńcu, buduje niemi ciotkę. Zrujnował tego, skrzywdził tamtą. Oszukał tego kupca, zabił tamtego męża; a co gorsza naśmiewał się z ciotki, ten niegodziwiec! Czy ta szlachetna ciotka będzie dalej rozgrzewała taką zmię? czy

ścierpi żeby jej niezliczone poświęcenia były odpłacane tą niewdzięcznością i najgrawaniem się? Możecie sobie wyobrazić księżą wymowę mistress Bute. Siedząc w nogach łóżka, dogląda chorej, podaje ciągle napoje, rozrywa strasznemi kazania-
mi, i trzyma straż przy drzwiach przeciw napaści przypuszczalnego spadkobiercy. Oblężenie dobrze było urządzone, scheda napastowana tak uporczywie, musiała się zdać, dziesięć cnotliwych palców matrony pełne nadziei wchodziły z góry w rzeczywistą masę talarów połyskujących, przed jej oczami. Jednakże wybredny widz znalazłby pewne błędy w jej obrotach. Zanadto rządziła. Zapomniała że kobieta prześladowana kazania-
mi, obracana jak paka towarów, regularna jak zegar, mogła nabrać wstrętu do władzy tak męczącej. Co gorsza, zapominała że kobieta stara i trwożliwa, więziona we własnym domu, zarzucona naukami religijnemi, zatruta pigułkami, mogła umrzeć zanim przerobi testament i zostawić wszystko, niestety! niecnemu siostrzeńcowi. Jestto przykład nauczający i straszny! Mistress Bute, chwała swej płci, pocieszycielka chorych, doradczyni rodziny, zrujnowawszy zdrowie dla pielęgnowania ukochanej bratowej, i dla ocalenia szanownego spadku, była właśnie blizką tego aby złożyć bratową w trumnę, a spadek w ręce jej siostrzeńca.

Przybywa aptekarz Clunp; drży o swą drogą klientkę przynoszącą mu dwieście gwinei rocznie. Postanawia ocalić to drogocenne życie naprzekór

mistress Bute. Ta, przerywa jego mowę: „Poświęciłam się mój drogi panie. Jej siostrzeniec ją zabił, a ja przyszłam żeby ją ocalić. On powalił ją na łożę boleści, a ja pielęgnuję ją. Nie jestem samolubną; nigdy się nie wzbraniam od poświęcenia się dla innych; oddałabym życie dla obowiązku, oddałabym je dla ocalenia krewnej mego męża.” Bezinteresowny aptekarz znowu zaczyna bohatersko swój szturm; natychmiast odzywa się też i ona; wymowa płynie z jej ust jak z przepelnionego dzbanka; krzyczy z całych sił: Dopóki mię natura podtrzymywać będzie, nigdy nie opuszczę miejsca gdzie mię obowiązek przykuwa. Jako matka rodziny i żona duchownego angielskiego, ośmielam się zapewniać że moje zasady są czyste i będę im wierną do ostatniego tchnienia. Gdy mój mały James miał ospę, czy pozwoliłam aby go doglądała najemnica? Nie. Cierpliwą Clump zarzuca ją słodziutkiem pochlebstwem, i dążąc do celu pośród przerw, zapewnień o chęci poświęcenia się, deklamacyj przeciwko siostrzeńcowi, przybija nareszcie do brzegu. Napomyka delikatnie że trzebaby wyprowadzić chorą na świeże powietrze. Mistress Bute wypuszczając kota samolubstwa z wórka obłudy, woła: „Gdyby zobaczyła niegodziwego siostrzeńca w parku, gdzie się podobno przechadza ten nędznik z zatawardziałą współniczką swych zbrodni, spowodowałyby to takie wstrząśnienie, że musielibyśmy zanieść ją do łóżka. Nie powinna wyjść, panie Clump, i nie wyjdzie, póki tu będę żeby nad nią

czuwać. Co się tyczy *mego* zdrowia, mniejsza o nie; poświęcam się z całego serca, mój panie, składam je na ołtarzu mego obowiązku." Widocznem jest że autor coś cierpi do swej mistress Bute, i do ludzi wyłudających spadki. Nadaje jej ruchy śmieszne, frazesa napuszyste, obłudę przejrzystą, grubiańską i krzykliwą. Czytelnik doznaje nienawiści i niesmaku w miarę jak ona mówi. Chciałby zderzyć z niej maskę, rad że ją widzi przyciśniętą przypartą do kąta, schwytaną przez grzeczne obroty przeciwnika i cieszy się z autorem który wydobywa, uwydatniając hańbiącą spowiedź obłudy i chciwości.

Stanąwszy na tym punkcie, rozważa satyryczna traci formę literacką, aby się lepiej rozwinać, rozkłada się sama. Thackeray napastuje wady we własnem imieniu; żaden autor nie jest płodniejszy w dySSERTacye; co chwilę wchodzi sam w swe opowiadanie, aby nas gromić lub nauczać; dodaje moralność teoretyczną do moralności praktycznej. Z jego romansów możnaby wyciągnąć dwa lub trzy tomy *essays* na sposób La Bruyère'a lub Addison'a. Traktują o miłości, o próżności, o obłudzie, o nیکczemności, o wszystkich cnotach, o wszystkich wadach, a odwróciwszy kilka stronnic znajdzie się jednak o komedyach powodowanych spadkami i o krewnych zbytecznie nadskakujących.

„Jakąż godność nadaje damie w wieku podeszłym, otwarte conto u bankiera! Z jaką pieśczożliwą pobłażliwością patrzymy na jej niedoskonłości, jeżeli jest

naszą krewną! Oby każdy czytelnik miał ze dwadzieścia takich krewniaczek! Któremuż z nas nie wydaje się ona dobrą, pocziwą staruszką! etc.

Nie można się pomylić. Chociażby czytelnik najuporczywiej bronił się od przestrogi, to musi ją odebrać. Gdy będziemy mieli ciotkę z wielką schedą, ocenimy sprawiedliwie nasze grzeszności i czułość. Autor zastąpił miejsce naszego sumienia, a romans, przekształcony pod wpływem rozważy, staje się szkołą obyczajów.

II.

Mocno biją w tej szkole; taki to smak angielski. O smaku i o różgach nie należy spierać się ale bez sporów można rozumieć, a najpewniejszym sposobem zrozumienia smaku angielskiego jest zestawienie go z francuzkim.

Widzę u nas, w salonie ludzi rozumnych lub w pracowni artystów, dwadzieścia osób ożywionych: potrzebują zabawić się, oto ich tło. Możesz do nich mówić o okrucieństwie ludzkim, ale pod warunkiem że je rozerwiesz. Jeżeli uniesiesz się gniewem, będą obrażone, jeżeli dasz naukę będą ziewały. Śmieć się, to jest regułą tutaj, — nie przez srogość i nienawiść ale skutkiem dobrego humoru i lekkości umysłu. Ten umysł tak żywy, chce działać; dla niego odkrycie potężnego głupstwa jest spotkaną gratką. Jak lekki płomień przesuwa się i skacze nagłymi błyskami po zlekką dotykanej powierzchni przedmiotów. Zado-

wolnij go naśladownictwem i dla przypodobania się ludziom wesołym, bądź wesoły. Bądź grzeczny, to jest drugie przykazanie, zupełnie podobne do tamtego. Mówisz do ludzi towarzyskich, wykwintnych, próżnych, których trzeba oszczędzać i karmić pochlebstwem. Obraziłbyś ich, usiłując wyrwać im przekonanie siłą, gęstymi razami ścisłych dowodzeń, popisywaniem się wymową i oburzeniem. Zrób im zaszczyt przypuszczania że cię rozumieją z półsłówka, że znaczący uśmiech tyle dla nich znaczy co uznany syllogizm, że delikatna alluzya spostrzeżona w locie, więcej ich porusza niż ciężka napaść grubej satyry geometrycznej. Nareszcie pamiętaj, ale niech to zostanie między nami, że od tysiąca lat, równie w polityce jak w religii zostają pod wielką przemocą, że będąc krępowanym, doznaje się ochoty do zerwania pęt, że zbyt ciasne ubranie pęka na łokciach. Oni są chętnie krytykami; chętnie słuchają rzeczy zakazanej, i często skutkiem nadużycia loiki, skutkiem uniesienia, żywości, złego humoru, z po za rządu uderzają na społeczeństwo, z po za religii na moralność. Są to żaki zbyt długo trzymane pod batogiem; tłuką szyby otwierając drzwi. Nie śmiem cię nakłaniać abyś się im przypodobał; nadmieniam tylko że chcąc im się podobać nie zaszkodzi źdźbło usposobienia ujmującego.

Przebiegam siedm mil morskich, i staję w wielkiej, surowej sali, pełnej ławek, beków gazowych w sali zamiecionej, porządnej; — jestto klub sporów lub przybytek kazań. Znajduje się tam

pięćset figur długich, smutnych, sztywnych ¹⁾, i od pierwszego rzutu oka widoczne jest że się nie zgromadzili dla zabawy. W tym kraju, temperament grubszy, przeładowany pokarmem cięższym i silniejszym odjął wrażeniom szybką ruchliwość, a myśl mniej łatwa i chyża, straciła wesołość wraz z żywością. Jeżeli będziesz żartował w obec nich, pamiętaj że mówisz do ludzi ważnych, skupionych, zdolnych do wrażeń trwałych i głębokich, niezdolnych do uczuć zmiennych i nagłych. Te twarze nieruchome i skurczone chcą zachować tę samą fizyonomię. Mają wstręt do półuśmiechów przelotnych. Nie umieją rozpogodzić się, a śmiech jest w nich konwulsją tak sztywną jak powaga. Nie dotykaj z lekka, naciskaj; nie przesuwaj się, lecz zapuszczaj się głęboko; nie igraj, lecz uderzaj; pomnij że musisz poruszać gwałtownie namiętności gwałtowne, i że trzeba wstrząśnień aby te nerwy pobudzić do ruchu. Pomnij również iż ci ludzie są to umysły praktyczne, zamiłowane w pożytku, że przychodzą tu po naukę, że winien im jesteś prawdy niezachwiane, że ich rozsądek nieco ciasny nie nadaje się do zuchwałych improwizacyj, i bezzasadnych wskazówek, że wymagają zbijania rozwiniętego i tłómaczenia dokładnego, i że jeżeli zapłacili za bilet, to dlatego aby słuchać rad praktycznych i satyry dowiedzionej. Ich temperament żąda od ciebie

¹⁾ Their usual english expression of intense gloom, and subdned agony. Thackeray, *the book of snobs*.

wrażeń silnych; ich umysł wymaga dowodzeń ścisłych. Aby się przypodobać ich temperamentowi, nie trzeba lekko drasnąć wad, lecz brać je na męki; nie należy szydzić z dowcipów, lecz rozumować. Jeszcze słówko. Przyjrzyj się wśród tego zgromadzenia księdze złoconej, wspaniałej, królewsko rozłożonej na aksamitnej poduszce. To biblia. Wkoło niej jest pięćdziesięciu moralistów, którzy niedawno zmówili się na schadzkę w teatrze i zarzuciwszy jabłkami, wypędzili aktora, który tem zawinił że był kochankiem żony mieszczanina. Jeżeli z wszelkimi pokłonami i ostrożnościami w świecie dotkniesz końcem palca choćby jednej kartki świętej lub najmniejszej przyzwoitości nakazanej przez moralność, natychmiast pięćdziesiąt rąk porwie cię za kołnierz i wyrzuci za drzwi. Wobec Anglików, trzeba być Anglikiem; wraz z ich namiętnością i rozsądkiem, weź ich pasek na jakim się prowadzi dzieci. Tak zamknięta w prawdach uznanych, twoja satyra stanie się dotkliwszą, i powiększy wiarę publiczną w nacisk loiki i w siłę gniewu.

III.

Żaden pisarz nie był więcej uzdolniony od Thackeray'a do tego rodzaju satyry; bo też żadna zdolność nie jest odpowiedniejszą do tego rodzaju satyry, jak rozwaga. Rozwaga jestto uwaga skupiona, która stokrotnie wzmacnia siłę i trwałość wrażeń. Kto się zagłębił w rozważaniu wady

doznaje nienawiści do niej, a siła tego uczucia mierzy się siłą rozważania. W pierwszej chwili, gniew jest szlachetnem winem, które upaja i zapala; gdy przechowany i zamknięty, staje się napojem palącym wszystko czego dotknie i wyżera nawet naczynie w jakim jest zawarte. Po Swifcie Thackeray jest najsmutniejszy ze wszystkich satyryków. Nawet jego współziomkowie¹⁾ wyrzucali mu że maluje świat brzydszym niż jest. Oburzenie, boleść, wzgarda, niesmak, są to jego zwykłe uczucia. Gdy od nich zbacza i przedstawia dusze tkliwe, przesadza ich wrażliwość aby ucisk wydawał się bardziej niecnym, gnębiące je samolubstwo staje się okropnem, a ich słodycz cierpliwa stanowi śmiertelną zniewagę dla tyranów: taż sama nienawiść zaznaczała dobroć ofiar, i srogość prześladowców²⁾.

Rozwaga jątrzy gniew i uzbraja go. Widać że się nie uniósł oburzeniem lub przemijającą litością. Opanował się, zanim przemówił. Zważył parę razy łośtrostwo które ma opisać. Jego pobudki, gatunek, następstwa są mu tak znane, jakby naturalistycznie klasyfikacye. Jest pewien swego sądu i doprowadził go do dojrzałości. Karze jako człowiek przekonany, mający na stole stos dowodów; nie występujący z niczem bez dokumentu lub rozumowania; przewidział on wszystkie za-

1) W *Revue d'Edinbourg*.

2) Rola Amelii w *Vanity Fair*. Rola półkownika Newcome w *Newcomes*.

rzuty i zwalczył wszelkie wykręty; nie wybaczy on nigdy; ma przyczynę być nieugiętym, jest nieświadomy o swej sprawiedliwości i opiera wyrok i zemstę na wszystkich siłach rozmyślenia i słuszności. Wrażenie tej nienawiści usprawiedliwionej i hamowanej, jest przytłaczające. Gdy się kończy czytać romanse Balzaka, doznaje się przyjemności naturalisty oprowadzanego w muzeum wśród pięknego zbioru wzorów i potworów. Gdy się kończy czytać Thackeray'a ogarnia przestach jak człowieka któregoby sprowadzono przed materace amfiteatru w dniu, kiedy przykładają moksy i robią amputowania.

W takim razie najnaturalniejszą bronią jest szyderstwo poważne, bo ono dowodzi nienawiści opartej na rozwadze: kto się nią posługuje, poskramia pierwszy popęd, udaje że mówi przeciwko sobie, i opanowuje się tak dalece że staje po stronie przeciwnika. Ale ta postawa przykra i przymusowa jest oznaką niezmiernej wzdardy, pozorna opieka dawana nieprzyjacielowi jest najgorszą zniewagą. Zdaje się iż mówimy: wstyd mi napastować cię; jesteś tak słaby, że upadniesz mimo pomocy. Twoje dowody przynoszą ci hańbę, a twe wymówki są wyrokiem twoim: „Im poważniejsze jest szyderstwo, tem więcej ma też siły; im bardziej staramy się obronić nieprzyjaciela tem więcej go poniżamy; im więcej dajemy pozornej pomocy, tembardziej go przygniataamy. Dlatego poważne szyderstwo Swifta jest straszne; sądzimy że oddaje pokłon, a on zabija; jego pochwa-

ła jest biczowaniem. Pomiedzy jego uczniami, Thackeray zajmuje pierwsze miejsce. Kilka rozdziałów w *Księdze Snobów*¹⁾, np. w *snobach* literackich, godne są *Gulliwera*. Autor zrobił przegląd wszystkich *snobów* angielskich; cóż powie o swych braciach, *snobach* literackich? Czy ośmieli się mówić o nich? Niezawodnie. Mój drogi i zacny czytelniku, czy nie wiesz że Brutus kazał uciąć głowę własnym synom? Doprawdy miałbyś bardzo złe wyobrażenie o literaturze nowożytnej i o literatach nowożytnych gdybyś wątpił, że którykolwiek z nas zawahałby się zagłębić nóż w ciele współtowarzysza, gdyby się okazała publiczna potrzeba.

„Ale należy przyznać że w zawodzie literata niema snobów. Rozejrzyjcie się na wszystkie strony, w całym zgromadzeniu pisarzy angielskich, a zapewniam że nie zdołacie pokazać jednego przykładu gminności, zaściłki lub zarozumienia. Mężczyźni i kobiety, wszyscy, — ilu ich znam, są skromni w ułożeniu, wykwinłni w zachowaniu, nieskazitelni w życiu, i szanowni w stosunkach z sobą lub ze światem, etc.

Bierze pokusa omylić się, żeby zrozumieć ten ustęp, trzeba przypomnieć sobie że w społeczeństwie arystokratycznym i kupieckim, wobec czci dla pieniędzy i hołdowania stanowisku, talent ubogi i nizko urodzony jest tak traktowany jak

¹⁾ *Snob*, słowo niedające się przetłumaczyć, oznacza ono człowieka „który nikczemnie podziwia rzeczy nikczemne.

na to zasługują ubóstwo jego i niskie urodzenie¹⁾. Te szyderstwa stają się tem silniejsze że są długotrwałe; niektóre ciągną się przez cały roman, np. *buty przynoszące nieszczęście*. Francuz nie mógłby tak długo przeciągać sarkazmu. Wymknąłby się na prawo lub na lewo innemi wrażeniami. Zmieniłby wyraz twarzy i nie utrzymałby tak nieruchomej postawy, będącej oznaką nienawiści postanowionej, obrachowanej i gorzkiej. Niektóre charaktery rozwija Thackeray przez trzy tomy jako to Blankę Amory, Rebekę Sharp; nigdy nie mówi o nich bez obelgi. Obie są niecne, a nigdy ich nie wprowadza na widownię bez obsypania pieścizotami „Droga Rebeka! tkliwa Blanka! Tkliwa Blanka jest panną sentymentalną i oddaną naukom; zmuszoną żyć z rodzicami którzy jej nie pojmują. Tak na tem cierpi, że wobec wszystkich głośno obraca ich w śmieszność; tak jest przygnębiona niedorzecznością matki i ojczyma, że nie traci ani jednej sposobności żeby im nie dać uczuć głupoty. Sumiennie mówiąc, czy mogła postępować inaczej? Czyby to nie było brakiem szczerości gdyby udawała wesołość jakiej nie doznaje, lub poszanowanie którego czuć nie może? Łatwo zrozumieć że biedaczka potrzebuje współczucia; porzuciwszy lalki, to kochające serce zajęło się najwpierw Treumorem, Steniem, Księciem Dżalma, oraz innymi bohaterami roman-

¹⁾ „Rozum i geniusz tracą dwadzieścia pięć na sto swej wartości, przybywając do Anglii. Stendhal.

sopisarzy francuzkich. Niestety! świat urojony nie wystarcza zranionym duszom, a pragnienie ideału aby się zadowolnić, zniża się wreszcie do istot ziemskich. W jedenastym roku panna Blanka doznała pociągu do małego Sabaudczyka, grającego na katarynce w Paryżu; a miała go za wykradzonego księcia. W dwunastym roku stary i szkaradny nauczyciel rysunku wzruszył dziewicze serce. Na pensyi u pani de Caramel, miała korespondencyę z dwoma młodymi uczniami z kolegium Charlemagne. Droga, opuszczona dusza, jej stopy już się zraniły o drogi życia; codziennie traci urojenia, i napróżno je zapisuje wierszem, w książeczce oprawionej w aksamit niebieski ze złotą zapinką, zatytułowanej: *Moje trzy*. Cóż robić w tem osamotnieniu? Zapala się do spotykanych panienek, doznaje na ich widok pociągu magnetycznego, staje się ich siostrą; ale nazajutrz potrafi je odrzucić jak starą suknię: nie rozkazujemy naszym uczuciom, a jestże co piękniejszego jak naturalność? Zresztą, to miłe dziecię ma wiele smaku, wyobraźnię żywą, skłonność poetyczną do zmian; trzyma swą pokojówkę Pincott, dzień i noc przy robocie. Jako osoba wykwintna prawdziwa *dyletantka* i lubowniczką piękną, łaje że ma oczy podbite i twarz bladą. Dla dodania jej otuchy, powiada jak zwykle ostróżnie i szczerze: „Pincott, odprawię cię, bo jesteś zbyt słabą i oczy ei niedopisują; przytem ciągle jęczysz, masz się, żądasz doktora, ale wiem że rodzice potrzebują twej płacy, i zatrzymam cię przez wzgląd na nich!

Pincott, doprawdy że dostaję migreny tak nędznie wyglądasz, tak służalczą masz minę. Gotowam cię zmusić do różowania się Pincott, twoi rodzice umierają z głodu; ale jak mię będziesz tak ciągnęła za włosy, poproszę abyś napisała do nich z zawiadomieniem że już nie potrzebuję twoich usług." Ta głupia Pincott nie ocenia swego szczęścia. Czy można być smutną, służąc istocie tak wzniosłej jak miss Blanka? Co za radość dostarczać jej przedmiotów do stylu! bo, trzeba to przyznać, miss Blanka raczyła napisać śliczny wiersz o służącej oderwanej od rodzinnego ogniska „o smutnej wygnance na obcej ziemi." Niestety! najmniejsze zdarzenie wystarcza aby zranić to serce zbyt czułe. Za najlżejszem wzruszeniem łzy jej płyną, uczucia drgają, jak gdyby była delikatnym motylkiem, którego się miażdży za lada dotknięciem. Oto przechodzi, nadpowietrzna, ze wzrokiem podniesionym ku niebu, ze słabym uśmiechem osiadłym na różanych ustach; wruszająca sylfida, niosąca taką pociechę otaczającym że każdy pragnąłby ją widzieć na dnie studni.

Jeden stopień dodany do poważnej ironii tworzy poważną karykaturę. Tu, jak przed chwilą, autor broni sprawy bliźniego. Cała różnica w tem, że ich broni zbyt gorąco; jestto zniewaga w zniewadze. Z tego tytułu obfituje ona w Thackeray'u. Niektóre z jego karykatur są rażące, np. p. Aleide de Mirololan, kucharz francuzki, artysta w sztuce sosów, oświadczaający swe płomienie miss Blance za pomocą ciastek symbolicznych,

i mający się za *gentlemana*. Pani majorowa O'Dowd rodzaj grenadyera w spodnicy, napuszone i gadaliwa Irlandka, zajęta rządzeniem w pułku i swatanieniem bezżennych, chociażby mimo ich woli. Panna Briggs, stara dame de Compagnie, stworzona do odbierania obelg, układania frazesów i wylewania łez. Doktor dowodzący swym uczniom złym łacinnikom, że zwyczaj barbaryzmów prowadzi pod pręgierz. Te wyrachowane ułomności budzą tylko smutny śmiech. Zawsze się spostrzega za wykrzywieniem przedstawianej osoby, szyderczą minę malarza, i czyni się wnioski o nikczemności i głupocie rodu ludzkiego. Inne postaci mniej powiększone, nie są jednak naturalne. Widzi się że autor popycha je umyślnie do głupstw namacalnych, i sprzeczności wydatnych. Taką jest miss Crowley, stara panna niemoralna i wolnomyslicielka, która chwali małżeństwa niedobre pod względem wieku i wpada w kowulsyę, gdy na następnej stronicy jej siostrzeniec właśnie w taki sposób żeni się; która nazywa Rebekę Sharp równą sobie, a po chwili każe jej przynieść cęgi; która dowiaduje się o wyjeździe swej ulubienicy, woła z rozpaczą: „Nieba łaska! we! któż mi będzie robił teraz czekoladę!” To są sceny do komedyi nie obraży obyczajów. Jest takich dwadzieścia; widzicie szanowną ciocię, misstress Hoggarthy, z zamku Hoggarthy, która wciska się do domu swego siostrzeńca Titmarsh zmusza do wielkich wydatków, prześladowuje żonę jego, wypędza przyjaciół, zachmurza pożycie mał-

małżeńskie. Biedak rujnuje się i biorą go do więzienia. Wydaje go przed wierzyicielami z prawdziwym oburzeniem, i gromi go z najlepszą wiarą w świecie. Ten nędznik był katem swej ciotki. Przywołał ją do siebie, tyranizował, okradał, a żona jego znieważała ją. Musiała na to patrzeć że masło marnują tam jak wodę, węgle trwonią, świece palą z obu końców, a teraz, kiedy jesteś więziony i słusznie za swe zbrodnie, masz odwagę prosić abym zapłaciła twe długi! Nie, mój panie, dosyć tego że twa matka stanie się ciężarem swej parafii, a żona pójdzie zamiatać ulice. Co do mnie, jestem zabezpieczona od twej zdradliwości. Sprzęty domowe do mnie należą, i kiedy jest twym zamiarem, aby szanowna małżonka spała na bruku, jutro każe go wyjąć. P. Smithers ci powie że postanawiałam zostawić ci cały majątek. Dziś rano, w jego obecności, uroczyście podarłam testament, i mocą tego listu, wyrzekam się wszelkiego stosunku z tobą i twą żebraczą rodziną. Przyjęłam żmiję na swe łono i ukąsiła mię.” Ta kobieta sprawiedliwa i miłosierna, spotyka równego sobie, — człowieka pobożnego John Brougħa Esynira, członka parlamentu, dyrektora niepodległego towarzystwa ubezpieczeń od ognia i życia z Didleser wschodniego. Ten cnotliwy chrześcianin zwietrzył zdaleka rokoszną woń jej gruntów, domów, kapitałów, oraz innych wartości ruchomych i nieruchomych. Ubiega się za tym pięknym majątkiem mistress Hoggarthy, zasmucony że jej przynosi zaledwie cztery od sta;

postanawia zdwoić te dochody. Spotyka ją w hotelu z zapuchniętą twarzą, całą noc bowiem zjadały ją pchły. Boże łaskawy! woła John Brough Esquir, tak dostojna dama miałaby cierpieć taką rzecz! Szanowna kuzynka mego drogiego przyjaciela Titmarsha! Nie pozwolę na to aby mistress Hoggorthy była narażoną na tak okropne poniżenie póki John Brough będzie mógł ją przyjąć pod swój dach. Jestto dom skromny szczęśliwy, chrześcijański, chociaż może mniej świetny od tych, do jakich pani byłaś przyzwyczajona w swem życiu pełnem chwały. Izabello! kochanie moje! Belindo! Przemówcie do mistress Hoggarth'y. Powiedzcie jej że dom John Brough'a należy do niej od poddasza do piwnicy. Powtarzam to, pani — od poddasza do piwnicy: pragnę, błagam, rozkazuję, żeby kufry mistress Hoggarth'y, z zamku Hoggarchy, były przeniesione w tejże chwili do mego powozu." Ten styl budzi śmiech, ale smutny to śmiech. Dowiadujemy się że człowiek jest obłudny, niesprawiedliwy, tyrański, ślepy. Ze smutkiem zwracamy się do autora, i widzimy na ustach jego tylko szyderstwo, a na czole tylko strapienie.

IV.

Szukajmy dobrze — może w przedmiotach mniej ważnych, znajdziemy sposobność do szczerego śmiechu. Weźmy pod uwagę już nie łotrowstwo lecz przypadek: łotrowstwo oburza, przypadek

może zabawić. Nic z tego, nawet w zabawie satyra zachowuje tu swą siłę. W żartobliwości angielskiej jest dziwna powaga, natężenie, wysilenie, a ich komiczne farsy układane są tak uczenie jak kazania. Potężna uwaga rozkłada przedmiot we wszystkich częściach, i odtwarza go nanowu z łudzącą drobiazgowością i dokładnością. Swift opisuje okolice koni mówiących, politykę Lilliputa, wynalazców wyspy latającej, ze szczegółami tak dokładnymi i zgodnymi jakby podróżnik doświadczony, ścisły badacz obyczajów i kraju. Tak podtrzymany nieprawdopodobny powtwór i śmieszność literacka, wchodzą w życie rzeczywiste, a widmo wyobraźni nabiera tęgości przedmiotów dotykalnych. Thackeray ma w żarcie tę powagę niezachwianą, tę siłę pomysłu i ten talent złudzenia. Spójrzycie na jedną z jego tez moralnych: chce on dowieść że na świecie trzeba się stosować do przyjętych zwyczajów, i przekształca ten komunał na anegdotę wschodnią. Obliczcie szczegóły obyczajów, geografii, chronologii, kuchni, wskazanie matematyczne każdego przedmiotu, każdej osoby, każdego ruchu, trzeźwość wyobraźni, obfitość prawd miejscowych, zrozumiecie czemu jego szyderstwo czyni wrażenie tak istotne i dotkliwe, odnajdziecie tenże sam stopień studyi i tę samą siłę uwagi co w ironiach i przesadach poprzedzających: jego żartobliwość jest rozważna i silna jak nienawiść; zmienił postawę, ale nie zmienił zdolności.

Aby się bawić namiętnościami ludzkimi, trzeba się im przyglądać jak ciekawy widz zmieniającym się maryonetkom, jak uczony mądrej mechanice, lub jak artysta potężnym sprężynom. Jeżeli będziesz widział tylko że są cnotliwe lub zdrożne, stracone złudzenia wplotą cię w czarne myśli, i będziesz znajdował w człowieku tylko słabość i brzydotę. Dlatego Thackeray poniża całą naszą naturę. Czyni to w romansie co Hobbes w filozofii. Prawie zawsze, gdy opisuje piękne uczucia, wywodzi je z brzydkiego źródła. Tkliwość, dobroć, miłość, są w jego postaci skutkiem nerwów, instynktu lub choroby moralnej. Amelia Sedley jego ulubienica i jedno z arcydzieł, jestto kobiecina płaczliwa niezdolna do rozwagi i śmiałych przedsięwzięć, ślepa, zapalona wielbicielka męża samoluba i grubianina, zawsze poświęcona z własnej woli i z własnej winy; miłość jej składa się z głupoty i słabości, często jest niesprawiedliwa, przyzwyczajona do fałszywych poglądów i godniejsza litości niż szacunku. Lady Castlewood, tak dobra i tkliwa, równie jak Amelia kocha się w prostaku oddanym piałstwu, w głupcu, a jej dzika zazdrość, rozbudzona za najmniejszym podejrzeniem, nieubłagana względem męża, wylewająca się gwałtownie w szorstkich słowach, dowodzi że ta miłość nie wynika z cnoty lecz z temperamentu. Helena Pendennis, wzór matek, jestto skromnisia prowincjonalna, cokolwiek głupowata, z edukacją ograniczoną, zazdrośną także, z całą srogością purytanizmu i namiętności. Mdleje dowie-

dziawszy się o synu że ma kochankę: jestto postęp-pek haniebny, szkaradny, okropny: „Chciałaby żeby jej dziecko umarło zanim popełniło tę zbrodnię.” Ile razy wspomni kto o małej Fanny, jej twarz przybiera wyraz srogi i nieubłagany. Spotkawszy Fanny przy łóżku chorego młodzieńca, wypędza ją jakby kobietę niegodziwą i jakby służącą. Miłość macierzyńska u niej, jak u wszystkich innych jego postaci jest nieuleczonem zaślepieniem. Syn jest jej bogiem: tak mu hołduje, że wreszcie czyni go nieznośnym i nieszczęśliwym. Co się tyczy miłości mężczyzn do kobiet, jeżeli się ją sądzi z obrazów autora, może budzić tylko litość, i wydaje się tylko śmieszną. W pewnym wieku ¹⁾ według Thackeray'a natura się odzywa spotyka się kogoś; czy głupi, czy mądry, dobry czy zły, wielbi się go; jestto gorączka. Psy odbywają swą chorobę w szóstym miesiącu, człowiek zaś w dwudziestym roku. Wówczas kocha się nie dlatego że ta osoba jest godna miłości ale że się potrzebuje kochania. „Czy piłybyś nie czując pragnienia lub czy jadłbyś nie będąc głodnym?” Opowiada historję tego głodu i pragnienia z gorzką werwą i wygląda na wytrzeźwionego człowieka, który szydzi z pniaństwa. Opisuje najdokładniej, tonem nawpół sarkastycznym, szaleństwa majora Dubbin dla Amelii; jak kupuje złe wina od jej ojca; jak popędza pocztylionów,

¹⁾ Pendennis, tom III, str. 3.

budzi służbę, dręczy przyjaciół, żeby jaknajprędzej zobaczyć Amelię; jak mimo dziesięciu lat poświęceń, tkliwości i usług, ona woli stary portret męża niewiernego, grubianina, samoluba już nieżyjącego. Najsmutniejszy jest opis pierwszej miłości Pendennis'a; miss Fotheringay, aktorka którą kocha, osoba pozytywna, dobra gospodyni, ma tyle rozumu i edukacyi co kucharka. Mówi młodzieńcowi o pogodzie i o pudlingu który zrobiła. Pendennis odkrywa w tych dwóch frazesach zadziwiającą głębokość intelligencyi i nadludzką wielkość wyrzeczenia się siebie. Zapytuje miss Fotheringay, która właśnie grała Ofelię, czy Ofelia kocha się w Hamlecie. „Ja, miałabym się kochać w tym lichym, nędznym aktorze, Bingley'u!” Pen tłumaczy że idzie o Ofelię Szekspira. „Jeżeli tak, nie obrażam się; ale za Bingley'a nie dałabym tej szklanki ponczu,” poczem połyka całą szklankę. Pen pyta ją o Kotzebue'go: „Kotzebue! kto to jest? — Autor sztuki w której tak cudownie grałaś. — Nie wiedziałam; na początku tomu jest nazwisko Thompson.” Pen jest oczarowany tą uroczą naiwnością: „Pendennis, Pendennis! jak ona powiedziała to imię! Emilia, Emilia! jaka ona dobra, jaka szlachetna, jaka piękna, jaka doskonała!” Cały pierwszy tom obraca się na tej sprzeczności; zdaje się jakby Thackeray mówił swym czytelnikom: „Moi kochani współbracia w ludzkości, jesteśmy łotrami, czterdzieści dziewięć dni na pięćdziesiąt; w pięćdziesiątym, jeżeli unikamy dumy, próżności, złości, samolub-

stwa, to dlatego że wpadamy w gorączkę, szal sprawia nasze poświęcenie.

V.

Jednakże, nie będąc Swiftem, trzeba coś kochać; niemożna zawsze ranić i niweczyć, a serce znużone pogardą i nienawiścią, potrzebuje wypocząć w pochwalę i roztkliwieniu. Z drugiej strony, nagana dla wady, jest pochwałą dla przeciwnej zalety, i niemożna poświęcić ofiary nie postawiwszy jej ołtarza; okoliczności wyrażają wadę i one też podnoszą zalety, a moralista walczący z wadą panującą w jego kraju i wieku, zaleca cnotę przeciwną wadzie swego wieku i kraju. W społeczeństwie arystokratycznym i kupieckim, tą wadą jest samolubstwo i duma. Thackeray będzie zatem wynosił słodycz i tkliwość. Czy miłość i dobroć są ślepe, instynktowne, nierozsądne, śmieszne, o to mu nie chodzi, — jakimi są, takie uwielbia i niema dziwniejszej sprzeczności jak między jego bohaterami i jego uwielbieniem. Tworzy osoby głupie i klęka przed nimi; artysta przeczy w nim komentatorowi; pierwszy jest szyderczy, drugi chwalcący; pierwszy przedstawia na widowni niedorzeczne strony miłości, drugi czyni jej panegiryk; na początku stronicy jest satyra, na końcu dytyramb. Prawi nieskończone pochlebstwa Amelii Sedley, Helenie Pendennis, Laurze; żaden autor nie zalecał się jeszcze tak uporczywie i widocznie przedsta-

wianym przez siebie kobietom; poświęca im mężczyzn nieraz, ale sto razy. Bardzo prawdopodobnie pelikany lubią się krwawić pod samolubnym dziobem swych piskląt. Jestto niezawodne że i kobiety mają to upodobanie. Musi być w hołści poświęcenia pewna przyjemność, której mężczyźni nie rozumieją..... Nie pogardzajmy tymi instynktami dlatego że nie możemy ich czuć. Kobiety zostały stworzone dla naszej wygody i przyjemności, jak cała gromada niższych zwierząt. Czy to dla męża gnuśnego, czy dla syna marnotrawnego, czy dla ukochanego a niecnego brata, jakże ich serca są gotowe przelać skarby swej tkliwości! A my, jak jesteśmy gotowi dostarczyć im obficie tego rodzaju roskoszy! Może niema jednego z mych czytelników któryby nie sprawił kobietom przyjemności pod tą postacią, i nie uraczył ich roskoszą przebaczenia! Gdy wchodzi do pokoju jakiej dobrej matki lub uczciwej dziewczyny, spuszcza oczy jak u drzwi świątyni. Wobec zrezygnowanej pobożnej Laury, zatrzymuje się. „Ponieważ pełniła swój obowiązek w milczeniu, i dla otrzymania siły do spełniania go zawsze się modliła w samotności, i zdala od oczu ludzkich, my także musimy milczeć o cnotach lękających się wielkiego światła, podobnie jak róże które nie mogłyby kwitnąć w sali balowej.” Równie jak Dickens ma ona cześć dla rodziny dla uczuć tkliwych i prostych, dla zadowoleń spokojnych i czystych, jakich się doznaje przy ognisku domowem pomiędzy dzieckiem a żoną. Gdy ten

mizantrop tak zastanawiający się i tak dotkliwy napotyka wylanie synowskie lub boleść macierzyńską, zraniony jest w samo serce, i jak Dickens pobudza do płaczu ¹⁾.

Mamy nieprzyjaciół, mamy przyjaciół, mamy odrazy bo mamy upodobania. Kto lubi dobroć poświęcającą się i uczucia tkliwe, doznaje odrazy do pychy i srogosci; miłość ma tę samą przyczynę co nienawiść, a szyderstwo równie jak sympatya, jest krytyką pewnej formy społecznej i wady ogółu. Dlatego romanse Thackeray'a są wojną przeciw arystokracji. Jak Rousseau chwali on obyczaje proste i serdeczne, jak Rousseau nienawidzi różnicy klas.

Napisał o tem całą książkę, rodzaj pamfletu moralnego i nawpół politycznego: *Księgę snobów*. Nie znamy tego wyrazu bo nie mamy tej rzeczy. *Snob* jest dziecięciem społeczeństw arystokratycznych; zawieszony na swoim szczeblu u wielkiej drabiny, szanuje człowieka z wyższego szczebla, a pogardza będącym poniżej, nie pytając co oni warci, jedynie z powodu miejsca jakie zajmują; ma głębokie przekonanie że jest naturalnem całować obuwie pierwszego, a kopać nogami drugiego. Thackeray wylicza wszystkie skutki tego nałogu. Posłuchajcie zakończenia:

¹⁾ Naprzykład, zobacz w *the Great Hoggarthy Diamond*, str. 121. śmierć małego dziecka. W *Księdze Snobów*, patrz ostatni wiersz: „*Fun is good, thruth is still better, and love best of all. Żart jest dobry, prawda lepsza, a miłość ze wszystkiego najlepsza.*”

„Nie mogę znościć dłużej tego szatańskiego pomysłu obyczajów szlacheckich, który zabija dobroć wrodzoną, i przyjaźń ucziwą! To słuszną dumą, nieprawdą? Klasa i pierwszeństwo? Dobry Boże! Spis klas i dystrykcyj jest kłamstwem, i powinien być rzucony w ogień. Zaprowadzać klasy i pierwszeństwa! byłoby to dobre dla mistrzów ceremonij w starożytności. Teraz niech jakiś wielki marszałek przyjdzie organizować r ó w n o ś ć.

Jeżeli nienawidzi arystokracji, to nietylę dlatego że uciska człowieka, jak że go psuje. Wykrzywając życia społeczne, wykrzywia prywatne; ustanawiając niesprawiedliwości, wprowadza wady; zawładnąwszy państwem zatruwa duszę, a Thackeray odnajduje ślad jej w przewrotności i głupocie wszystkich klas i wszystkich uczuć.

Król otwiera tę galeryę mszczących się portretów. Jestto Jerzy IV „pierwszy szlachcic w świecie.” Ten wielki monarcha, tak słuszenie żalowany, umiał wykrawać wzory sukien, powozić tak dobrze jak woźnica z Brighton, i grać na skrzypcach. W sile młodości i w zapale pomysłów, wynalazł poncz z maraskina, klamerkę do trzewika i altanę chińską, najszkaradniejszy budynek w świecie. „Widzieliśmy go w teatrze Drury-Lane, widzieliśmy, jedyne! króla!”, tak, króla. Był tam. Drabanci stali przed dostojną lożą. Markiz de Steque, lord z gabinetu w którym się pudrował, i kilku innych wielkich urzędników Państwa, stało za fotelem na którym siedział....- na którym siedział, z czerwoną, czerstwą twarzą, z bujnym ufryzowanym włosom, ze szlachetnym

brzuchem wystawionym przed siebie. Jak krzyczano! klaskano! jak powiewano chustkami! Damy płakały, matki ściszały swe dzieci. Niektóre z nich pomdlały. Tak, widzieliśmy go. Losy nie mogą nas już pozbawić tej radości. Inni widzieli Napoleona. Niech to będzie powodem naszej słusznej dumy wobec potomności że przyglądaliśmy się Jerzemu Dobremu, Jerzemu Wspaniałemu, Jerzemu Wielkiemu.”

Drogi monarcho! cnota wydzielająca się z jego bohaterskiego tronu, napełniała serca wszystkich jego dworzan. Któż przedstawił piękniejszy przykład od Markiza de Stegne? Ten pan, który był u siebie królem, chciał dowieść że nim jest. Zmusza żonę aby usiadła do stołu obok jego kochanek. Jako prawdziwy książę ma głównego nieprzyjaciela w najstarszym synu, domniemanym dziedzicu markizatu, któremu każe pościć i nakłania do długów. W tej chwili zaleca się ślicznej osobie, Rebecce Crawley, którą lubi za obłudę, zimną krew i niezrównaną nieczułość. Markiz, tak upadła i tyranizuje swoje otoczenie, że nareszcie przychodzi do pogardy i nienawiści dla człowieka; tylko okrucieństwo w całym znaczeniu tego wyrazu może mu przypaść do smaku. Rebeka rozbudza go; nawet pewnego dnia wzbudza zapal. Grała w szaradzie Klytemnestrę a mąż jej, Agamemnona; biegnie do łóżka z rozpalonem okiem, z obnażonym mieczem, z taką fizyognomią że wszyscy drżą. „*Brawo! brawo!* woła donośnym głosem stary Stegne. Na Boga, onaby to

zrobiła!" Widać że ma poczucie obowiązku małżeńskiego. Jego rozmowa jest rozczulająco-szczerą. „Nie mogę odprawić mojej drogiej Briggs” powiada mu Rebeka. — Czy winnaś jej płacę? — Daleko więcej; zrujnowałam ją. — Zrujnowałaś? a więc dlaczego jej nie odpędzisz? Zresztą jestto *gentleman* bez zarzutu i ujmująco-dobry. Obchodzi się z kobietami jak pasza, a słowa jego są to policzki. Zalecam czytelnikowi scenę domową w której rozkazuje zaprosić Reбекę Crowley. Lady Gantt, jego synowa powiada że nie usiedzie do obiadu i pozostanie u siebie. Bardzo dobrze zastaniesz tam świadków sądowych; to mię uwolni od pożyczania twym rodzicom i od patrzenia na twe tragiczne miny. Któż jesteś, żeby tu wydawać rozkazy? Nie masz pieniędzy; nie masz mózgu. Byłaś tu na to, aby mieć dzieci, a nie masz ich. Gantt jest znudzony tobą. W całej rodzinie, twoja bratowa jest jedyną osobą która ci nie życzy śmierci bo Gantt ożeniłby się powtórnie gdybyś umarła. Ty, skromnisia! Ach pani! czy mam opowiedzieć kilka małych anegdot o miss lady Bareaeres, twojej mamie?” Reszta jest w tym samym stylu. Jego synowie, doprowadzeni do ostateczności, powiadają że chcieliby umrzeć. To wyznanie przejmuje go radością i kończy mowę taką zasadą: „Ta świątynia cnoty do mnie należy, i gdybym tu zaprosił całe Newgats lub cały Bedlam, będą dobrze przyjęte.” Nałóg do despotyzmu czyni despotów, a najlepszym sposobem tworzenia tyranów w rodzinie jest zachowywanie szlachty w państwie.

Odpoznijmy przyglądając się szlachcicowi wiejskiemu. Niewinność sielska, poszanowanie dziedziczne, tradycje familijne, zajmowanie się rolnictwem, pełnienie urzędów miejscowych, musiały tam wyrobić ludzi uczciwych, rozsądnych, pełnych dobroci i uczciwości, opiekunów swego hrabstwa, sługi swego kraju. Sir Pitt Crawley służy im za przykład. Posiada 100,000 franków dochodu, dwa krzesła w parlamencie. Wprawdzie te dwa krzesła otrzymał od miast zgniłych i sprzedaje drugie za 1500 luidorów rocznie. Jest doskonałym gospodarzem, i tak nisko strzyże swych dzierżawców, że udają się do niego tylko bankruci. Jest przedsiębiorcą dyliżansów, dostarczycielem rządowym, ma przywileje przywiązane do kopalni a tak źle płaci swych agentów i tak oszczędny w wydatkach, że kopalnie zostają zalane, konie zdychają, przedmioty jakich dostarcza są mu zwrócone. Jako człowiek popularny woli zawsze towarzystwo faktorującego koźmi niżeli gentlemana. Klnie, pije, żartuje z karczemnymi dziewczętami, wychyla kieliszek przy stole dzierżawcy, którego wywłaszcza nazajutrz, śmieje się z polującym ukradkiem na jego gruncie, i we dwa dni wysyła go jako przestępcę do Australii. Ma akcent prowincjonalny, dowcip lokajski, obejście prostackie. Przy stole, posługuje mu na srebrnych naczyniach trzech lokai, i podczaszy, a żąda rachunku z naczyń i ze zwierzyny jaką podają na nich. „Co to za baran był, Horooock'u, i kiedyście go zabili?” — Jeden ze

szkotów z czarnym łbem sir Pitt. Zabiliśmy go we czwartek. — Kto brał z niego? — Steel de Mudbury wziął grzbiet i oba uda Sir Pitt, ale powiedział że jest za młody i diable wełnisty, Sir Pitt. — A łopatki?” Rozmowa ciągnie się dalej w tym samym tonie; po baranie szkoćkim idzie czarna świnia z Kent, te bydłeta zdają się należyć do rodziny, tak się niemi zajmuje. Córkom pozwala włóczyć się do izdebki ogrodnika, gdzie odbiorą taką edukację jaka się tam znajdzie. Żonę bije od czasu do czasu, służbie każe zdawać reszty co do grosza. „Jeden lord dziennie, czyni siedm szyllingów rocznie co stanowi procent od siedmiu gwinei. Pamiętaj o twych liardach stara Tinker, a gwinee same przez się przyjdą.” Nigdy w życiu nie dał jednego liarda, — mruczy pod nosem stara. — Nigdy nie dałem i nie dam, to jest przeciwne mym zasadom. Jest bezwstydnym, grubiański, brutalny, skąpy, chytry, niedorzeczny. Odbiera przytem hołdy od ministrów, jest urzędnikiem municypalnym policyjno.sądowym; szanowany, potężny, jeździ złoconą kareta i stanowi jeden z filarów państwa.

Ci są bogaci; zapewne pieniądz ich popsuł. Poszukajmy szlachcica ubogiego, wolnego od pokus. Jego wielka dusza, oddana samej sobie, ukaże całe wrodzone piękno; Sir Francis Clarering jest w tym przypadku. Grał, pił, zajadał kolacye, póki się nie znalazł w barłogu. Ukradł pieniądze w swym pułku, odmówił pojedynku, obiegłszy wszystkie bilardy w całej Europie i został osa-

dzony w więzieniu przez niegrzecznych wierzy-
 cieli. Aby się ztamtąd wydobyć, poślubił poczi-
 wą kreolkę wdowę, która strasznie kaleczy orto-
 grafję, i ma nieczyste pieniądze. Rujnuje ją, klę-
 ka żeby otrzymać jej talary i przebaczenie, zakli-
 na się na biblię że już nie będzie zaciągał dłu-
 gów, i wyszedłszy z domu biegnie do lichwiarza.
 Ze wszystkich łotrów jakich przedstawili roman-
 sopisarze, on jest najohydniejszy. Już nie ma ani
 woli ani zdrowego rozsądku. Jestto człowiek roz-
 kielznany. Przelyka obelgi jak wodę, płacze,
 prosi o przebaczenie i nanowo zaczyna to samo.
 Upokarza się klęka a po chwili klnie, piorunuje,
 żeby znowu popaść w zgnębienie najokropniejsze-
 go tchórzostwa. Błaga, grozi, i w tej samej chwi-
 li bierze człowieka któremu grozi, za najpoufal-
 szego powiernika i serdecznego przyjaciela. „Al-
 tamont, czy to nie srogość że milady już mi nie
 chce zawierzyć ani jednej łyżki? To nie jest go-
 dne lady, Altamont. Bardzo jest okrutna że mi
 nie okazuje więcej zaufania! Służba zaczyna się
 śmiać; to same niecne łotry! już nie słuchają me-
 go dzwonka, a mój kamerdyner który był w Vaux-
 hall wczorajszej nocy w jednej z moich najstroj-
 niejszych koszul, i mojej aksamitnej kamizelce!
 Poznałem dobrze tę moją kamizelkę. Przeklęty,
 zuchwały pies! Przyszedł tańczyć mi przed no-
 sem, bodaj go diabli wzięli. Ci piekielni, łajdacy
 służalce.” Jego rozmowa jest zbiorem klątw,
 skarg i bredni; to już nie człowiek, lecz szczątki
 człowieka tkwią w nim już tylko niezgodne

resztki niskich namiętności, podobne do odłamków zgniecionego węża, które niemogąc kąsać, wiją się i kurczą w ślinie i w błocie. Na widok biletu bankowego biegnie z zamkniętymi oczami przez stos prośb i kłamst. Dla niego przyszłość znikła; widzi tylko terażniejszość. Podpisze weksel trzymiesięczny na dwadzieścia ludwików żeby otrzymać zaraz dwadzieścia franków. Znikczemiał aż do zniedołężnienia, zasłonięte ma oczy; nie widzi że jego zapewnienia budzą namiętność, że jego kłamstwa wzniecają niesmak, że tak jest nikczemny iż traci owoce swych nikczemności. Gdy wchodzi ten szlachetny baronet, członek parlamentu, dostojny mieszkaniec historycznego zamku, ogarnia gwałtowną ochota wzięść go za kark i jak kosz ze śmieciami zrzucić ze wschodów.

Trzeba się zatrzymać; cały tom nie pomieściłby doskonałości jakie Thackeray odkrywa w arystokracji angielskiej. Jestto markiz de Farintosh dwudziesty tego imienia, dostojny głupiec, zdrów i zadowolony z siebie, na którego wszystkie kobiety lornetują, któremu wszyscy mężczyźni kłaniają się. Jestto lady Ken, stara kobieta z wielkiego świata, tyranka i zepsuta, oddana wojnie z córką i polowaniu na małżeństwo. Jestto Sir Barnes Newcome jeden z ludzi najtchórzliwszych, najzłośliwszych, najkłamliwszych, najbardziej wyszydzanych, najwięcej bitych, jacy tylko uśmiechali się kiedy w salonie, i przemawiali w parlamencie. Widzę tylko jednego, godnego szacunku,

jestto człowiek nieznaczący, lord Ken, którego po licznych głupstwach i rozpustach, wzrusza stara matka, purytanka; czuje się skruszonym. Ale te portreta są łagodne w porównaniu z rozprawami; komentator jest jeszcze bardziej gorzki jak artysta; więcej rani mówiąc sam, niż przez innych. Trzeba czytać jego dotkliwe diatryby przeciw małżeństwu z rachuby i poświęceniu córek; przeciw nierówności sched i zazdrości młodszych synów; przeciw edukacji szlachty, oraz ich zuchwalstwu opartem na tradycyi; przeciw kupowaniu stopni w wojsku, przeciw rozdzielaniu klas, przeciw wszelkim zamachom na naturę i rodzinę wymyślonym przez społeczeństwo i prawo. Po za tą filozofią rozciąga się druga galerya portretów tak znieważających jak pierwsze: bo nierówność, zepsuwszy wielkich których wynosi, psuje małych których poniża, a widok zazdrości lub nikiemności małych jest tak brzydki, jak obraz zuchwalstwa lub despotyzmu wielkich. Według Thackeray'a społeczeństwo angielskie jest zbieraniną pochlebstw i intryg, bo każdy stara się ucześcić szczebla, a odsunąć tych którzy idą w górę. Być przyjętym u dworu, widzieć swe nazwisko w dziennikach na spisie dostojnych gości, przyjąć filiżankę herbaty znakomitego para, ogłupiałego pyszałka, oto najwyższy kres ambicyi i szczęśliwości ludzkiej. Każdy pan ma zawsze stu służalców. Major Pendennis, człowiek stanowczy z zimną krwią, zręczny, przyjął tę zarazę. Dziś, to stanowi jego szczęście gdy się pokłoni lordowi.

Dobrze mu jest tylko w salonie lub w arystokratycznym parku. Potrzebuje aby się z nim obchodzono z tą upokarzającą uprzejmością, jaką wielcy przygniatają niższych. Doskonale chowa do kieszeni brak względów i z przyjemnością siada przy dostojnym stole gdzie proszą go raz w trzy lata, dla zatkania jakiej dziury. Porzuca genialnego mężczyznę lub rozumną kobietę żeby rozmawiać z damą tytułowaną a głupią, lub z lordem pijakiem. Woli być cierpiącym u markiza niż szanowanym u mieszczanina. Utworzywszy z tych pięknych skłonności zasady, zaszczerpia je w siostrzeńcu którego kocha, i żeby go pchnąć w świat daje mu w małżeństwo córkę galernika i skradziony majątek. Inni wsuwają się do znakomitych salonów, już nie przez pasożytnicze obyczaje ale dla brzęczącej monety. Dawniej we Francyi, panowie użyźniali ziemię talarami mieszczan, dziś w Anglii mieszczanie uszlachetniają swój pieniądz szlacheckiem małżeństwem. Za sto tysięcy gwinei danych ojcu, kupiec Pump żeni się z lady Blanką Con Roide, która pozostaje lady, chociaż jest jego żoną. Naturalnie że nim pogardza jako mieszczaninem a prócz tego nienawidzi za to, że ją uczynił nawpółmieszczanką. Nie śmie on przyjmować swych przyjaciół, gdyż ci ludzie są zbyt nizcy dla żony. Nie śmie odwiedzać jej znajomych, bo są wysocy dla niego. Jest klucznikiem dla żony, przedmiotem szyderstwa dla teścia i służących swego syna; pociesza się nadzieją że wnukowie zostawszy baronami Pomp,

będą się zań wstydzili i nigdy nie zechcą wymówić jego nazwiska. Trzeci sposób wejścia między szlachtę jest zrujnować się, i nie widywać nikogo. Ten dowcipny pomysł jest użyty na wsi przez panią majorową Punto. Trzyma do swych córek niezrównaną guwernantkę, która sądzi że Dante dlatego nazywał się Alighieri że był z Algieru, ale mimo to prowadzi edukację dwóch markizów i jednej hrabianki. Ta samotność jest smutna, powiada ktoś do majorowej, — mogłabyś pani przyjmować prawnika. W takim domu jak nasz, drogi panie, czy to podobna? — Doktora? — Jego może; ale żonę, dzieci, fi donc! Mieszkańców z tamtego wielkiego domu? z tamtego domu? z zamku: perkalik? Sukiennika wycofanego? Tacy ludzie jak my muszą się szanować. Pastora? Co za okropność! miewa kazanie w komży, mój drogi panie, to puzeista." Ta rozsądna rodzina ziewa w samotności przez sześć miesięcy, a resztę roku cieszy się obżarstwem szlachetek których karmi i lekceważeniem wielkich lordów których odwiedza. Syn oficer od huzarów, potrzebuje świetności aby wyrównać paniczom z którymi koleguje; a krawiec jego zabiera ojcu trzysta gwinei rocznie kiedy summ dziewięciuset stanowią dochód całej rodziny. Nie skończyłbym nigdy wyliczać wszystkich bezceństw i nikiemności jakie Thackeray przypisuje duchowi arystokratycznemu, rozdział rodzin, wyniosłość siostry uszlachconej, zazdrość siostry — chłopki, poniżenie charakterów urabianych zaraz w szkole do szanowania małych

lordów, znikczemnianie dziewcząt dla schwytnia herbownych mężów, wściekłość zdeptanej psychy, nikczemność ofiarowanych grzeczności, tryumf głupoty, pogarda dla talentu, niesprawiedliwość uświęcana, serce wynaturzone, obyczaje zepsute.

II.

Artysta.

I.

W literaturze równie jak w polityce niemożna mieć wszystkiego. Talenta podobnie jak szczęście, wyłączają się wzajemnie. Jakąbądź konstytucyę wybierze naród, jest zawsze nawpół nieszczęśliwy; jakibądź geniusz posiada pisarz, zawsze jest nawpół bezsilny. Nie możemy mieć na raz dwóch postaw. Przetworzyć romans, znaczy to samo co go skrzywić; kto jak Thakceray daje romansowi za cel satyrę, przestaje mu dawać sztukę za regułę, a wszystkie siły satyryka, są słabościami romansopisarza.

Co to romansopisarz? Według mego zdania, jestto psycholog, który naturalnie i minowoli przedstawia psychologię w akcji; nie jestto nic innego i nie więcej. Lubi wyobrażać sobie uczucia, czuć ich wiązadła, przyczyny, skutki, i sprawia sobie tem przyjemność. W jego oczach są to siły mające rozmaite kierunki i wielkości. O ich słusność lub niesłusność, mało dba. Gromadzi

je według charakterów, rozumie przeważający przymiot, spostrzega ślady jego na innych, uważa sprzeczne lub zgodne wpływy temperamentu, edukacyi, rzemiosła, i usiłuje objawić niewidzialny świat skłonności i usposobień wewnętrznych przez widzialny świat słów i czynów zewnętrznych. Na tem się ogranicza jego dzieło. Jakie są te skłonności, mało go to obchodzi. Prawdziwy malarz patrzy z przyjemnością na ramię dobrze osadzone, i muskuły silne, chociażby użyte były do zabicia człowieka. Prawdziwy romansopisarz przez kontemplację, używa wielkości uczucia szkodliwego lub mechanizmu uporządkowanego w zgubnym charakterze. Talentem jego jest sympatya, bo ona jest jedyną władzą ściśle naśladowającą naturę; zajęty odczuwaniem wrażeń swych osób, myśli o tem tylko, aby uwydatnić ich siłę, gatunek i odbicia. Przedstawia jakimi są w całości, nie ganiąc ich, nie karcąc, nie kalecząc; przenosi je w nas nienaruszone i same, pozostawiając prawo sądzenia ich jak nam się podoba. O to się tylko stara żeby je uczynić widzialnemi, żeby wyosobnić typy przyćmione lub zmienione wypadkami i niedoskonałościami rzeczywistego życia, żeby uwydatnić wspaniałe namiętności ludzkie, żeby nas wstrząsnąć wielkością istot jakie ożywia, żeby nas podnieść po nad nas samych siłą swych tworców. W tej potędze twórczej, obojętnej i powszechnej jak natura, wolniejszej i potężniejszej od natury, poznajemy sztukę biorącą dzieło naszkicowane lub zeszpecone przez swą

współzawodniczkę, dla poprawienia jej błędów i wykonania pomysłów.

Wszystko jest zmienione nadejściem satyry, a najwpierw rola autora. Gdy w prostym roman-sie mówi on we własnem imieniu, to dlatego aby dać zrozumieć jakieś uczucie lub wskazać przy-czynę jakiejs władzy, w romansie satyrycznym przemawia żeby nam dać radę moralną. Widzie-liśmy ile nauk narzuca nam Thackeray. Nikt nie przeczy że nauki są dobre, przynajmniej zastępu-ją miejsce objaśnień użytecznych. Trzecia część tomu, użyta na przestrogi, straconą jest dla sztuki. Powołani do rozważania naszych win, mniej dobrze znamy osobę. Autor pomija unyślnie set-ki delikatnych odcieni jakie mógłby odkryć i nam pokazać. Osoba, jako mniej pełna, nie jest tak ży-jąca, interes mniej ześrodkowany jest nie tak ży-wy. Oczy nasze odwrócone od niego, nie przycią-gane, gubią się i zapominają o nim. Zamiast być pochłonięci interesem, jesteśmy roztargnieni. Co większa i co gorsza, kończy się na tem żeśmy trochę znudzeni. Te kazania wydają się prawdzi-we, lecz oklepane. Zdaje nam się iż słuchamy wykładów w kollegium lub czytamy podręczniki seminaryjne. Podobne rzeczy znajdują się w książ-kach złoconych, z malowanemi okładkami, jakie się daje dzieciom na kolendę. Czy się bardzo cie-szysz słysząc że małżeństwa zawierane z rachuby mają swoje niedogodności, że gdy przyjaciel jest nieobecny, chętnie się o nim źle mówi, że syn często zasmuca matkę swem nieporządnem ży-

ciem, że samolubstwo jest brzydką wadą? To wszystko jest prawdziwe, lecz jest nadto prawdziwe. Przychodzimy słuchać kogós, aby się dowiedzieć rzeczy nowych. Te stare morały chociaż użyteczne i dobrze powiedziane, pachną zapłaconym pedantem, tak rozpowszechnionym w Anglii, — duchownym w białym krawacie który sterczy jak pika na środku swego stołu, i za trzysta ludwików prawi codziennie naučky młodym gentlemanom oddanym przez rodziców do jego domu, jak do cieplarni.

Ta usilna obecność intencyi moralnej szkodzi romansopisarzowi. Trzeba przyznać że niejednym Thackeray'a ma srogie nieszczęście powtarzania romansów miss Edgeworth lub powieści kanonika Schmidt. Pokazuje nam że Pendennis jest dumny, rozrzutny, roztrzepany, leniwy, niezdający egzaminów, podczas gdy jego towarzysze mniej bystrzy lecz pracowici, zaszczytnie odbywają nauki. Ta budująca sprzeczność, nie rozpal nas, nie mamy ochoty wrócić do szkoły; zamykamy książkę zalecając ją jako pigułkę małym krewniaczkowi. Inne drobiazgi niemniej razią także nudzą nas w końcu. Nie lubimy przedłużającej się sprzeczności zacnego pułkownika Newcome i jego złych rodziców. Ten pułkownik daje pieniądze i ciastka wszystkim dzieciom, pieniądze i szale wszystkim kuzynkom, pieniądze i dobre słowa wszystkim służącym; a ci ludzie odpłacają mu się tylko oziębłością i grubiaństwem. Widocznem jest od pierwszej stronicy, że auto-

chce nakłonić abyśmy byli uprzejmi, a my się opieramy zbyt wyraźnemu zaleceniu. Nie lubimy być gromieni w romansie, ten napad demagogiczny wprawia nas w zły humor. Chcieliśmy pójść do teatru; oszukał nas afisz, i narzekamy pocichu żeśmy przyszli na kazanie.

Pocieszmy się: przedstawiane osoby cierpią tyleż co i my; autor je psuje prawiąc nam kazanie; równie jak my są poświęcane satyrze. On nie nadaje życia istotom, lecz wprawia je w ruch marynetki¹⁾. Kombinuje czyny ich tylko na to aby je okryć śmiesznością, ohydą lub sprawić im zawód. Po kilku scenach poznajemy tę sprężynę i odtąd przewidujemy ciągle i nie myląc się że się ona poruszy. To przewidywanie odejmuje osobie część prawdy, a czytelnikowi część złudzenia. Głupstwa zupełne, niepowodzenia zupełne, złość zupełna, są to rzeczy rzadkie. Wypadki i uczucia rzeczywistego życia nie układają się w sposób tworzący sprzeczności tak obrachowane i kombinacye tak zręczne; natura nie wymyśla tych scenicznych ruchów; prędko miarkujemy żeśmy w teatrze, wobec umalowanych aktorów, mających słowa napisane i ruchy wskazane.

Żeby sobie dokładnie wyobrazić to nadwerężenie prawdy i sztuki, trzeba dokładnie porównać dwa charaktery. Jest jedna postać ogólnie uważana za arcydzieło Thackeray'a, mianowicie Re-

¹⁾ Są to jego własne słowa. Przedmowa do *Vanity Fair*.

beka Sharp, intrygantka i kurtyzanka ale kobieta wyższa i z dobrą manierą. Porównajmy ją z podobną postacią Balzac'a w *les Parents pauvres*, z Waleryą Marneffe. Różnica tych dwóch dzieł będzie wskazówką różnicy tych dwóch literatur. O ile Anglicy górują jako moralisci i satyrycy, o tyle Francuzi mają pierwszeństwo jako artyści i romansopisarze.

Balzac lubi swą Waleryę i dlatego tłómaczy ją i powiększa. Nie usiłuje uczynić ją ohydną, lecz zrozumiałą. Otrzymuje ona edukację kurtyzanki, męża „zepsutego jak galery,” nazwyczajenie do zbytku, niedbałość, rozrzutność, nerwy kobiety, niesmaki piękności, werwę artystki. W osobie tak urodzonej i wychowanej, zepsucie jest naturalne. Potrzebuje ona elegancyi, jak się potrzebuje powietrza. Bierze ją z kądbydź, bez wyrzutu sumienia, jak się pije wodę z jakiegokolwiek rzeki. Nie jest gorszą od swego rzemiosła; ma wszystkie niewinnienia wrodzone i nabyte: temperamentu, tradycyi, okoliczności, konieczności; ma wszystkie jego siły: swobodę, wdzięk, wesołość szaloną; przemiany trywialności i elegancyi, śmiałość zaimprowizowaną, pomysły konieczne, wspaniałość i powodzenie. Jest doskonałą w swoim rodzaju, podobna do konia niebezpiecznego i pięknego, który budzi podziw i obawę zarazem. Balzac'owi sprawia to przyjemność że ją maluje tylko dla wymalowania. Ubiera ją, przylepia muszki, rozkłada suknie, drga na widok jej tańca, wyszczególnia ruchy z taką przyjemnością i prawdą,

jakby pokojówka. Jego artystyczna ciekawość znajduje pokarm w najmniejszych rysach charakteru i obyczajów. Po gwałtownej scenie zatrzymuje się nad chwilą pustą, i pokazuje bohaterkę leniwą, rozciągniętą na poduszkach jak kotka gdy ziewa i wyciąga się na słońcu. Jako fizyolog wie że nerwy drapieżnego zwierza miękną, i że wtenczas przestaje skakać gdy śpi. Ale jakie to skoki: olśniewa, czaruje, broni się raz po raz trzem dowiedzionym oskarżeniami, przeczy oczywistości; kolejno upokarza się, chlubi się, szydzi, uwielbia, dowodzi w ciągu jednego kwadransa dwadzieścia razy zmieniając ton, idee, potrzeby! Wobec tej namiętności i tej loiki, czemże jest Rebeka Sharp? Intrygantką rozumną, zimną, pełną zdrowego rozsądku; była niegdyś nauczycielką; nazwyczajona do oszczędności, prawdziwy to prawnik; zawsze skromna, zawsze czynna, ogołocona z charakteru kobiecego, z miękkości rozkosznej i żywości szatańskiej, które mogłyby nadać blask jej charakterowi i wdzięk rzemiosłu. To nie kurtyzanka lecz adwokat w spódnicy, bez serca. Nic niemoże obudzić większej odrazy. Autor nie pomija żadnej sposobności żeby jej odrazę okazać; przez trzy tomy, prześladuje ją szyderstwem i niepowodzeniem przypisuje jej tylko słowa fałszywe, czyny ułudne, uczucia oburzające. Od pierwszego wejścia na widownię, w siedmnastym roku życia, przyjęta z największą dobrocią do pewnej rodziny, kłamie od rana do wieczora, i grubiańskimi zaczepkami stara się złowić sobie męża. Żeby ją lepiej

zgnębić, Thackeray sam uwydatnia te wszystkie nikczemności, wszystkie kłamstwa, wszystkie nieskromności. Rebeka uścisnęła czule rękę grubego Józefa. Była to zaczepka, a z tego tytułu niektóre damy mające doskonałą edukację i dobry ton, potępiają ten czyn jako niemoralny; ale widzicie nasza droga Rebeka, była zmuszona robić wszystko sama przez się. Skoro jakaś osoba jest zbyt uboga żeby mieć służącą, to chociaż jest elegantką, musi sobie zamiatać pokój; gdy młoda dziewczyna nie ma kochanej mamy, któraby urzędowała interesa z młodzieńcami, musi je urządzać sama. Jako guwernantka u Sir Pitta, pozyskuje życzliwość uczennic, czytając z niemi Crébillon'a młodego i Woltera. „Zona rektora, pisze ona, — mowi mi tysiąc komplementów o postępach moich uczennic, sądząc zapewne że wzruszy me serce; biedna i naiwna wieśniaczka! jak gdybym dbała choć trochę o swoje uczennice.” Ten frazes dowodzi nieostróżności, nienaturalnej w osobie tak rozważnej, której autor dodaje go do woli, aby ją uczynić jeszcze ohydniejszą. Trochę dalej Rebeka grubo i nikczemnie pochlebia się starej miss Crawley, a jej napuszone tyrady, widocznie fałszywe, zamiast podziwu wzniesają niesmak. Jest samolubna i kłamliwa względem męża, a gdy tenże jest na polu bitwy, zajmuje się tylko wypełnianiem woreczka. Thackeray umyślnie naciska na tę sprzeczność: ciężki oficer odjeżdżając, policzył wszystkie swe rzeczy, rachując jaką sumę będą mogły przynieść żonie przez oszczędność, idzie

na śmierć w najlichszym i najstarszem ubraniu. Miał na ustach coś podobnego do modlitwy za tę, którą opuszczał. Podniósł ją z ziemi, i przyciskał przez chwilę do serca bijącego żywo. Twarz miał purpurową i oczy wilgotne gdy ją położył na ziemi. Co się tyczy Rebeki, jakieśmy mówili, uczyniła to rozumne postanowienie, że nie ulegnie bezpotrzebnej sentymentalności. „Szkaradnie wyglądam, rzekła przeglądając się w zwierciadle. Jaką to się ma twarz w różowej sukni!” Zdięła więc suknię różową, włożyła balowy bukiet w szklanekę wody, położyła się na łóżko i spała bardzo wygodnie. Z tych przykładów sądziecie o reszcie. Thackeray jest przejęty tylko poniżeniem Rebeki Sharp. Oskarża ją że sroga dla syna, że okrada dostawców, że oszukuje wszystkich. Na dobitkę przedstawia ją jako zawadzoną ciągle. Pomimo wszelkich usiłowań nic jej się nie wiedzie. Skompromitowana zaczepianiem głupiego Józefa, w każdej chwili oczekuje żeby się oświadczył. Przychodzi list z wiadomością że pojechał do Szkocyi, i przesyła ukłony miss Rebecce. W trzy miesiące potem zaślubia ona potajemnie kapitana Rawdon, ubogiego prostaka. Sir Pitt ojciec Rawdon'a, zaopatrzony w sto tysięcy funtów dochodu, pada jej do nóg i chce się żenić. Stroskana, płacze z rozpacz. „Zamężna, zamężna, już zamężna!” Oto jej wykrzyk i jest czem wzruszyć tkliwe dusze. Później próbuje ująć swą bratową udając dobrą matkę. „Mamo dlaczego całujesz mię tutaj? mówi jej syn — w domu nigdy

mię nie całujesz.” Tu następuje zupełny dyskredyt, jest znowu zgubiona tym razem. Lord Steyne, jej kochanek, przedstawia ją w świecie, zarzuca klejnotami, banknotami, i mianuje męża gubernatorem jakiejś wyspy na Wschodzie. Mąż przybywa nie w porę, daje policzek lordowi Steyne, zwraca dyamenty, a żonę wypędza. Włóczęc się po kontynencie, pięć czy sześć razy próbuje ona wzbogacić się i przybrać pozory uczciwości, a zawsze w chwili kiedy jest bliską tego, losy ją rzucają na ziemię. Thackeray bawi się nią, jak dziecko chrańszczem, pozwalając wejść mozolnie na szczyt drabiny, żeby ją wówczas pociągnąć za nogę i zmusić do sromotnego upadku. Kończy na tem, że ją włóczy po szynkach i kulisach, i zdaleka pokazuje palcem, gdy gra i pije, ale nie chce jej dotknąć. Na ostatniej stronicy, osadza ją po mieszczańsku w miernym majątku zdobytym za pomocą niskich środków i zostawia ją, okrzyczaną niedaremnie obłudną i wygnaną do półświata. Pod tym deszczem ironii i zawodów, bohaterka przedstawia się skarłowaciałą, złudzenie osłabło, poezya znikła, a osoba, choć pożyteczniejsza, stała się mniej prawdziwą i mniej piękną.

II.

Przypuście że traf usunie te przyczyny słabości i otworzy te źródła talentu. Wśród tych wszystkich romansów zeszepeczonych, ukaże się jeden prawdziwy, wzniosły, tkliwy, prosty, oryginalny:

historya Henryka Esmond, Thackeray nie stworzył popularniejszego ani piękniejszego.

Ta książka zawiera fikcyjne pamiętniki pułkownika Esmond, współczesnego królowej Anny, który po burzliwym życiu w Europie, udał się z żoną do Wirginii, i został plantatorem. W tych pamiętnikach, Esmond mówi, a konieczność stosowania tonu do osoby, usuwa satyryczny styl, powtarzające się szyderstwo, krwawy sarkazm, sceny obliczone na wyszydzenie głupstwa, wypadki kombinowane na przygniatanie wad. Odtąd wchodzi się w życie rzeczywiste, ulega się złudzeniu, używa się widoku urozmaiconego, który się rozwija łatwo, bez pretensyi do moralności. Już cię nie prześladują rady osobiste; siedzisz na swem miejscu, spokojny, bezpieczny; palec aktora podniesiony ku twojej twarzy, nie ostrzega cię w zajmującej chwili, że się sztuka odgrywa na twoją intencję i dla twego zbawienia. Dobrze ci też jest, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy. Po zacieklej satyrze, proste opowiadanie czaruje cię; odpoczywasz po nienawiści! Jesteś jakby chirurg wojskowy który po całym dniu boju i operacyi usiadł na wzgórzu, i przygląda się ruchom obozu, pochodowi zaprzęgów i dalekim horyzontom przysłonionym wieczornymi barwami.

Z drugiej strony, długie rozmyślania, które się zdawały banalne i niewłaściwe pod piórem pisarza, stają się naturalne i pociągające w ustach przedstawianej osoby. Esmond to starzec piszący dla swych dzieci i komentujący swe doświadcze-

nie. Ma prawo sądzić o życiu; jego zasady przywiązane są do jego wieku. Będąc rysami obyczajów, tracą ton doktoralny; słuchamy chętnie i odwracając kartę, spostrzegamy uśmiech spokojny i smutny który je dyktował.

Obok uwag przyjmuje się szczegóły. Gdziein-dziej drobiazgowo opisy wydają się często zbyt-czne; gromiliśmy autora że ze skrupulatnością ma-larza angielskiego, zatrzymywał się na zdarzeniach zaszłych w szkole, na scenach w dyliżansie, na wypadkach w karczmie. Według naszego sądu jego silna uwaga niemogąc chwycić wielkich przedmiotów sztuki, zniża się przykuta do spo-strzeżeń mikroskopijnych i szczegółów fotograficz-nych. Tu wszystko się zmienia. Autor pamięt-ników ma prawo opowiadać swe wrażenia z dzie-ciństwa. Jego dalekie wspomnienia, poszarpane szczątki zapomnianego życia, mają niezmierny urok; wraz z nim stajemy się dziećmi nanowo. Lekcja łaciny, przejście wojska, wycieczka kon-na, stają się ważnymi zdarzeniami, które oddale-nie upiększa. Używamy jego przyjemności tak spokojnej i głębokiej, i wraz z nim doznajemy wielkiej słodczy widząc że znane widma prze-szłości odradzają się z taką swobodą, i w tak pełnem świetle. Drobiazgowo szczegóły podnoszą interes, dodając naturalności. Opisy wypraw, roz-rzucone sądy o książkach i wypadkach współcze-snych, setki drobnych scen, tysiące małych fak-tów, widocznie niepotrzebnych, przez to samo czynią złudzenie. Zapominamy o autorze a słu-

chamy starego pułkownika; przenosimy się o sto lat wstecz, i doznajemy wielkiej i rzadkiej przyjemności, iż to co czytamy budzi w nas wiarę.

Przedmiot usuwa ujemności lub zamienia je w przymioty, i zarazem podaje tymże najpiękniejszy materiał. Ta potężna rozwaga rozebrała i odtworzyła obyczaje współczesne z zadziwiającą wiernością. Thackeray zna tak głęboko Swift'a, Steele'a, Addisona, Saint-John'a, Malborough'a, jak historyk najuważniejszy i najświetlejszy. Maluje ich ubiory, dom, rozmowę, jak sam Walter-Scott, i — czego Walter-Scott nie potrafi, naśladuje ich styl, tak dalece że się doznaje złudzenia i niektóre autentyczne ich frazesa, wsunięte w jego tekst, nie odróżniają się wcale. To doskonałe naśladowanie nie ogranicza się na kilku wybranych scenach, lecz obejmuje cały tom. Pułkownik Esmond pisze jakby w roku 1700. Jestto dowodem tak wielkiej zręczności, o mało nie powiedziałem: geniuszu, jak usiłowanie i powodzenie Cuvier'a odnajdującego styl Grecyi starożytnej. Esmonda styl ma miarę, trafność, gruntowność klasyków. Znikły już nasze zuchwalstwa nowożytne, obrazy nagromadzone, postaci natłoczone, zwyczaj gestykulowania, chęć wywołania efektu i wszystkie złe nałogi literackie. Thackeray musiał sięgać do pierwotnego znaczenia wyrazów, odnajdywać zapomniane zwroty, odtworzyć zatarły stan intelligencyi i zatracony gatunek idei, aby tak dalece zbliżyć się do oryginału. Wyobraźnia samego Dickens'a nie podołałaby temu

działu. Ażeby go spróbować i dokonać, trzeba było mieć taką bystrość, spokój i siłę nauki i rozmyślenia.

Ale arcydziełem tej książki jest charakter Esmonda. Thackeray dał mu tę dobroć tkliwą, prawie kobiecą, którą wynosi wszędzie po nad inne cnoty ludzkie, i to panowanie nad sobą będące skutkiem ciągłej rozwagi. Są to najpiękniejsze przymioty z jego składu psychologicznego; każdy przez sprzeczność dodaje wartości drugiemu. Widzimy bohatera, ale oryginalnego i nowego; jest on Anglikiem przez swą wolę zimną, jest nowożytnym przez delikatność i czułość serca.

Henryk Esmond, to biedne dziecko przypuszczalnie syn nieprawy pewnego lorda Castlewood i wzięty w opiekę przez dziedziców tego nazwiska. Zaraz od pierwszej sceny, jest się przeniknionym wrażeniem szanownem i szlachetnem, jakie się zachowa do końca tomu. Lady Castlewood, przybywszy pierwszy raz do swego zamku, zastaje dziecko w wielkiej bibliotece; objaśniona przez klucznicę, rumieni się, i odchodzi. Po chwili wraca poruszona wyrzutami sumienia. Ze spojrzeniem niewypowiedzianej tkliwości bierze dziecko za rękę, kładąc drugą piękną rękę na jego głowie, i mówi kilka słów tak serdecznych, i głosem tak słodkim, że dziecko, które jeszcze nigdy nie widziało tak pięknej osoby, uczuło jakby dotknięcie wyższej istoty lub anioła, które zgięło je niejako ku ziemi; to też ukląkłszy na jedno kolano pocałowało ono piękną rękę opiekunki. Do

ostatniej godziny życia, Esmond zapamięta spojżenia i głos tej damy, pierścionki na jej pięknych rękach, nawet woń sukni, błysk oczu świetniejących dobrocią i zadziwieniem, uśmiech rozkwitły na ustach, i słońce które wkoło jej włosów tworzyło aureolę złotą.....

Zdawało się w myśli dziecka że w każdym ruchu i w każdym spojrzeniu tej pięknej istoty, jest słodycz anielska, światło dobroci. W spokoju i w ruchu zawsze była równie powabną; Akcent jej głosu, choćby słowo było najzwyczajniejsze, sprawiał mu przyjemność dochodzącą prawie do szału. Niemożna nazywać miłością to co dwunastoletnie dziecko, prawie służebne doznawało dla damy tak wysokiego stanowiska, dla swej pani; to było uwielbienie. Uczucie jego tak szlachetne i czyste rozwija się szeregiem czynów poświęconych, opowiadanych z nadzwyczajną prostotą; w najmniejszych słówkach, w obrocie zdania, w obojętnej rozmowie, spostrzega się wielkie serce, roznamiętnione wdzięcznością, nigdy nie ustające w wynajdywaniu dobrodziejstw lub usług; — jestto pocieszyciel, przyjaciel, doradca, obrońca honoru tej rodziny i majątku dzieci. Dwa razy stanął Esmond między lordem Castlewood i wyzywającym go na pojedynek lordem Molum; narażał się na to aby miecz zabójczy ugodził go w pierś. Gdy lord Castlewood umierając wyjawia mu że nie jest synem nieprawym, że tytuł i majątek należą do niego, nie nie mówiąc pali zeznania które mogło go wydobyć z ubóstwa i poniżenia

w jakich tak długo pozostawał. Znieważony przez swą panią, chory skutkiem rany otrzymanej przy boku swego pana, oskarżony o niewdzięczność i nieszczemność, mając uniewinnienie w ręku trwa w milczeniu. „Skoro walka ustała w jego duszy, napełnił ją płomień czystej uciechy i ze łzami wdzięczności, podziękował Bogu że mu dał siłę tego postanowienia.” Później, zakochany w innej kobiecie, pewien że jej nie będzie mógł zaślubić, jeżeli urodzenie jego zostanie splamione w oczach świata, wypłacony względem swej dobrodziejki której ocalił syna, błagany przez nią aby odzyskał nazwisko, które mu się należy, uśmiecha się słodko, i odpowiada swym poważnym głosem:

„Ta rzecz została załatwioną dwanaście lat temu, przy łożu mego drogiego lorda. Dzieci nie powinny o tem nic wiedzieć. Franch i spadkobiercy jego będą nosili nasze nazwisko należące im się z prawa. Ja nie mam nawet dowodu małżeństwa moich rodziców ¹⁾, chociaż mój drogi lord na łożu śmierci, powiedział mi że Holt przywiózł dowód do Castlewood.

Ta tkliwość tak szlachetna wydaje się jeszcze bardziej wzruszającą przez sprzeczność z innymi jego czynami. Essmond bierze udział w wojnie, służy swemu stronnictwu, żyje wśród niebezpieczeństwa i interesów, sądząc z wysoka rewolucyę i politykę; jestto człowiek doświadczony, światły, ukształcony, przezorny, zdolny do wiel-

¹⁾ Posiada je.

kich przedsięwzięć, uzbrojony w ostrożność i odwagę, dręczony pracą i troską, zawsze smutny i zawsze silny. Kończy na tem iż prowadzi do Anglii pretendenta brata królowej Anny, i trzyma go przebrany w Castlewood, czekając chwili, kiedy królowa umierająca i prześlągana zechce go uznać za dziedzica tronu. Ten młody książę prawdziwy Stuart, zaleca się córce lorda Castlewood, Beatryksie, którą kocha Esmond, i wymyka się w nocy aby się z nią zejść. Esmond który go wyczekuje, widzi utratę korony i zniewagę jego domu. Honor obrażony i miłość zdeptana wybuchają w nim uniesieniem wielkiem i straszem. Blady, z zębami zaciśniętymi, z mózgiem zgorączkowanym, po czterech nocach myślenia i czuwania zachowuje umysł trzeźwy i wstrzemięźliwy, tłumaczy księciu stylem przepisany etykietą, z zimnem pełnem poszanowania jako komisarz urzędowy, niedorzeczność jaką książę popełnił i nikczemność jaką chciał popełnić. Trzeba przeczytać tę scenę aby uczuć ile ten spokój i ta gorycz, dowodzą wyższości i namiętności.

Charakter zdolny do takich sprzeczności jest wielkiem dziełem. Czytając pamiętamy że Thackeray nie tworzył innych, żałujemy że intencye moralne, odwróciły od celu te piękne zdolności literackie, i ubolewamy że satyra wyrwała sztuce taki talent.

III.

Kto on jest i co warta literatura której jest jednym z książąt? W głębi, jak każda literatura, jest ona określeniem człowieka, i żeby ją sądzić trzeba porównać z człowiekiem. Możemy to uczynić w tej chwili: przestudyowaliśmy pewien umysł, a to samego Thackera'ya; rozważaliśmy jego zdolności, ich związki, następstwo i stopień. Mamy przed oczami okaz natury ludzkiej. Służy nam prawo sądenia z niego o kopii i sprawdzania definicyi wypowiedanej w jego romansach, definicyę przedstawioną w charakterze.

Obie te definicye są sprzeczne, a jego portret jest krytyką jego talentu. Widzieliśmy że te same zdolności wytwarzają w nim piękno i brzydotę, siłę i słabość, powodzenie i upadek, że rozważa moralna, zaopatrzywszy we wszystkie potęgi satyryczne, poniża go w sztuce, że rozciągnąwszy na jego romansach współczesnych barwę popolitości i fałszu, podnosi romans historyczny do wyżyn najpiękniejszych dzieł; że ta sama budowa umysłu uczy go stylu sarkatycznego i gwałtownego, obok umiarkowanego i prostego, uczy go zacieklej i dotkliwej nienawiści, obok uniesień i delikatności miłosnych uczuć. Zło i dobro, piękno i brzydota, odraza i powab są w nim zatem tylko dalekimi następstwami miernej wagi, zrodzonymi ze zbiegiem zmiennych okoliczności, przymioty pochodnie i przemijające, nie główne i pierwotne, rozmaite postaci które rozmaite wybrzeża odbija-

ją w tymże samym strumieniu. Taksamo jest z innymi ludźmi. Wprawdzie przymioty moralne należą do pierwszego rzędu, są one pobudką cywilizacyi i stanowią o szlachetności osoby; społeczeństwo przez nie tylko istnieje, a człowiek tylko przez nie jest wielkim. Są wprawdzie najpiękniejszym owocem rośliny — człowieka, ale nie są korzeniem jego. Nadają nam wartość, ale nie tworzą tła. Ani wady ani cnoty człowieka nie stanowią jego natury; nie dowodzi znajomości gdy się gani go albo chwali; nie określa go ani pochwała ani nagana; nazwa: zły lub dobry, nie mówi nam kto on jest. Postawcie Cartouche'a na dworze Włoskim z XV-go wieku, a będzie wielkim mężem stanu. Przenieście szlachcica, skąpego, z umysłem ciasnym do sklepu, będzie to kupiec wzorowy. Ten mąż publiczny, nieugiętej prawości, jest w swym salonie nieznośnym pyszałkiem. Ten ojciec rodziny tak ludzki, jest niedołącznym politykiem. Dajcie cnotcie inne okoliczności, a stanie się wadą, i przeciwnie spojrzycie na ten sam przymiot z dwóch stron: z jednej strony jest on wadą, z drugiej zasługą. Istota człowieka zawiera się daleko pod temi moralnemi nadpisami. One wskazują tylko skutek pożyteczny lub szkodliwy waszej wewnętrznej budowy, ale nic jej samej nie objawiają. Te są lampy bezpieczeństwa lub uwiadomienia, przytwierdzone do naszych imion, aby przechodzień usunął się lub przystąpił do nas, ale nie są mapą tłumaczącą istotę naszą. Prawdziwa istota nasza leży w przyczynach przymiotów do-

brych lub złych, a te przyczyny znajdują się w temperamencie, w gatunku i stopniu wyobraźni, w ilości i wyższości uwagi, w wielkości i kierunku namiętności pierwotnych. Charakter jest siłą, jak ciężkość lub para wodna, zdolna z przypadku do skutków zgubnych lub pożytecznych, i którą nie trzeba określać ilościami podnoszonego ciężaru lub wartością sprawianych szkód. Jestto zatem niezajomością człowieka skoro jak Thackeray i literatura angielska widzą w nim zbiór cnót lub wad; w taki sposób spostrzega się tylko jego zewnętrzną powierzchnię, pomijając tło wewnętrzne i naturalne. Znajdziecie tę samą ujemność w ich krytyce, zawsze moralnej nigdy psychologicznej, zajętej ściśle mierzaniem stopnia uczliwości w ludziach, niezajającej mechanizmu naszych uczuć i zdolności. Znajdziecie tę samą ujemność w ich religii będącej tylko wrażeniem lub karnością; w ich filozofii pozbawionej metafizyki; a jeżeli sięgniecie do źródła, według reguły wyprowadzającej wady z cnót i cnoty z wad, zobaczycie że wszystkie te słabości pochodzą z ich wrodzonej energii, z edukacyi praktycznej, z tego rodzaju instynktu poetyckiego, religijnego i surowego, który ich uczynił niegdyś protestantami i purytanami.

K O N I E C.



15436

7